

MAGAZYN *razem z dodatkami*

Bez czytania możemy się cywilizacyjnie cofnąć, bo chodzi o ćwiczenie mózgu

● Moja pierwsza komunia, komórka, deskorolka... ● Irek Dudek: Kazali mi śpiewać bluesa po polsku

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz omówieniami najciekawszych propozycji



Piątek
8.05.2026
Nr 105

Gazeta WROCŁAWSKA

www.gazetawroclawska.pl
Cena 6,50 zł
(w tym 8% VAT)

Dolnośląskie władze mają plan na lepsze połączenia kolejowe z Wielkopolską str. 6



Mecz na szczycie żużlowej Ekstraligi. Motor Lublin zmierzy się ze Spartą Wrocław str. 32

W budynku na Kozanowie nie ma gazu. Spółdzielnia pisze pisma i obwinia lokatorów str. 8



DOLNY ŚLĄSK

Arystokraci pokochali życie w Krzeczynie Małym str. 24-25

WROCŁAW

Droższe paliwo - mniej lotów

Skandynawskie linie lotnicze SAS ograniczają liczbę lotów na trasie Wrocław-Kopenhaga. W majowym rozkładzie przewoźnik zmniejsza liczbę rotacji z 49 do 38, co jest jedną z największych redukcji w Polsce. Dla pasażerów oznacza to też mniejszą dostępność połączeń do duńskiego hubu i trudniejsze przesiadki na dalsze loty. Z Wrocławia do Kopenhagi latały dotąd dwa samoloty dziennie -

o godz. 10:35 i 19:35. Wieczornego połączenia nie było jedynie w soboty. Teraz rozkład na następny tydzień (11-17 maja) został mocno okrojony. Na poniedziałek, środę, czwartek i sobotę zaplanowano tylko jeden lot - ten przedpołudniowy. W piątek SAS w ogóle nie polecie z Wrocławia do Kopenhagi. We wtorek i niedzielę utrzymano dwa kursy.

Czytaj str. 4

Nasza firmowa krzyżówka i sensacyjne wieści ze świata show-biznesu str. 27

Nr ISSN 2353-6152

Nr indeksu 350-206



REPORTAŻ W DAWNEJ KOPALNI POWSTAJE NIEZWYKŁE MUZEUM

600 lat Wałbrzysza wrzuca do Tygla

Adrianna Szurman
Wałbrzych

Na Dolnym Śląsku otworzą muzeum, którego tu jeszcze nie mieliśmy. Do dawnej hali pokopalnianej trafią artefakty i pamiątki, które pokażą historię z ludzką twarzą. Sprawdziliśmy, jak powstaje Muzeum Wałbrzyszan Tygla.

Umawiamy się w Starej Kopalni w Wałbrzychu, tuż koło dawnej siłowni, czyli energetycznego serca dawnej kopalni węgla kamiennego. Do niedawna siłownia to była jedna, ogromna hala. Dziś jej zewnętrzna część jest gruntownie odświeżona, a wewnątrz zupełnie zmieniło charakter.

Koło wejścia kręcą się robotnicy, a narzędzia, deski i materiały budowlane nie pozostawiają wątpliwości, że trwają tu gorączkowe prace.

Po obiekcie oprowadzają nas dwie osoby, które tworzą to miejsce od podstaw, które żyją tym miejscem i ich cały świat od miesięcy krąży wokół jednego słowa: Tygla.

To Marek Arcimowicz, dyrektor projektu i Wioletta Wrona-Gaj, kierowniczka Muzeum Przemysłu i Techniki. On uznany fotograf i dziennikarz, architekt z wykształcenia. Ona miłośniczka spraw muzealnych, artefaktów, koordynatorka merytoryczna, z czułością doglądająca każdego przedmiotu.

Kiedy już przekraczamy próg rodzącego się Tygla, pierwsze, co rzuca się w oczy, to okrągłe kondygnacje, które do samego sufitu wypełniają prze-



Marek Arcimowicz: - To muzeum ma uczyć, jednocześnie i budować szacunek dla tych, którzy stworzyli Wałbrzych takim, jakim jest obecnie

strzeń sporej, górniczej hali. W środku jest już wydzielone miejsce dla najważniejszego, centralnie posadowionego symbolu tego miejsca.

- To będzie ogromny dąb, który sięgnie ostatniej kondygnacji. Nie będzie to jednak zielone drzewo, a zrobione ze złomu, stali, przedmiotów które pochodzą głównie z tej kopalni. Dąb jest symbolem miasta, jest w jego herbie, będzie też nawiązaniem do drzewa genealogicznego miasta. Skojarzenia z nim wzbudzą też zdjęcia, które będą „powiewać” na gałęziach zamiast liści.

Krążąc wokół przestrzeni wystawieniowych, odwiedzający będą mogli oglądać te fotografie, wyłapywać wciąż nowe niuanse, przyglądać się twarzom ludzi, miejscom, w których zostali uchwyceni - mówi nam z błyskiem w oku Marek Arcimowicz. Bo co jak co, ale to właśnie fotografia towarzyszy mu przez co najmniej 30 lat i wydaje się być mu najbliższa.

Ale to dopiero początek niespodzianek i nieoczywistych elementów, które szykuje muzeum.

Czytaj str. 16-17

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

GAZETA WROCŁAWSKA
● przy SOBOCIE
tłumaczy, radzi, bawi...PONIEDZIAŁEK
● DODATEK SPORTOWY
Wyniki, tabele i analizyWTOREK
● PULS BIZNESU
Przepisy prawne, opinieŚRODA
● MAGAZYN ZDROWIE
Jak zadbać o siebie i bliskichCZWARTEK
● POD PARAGRAFEM
Historie kryminalnePIĄTEK
● PULS POLSKI
Reportaże i publicystyka

ZAMÓW PRENUMERATĘ: „GAZETA WROCŁAWSKA” z dostawą do Twojego domu lub biura. Tel. 71 72 76 237, e-mail: bok.prenumerata@polskapress.pl

Janusz Michalczyk

RATUJEMY, ALE PO
CO WŁAŚCIWIE?

Timmy - takie imię ktoś nadał humbakowi i dzięki temu wiele osób śledziło ze zwiększonym zainteresowaniem losy tego podobnego do wieloryba stworzenia, które zabłąkało się na płytkie, niemieckie wybrzeże Bałtyku. Jeżeli masz imię, to jesteś w jakimś sensie osobą i łatwo obdarzyć cię uczuciami. Kiedy kończysz życie, zrozumiała jest żaloba. Z humbakiem będzie prawdopodobnie jak z zaginionym w dramatycznych okolicznościach człowiekiem - należy się liczyć ze śmiercią, ale nie mamy pewności, czyba że cielsko wyląduje na plaży.

Eksperci, a także aktywiści z ekologicznej organizacji Greenpeace, uznali, że należy mocno osłabionemu i cierpiącemu humbakowi dać spokojnie umrzeć, ale znalazło się dwoje bogaczy, którzy postanowili sfinansować akcję ratunkową, polegającą na przeciągnięciu zwierzęcia na Morze Północne za pomocą specjalnego, zanurzonego w wodzie pojemnika. Przyklasnęło temu mnóstwo osób, bo poczuły głębszą więź emocjonalną z Timmy'm i źle się czuły ze świadomością, że nie można mu pomóc. Obserwowaliśmy sceny jakby zaczerpnięte z kina rodzinnego (statek holujący nazywał się „Robin Hood”). Na koniec zmaltretowanego humbaka wypuszczono na wolność i parę dni temu ślad po nim zaginął. Specjaliści zgadzają się, że jego szanse na przeżycie są nikłe. Do tej sytuacji pasuje chyba powiedzenie: operacja się udała, pacjent zmarł.

Mamy do czynienia ze zjawiskiem, jakie już dawno opisali psychologowie - wypieranie śmierci ze świadomości współczesnego, żyjącego w komfortowych warunkach człowieka, któremu nie grozi głód i chłód. Z tym że teraz nie chodzi już tylko o ludzi, ale też o zwierzęta, na które rzutowane jest współczucie. Kilka lat temu Paul Bloom wydał głośną książkę pt. „Przeciw empatii” i trudno oprzeć się wrażeniu, że miał rację, wskazując na szkodliwość mocno emocjonalnych reakcji, prowadzących do fatalnych skutków. Bloom zalecał racjonalne współczucie, a więc takie, gdy decyzje są przemyślane, a nie podejmowane spontanicznie albo gdy do głosu dochodzi instynkt stadny. Z pewnością ludzie kibicujący akcji z humbakiem poczuli się lepszymi istotami, ale czy ktoś z nich próbował wejść w skórę zwierzęcia? To by wymagało dłuższego namysłu i głębszej refleksji. No i to jednak zwierzę...

”

Spółeczeństwo nie może oczekiwać, że Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrzne rozwiąże za nie wszystkie problemy bezpieczeństwa

Płk Grzegorz Melecki, były szef Agencji Wywiadu

We Wrocławiu będzie sad
dostępny dla wszystkich

Na Wojszycach powstanie ścieżka rowerowa, którą przyozdobią drzewa owocowe

Konrad Bałajewicz
Wrocław

Ścieżka rowerowa ma być jednocześnie Sadem. Mieszkańcy będą mogli przejechać rowerem między drzewami, odpocząć na ławce, a przy okazji zerwać jabłko, gruszkę lub śliwkę. Za darmo.

Nowy trakt rowerowy powstanie zaniechanym terenie pomiędzy ul. gen. Grot-Roweckiego a ul. Radłową, w pasie zieleni między linią kolejową nr 285 a Rodzinnymi Ogrodami Działkowymi „X-Muza”. Wrocławskie Inwestycje podpisały już umowę z wykonawcą, firmą Rotomat.

Centralnym elementem projektu będzie 300-metrowa ścieżka pieszo-rowerowa, otoczona zielenią. Wyróżniać będzie ją otoczenie. Wzdłuż trasy posadzonych zostanie 49 drzew, przede wszystkim owocowych: jabłoni, gruszy i śliw.

Według zamysłu, każdy z przejeżdżających rowerzystów i spacerowiczów będzie mógł uszczknąć z nich pysznego owocu. Owocowe drzewa uzupełnią lipy drobnolistne, które mają przyciągać pszczoły i inne zapylacze. Pojawi się również około 150 krzewów, w tym jaśminowce, róże, trzmieliny i tawuły.

Ścieżka ma być też miejscem codziennego odpoczynku. Projekt zakłada ustawienie ławek i koszy na śmieci oraz budowę oświetlenia LED. Trasa ma mieć nawierzchnię z kruszywa i szerokość trzech metrów, choć miejscami zostanie zwężona, by zachować istniejące drzewa. Od strony ul. Radłowej ścieżka rozdzieli się na dwa odcinki omijające słup energetyczny. Z kolei od ul. Grot-Roweckiego zaplanowano osobne drogi dla pieszych i rowerzystów: chodnik z kostki brukowej oraz asfaltową drogę rowerową.

Wody opadowe i roztopowe spłyną grawitacyjnie na sąsiednie tereny zielone. Według umowy, „Sad Mieszkańca” będzie gotowy za pół roku.

ZDJĘCIE DNIA

Już dziś wielkie święto designu i unikatowego rzemiosła. 8 i 9 maja Legnica stanie się centrum europejskiej biżuterii artystycznej. Tegoroczna edycja Legnickiego Festiwalu SREBRO to ponad 1000 eksponatów, setki artystów i wystawy, które opanują serce naszego miasta. Program Festiwalu zapowiada się niezwykle bogato. W 10 punktach Legnicy zaprezentowanych zostanie 13 ekspozycji, na które składają się nie tylko unikatowe obiekty złotnicze, ale także plakaty, fotografie i sztuki wizualne. RED.



HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)
Dzień sprzyja działaniu, lecz uważaj na impulsy. Horoskop dzienny mówi, że spokój da przewagę i lepsze decyzje.

Ryby (19.02 - 20.03)
Skup się na relacjach z otoczeniem. Horoskop na dziś wróży, że mały gest może znaczyć więcej niż wielkie słowa.

Baran (21.03 - 19.04)
Komunikacja będzie kluczem. Horoskop dzienny na piątek radzi słuchać uważnie, bo ktoś chce przekazać ważną informację.

Byk (20.04 - 20.05)
Emocje mogą falować, ale intuicja cię poprowadzi. Horoskop dzienny radzi nie ignorować przeczuć.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)
Twoja energia będzie przyciągać uwagę. Horoskop na dziś sugeruje wykorzystać ją mądrze, by osiągnąć coś naprawdę ważnego.

Rak (22.06 - 22.07)
Dzień sprzyja porządkom i planowaniu. Horoskop dzienny na piątek mówi, że małe kroki dziś stworzą solidne fundamenty jutra.

Lew (23.07 - 22.08)
Szukaj równowagi między pracą a odpoczynkiem. Horoskop dzienny zapowiada, że harmonia pozwoli uniknąć zbędnych napięć.

Panna (23.08 - 22.09)
Intensywne emocje mogą cię zaskoczyć. Horoskop na dziś podpowiada, by zachować kontrolę i działać z rozważą, a nie impulsem.

Waga (23.09 - 22.10)
Pojawi się okazja do nauki lub podróży. Horoskop dzienny na piątek radzi zachować otwartość na nowe doświadczenia i ludzi.

Skorpion (23.10 - 21.11)
Skoncentruj się na celach. Horoskop na dziś zapowiada, że wytrwałość dziś przyniesie efekty, choć mogą one być subtelne...

Strzelec (22.11 - 21.12)
Twoje pomysły będą cenne. Horoskop na dziś radzi podzielić się nimi, bo ktoś może pomóc ci je zrealizować.

Koziorożec (22.12 - 19.01)
Dzień sprzyja refleksji i twórczości. Horoskop dzienny na piątek radzi znaleźć chwilę dla siebie i pozwolić myślom swobodnie płynąć.

PRZEGLĄD MINIONEGO TYGODNIA

CZWARTEK, 30.04

Unia grozi sądem za Odrę

Komisja Europejska wszczęła postępowanie przeciwko Polsce w sprawie Odry. Zarzuca polskim władzom, że nie podjęły wystarczających działań po katastrofie ekologicznej z 2022 roku i nie odbudowują ekosystemu rzeki. Co więcej, główną przyczyną katastrofy - zasolenie rzeki - wzrosła. Komisja Europejska dała rządowi dwa miesiące na odpowiedź. Potem może zaskarżyć nasze państwo do Trybunału Spra-

wiedliwości UE. W 2022 roku nastąpiło zatrucie złotymi algami na odcinku 500 km rzeki od Gliwic po Szczecin. Zginęło wtedy 360 ton ryb. W 2024 r. katastrofa powtórzyła się, ale w mniejszej skali: z Odry wyłowiono kolejne 100 ton martwych ryb.

Hamuj, bo OPP

Uruchomiono kolejny odcinkowy pomiar prędkości (OPP) na autostradzie A4 - między Krzywą a Krzyżową na pasie w kierunku Zgorzelca. Odcinek liczy 10,3 km. Obowiązuje tam prędkość 110 km/h dla samo-

chodów osobowych i 80 km/h dla ciężarowych. W planie jest też OPP na tym samym odcinku, ale na pasie w kierunku Wrocławia.

PIĄTEK, 1.05

„Hej Joe” bez rekordu

To była 24. edycja Gitarowego Rekordu Świata. Na wrocławskim Rynku zebrało się 7649 gitarzystów, którzy wspólnie zagraли „Hey Joe”. To jednak było za mało, by pobić dotychczasowy rekord - 8123 gitary z 2025 r. Organizator imprezy Leszek Cichoński mierzy ambitnie w 10 tysięcy gitar. Może za rok?

Tragiczny skok

39-letni mieszkaniec powiatu wrocławskiego poniósł śmierć podczas skoku ze spadochronem z 4 tys. metrów. Organizator podał, że po wyrzucie skoczków wszystkie spadochrony były poprawnie otwarte. Czterech skoczków wylandowało w wyznaczonym miejscu, natomiast jeden podczas lądowania „wykonał agresywny zakręt na zbyt małej wysokości, co skutkowało silnym uderzeniem w zie-

mię”. Skoczek poniósł śmierć na miejscu. Był to jego 1070. skok.

SOBOTA, 2.05

Zatrzymali podpalaczy

Dwaj mieszkańcy gminy Pieńsk usłyszeli zarzuty podpalenia dwóch budynków mieszkalnych. Jeden był remoncie, drugi to pustostan. 32-latek i 54-latek mieli podkładać ogień wewnątrz budynków.

NIEDZIELA, 3.05

Posłanka pyta

Czy pieniądze z ratusza mogły mieć wpływ na decyzję o niewyemitowaniu materiału TVP3 Wrocław o Jacku Sutryku? - pyta Marta Stożek. Posłanka Razem złożyła zawiadomienie w sprawie możliwych nieprawidłowości dotyczących relacji finansowych miasta z wrocławskim oddziałem Telewizji Polskiej. Sprawa dot. reportażu przygotowanego w TVP3 Wrocław przez Roberta Jałocha o akcie oskarżenia wobec prezydenta miasta Jacka Sutryka w sprawie jego studiów w Collegium Humanum, ale nie trafił na antenę.



3 maja wojewoda Anna Żabska wezwała do jedności w obliczu zagrożeń dla kraju

PONIEDZIAŁEK, 4.05

Ruszyły matury

Prawie 23 tysiące młodych Dolnoślązaków rozpoczęło pisemnym z języka polskiego egzamin maturalny. W samym Wrocławiu zdaje 10,2 tys. osób.

Chcemy agencję

Stolica Dolnego Śląska rywalizuje z kilkoma dużymi miastami Polski o ulokowanie w niej centrum rozwojowo-badawczego Europejskiej Agencji Kosmicznej. Wrocław

zapropował dwie lokalizacje: Wrocławski Park Technologiczny oraz Port Łukasiewicz.

WTOREK, 5.05

Zlikwidowali gang tytoniowy

W sumie zatrzymano w trzech województwach, w tym w dolnośląskim, 18 osób. Grupa działała od lipca 2022 roku do lutego 2026 roku. W tym czasie wprowadziła do obrotu ponad 485 mln sztuk papierosów bez polskich znaków akcyzy. Straty Skarbu Państwa oszacowano na 640 mln zł. Podczas akcji zabezpieczono ponad 13 mln papierosów o wartości ponad 12 mln zł oraz kompletną linię technologiczną do ich produkcji.

ŚRODA, 6.05

Za mobbing

Świdnicki sąd podniósł z 35 tys. zł do 50 tys. zł kwotę zadośćuczynienia dla policjanta, który był mobbingowany przez dwóch naczelników w wałbrzyskiej komendzie. **Zebrał GCH**



2 maja, z okazji Dnia Flagi, Legniczanie tradycyjnie już rozwinęli 550-metrową białą-czerwoną

FOT. PIOTR KRZYŻANOWSKI

Wałbrzyski koszykarz powraca - na muralu

Paweł Gołębiowski
Wałbrzych

W Wałbrzychu powstaje ogromny mural z wizerunkiem Mieczysława Młynarskiego. Projekt przygotowała graficzka Agnieszka Kuglasz-Siodlak.

Mieczysław Młynarski, wybitny przed laty koszykarz, legenda Górnik Wałbrzych, jeden z najlepszych koszykarzy w historii polskiej koszykówki, zmarł 20 czerwca 2025 roku. Był też przez pewien czas trenerem, m.in. Polonii Świdnica.

Wspominają go tam w wielkim szacunku. Wielbicieli koszykówki bardzo przeżyli śmierć wybitnego zawodnika i trenera. Główna część wspaniałej kariery „Młynarza” związana jest jednak z Wałbrzychem. Z Górnikami zdobywał medale mistrzostw Polski, w tym ten najcenniejszy, był też kilka razy królem strzelców ekstraklasy. W 1982 roku ustanowił on fantastyczny rekord zdobytych punktów w jednym meczu ekstraklasy koszykarzy. Młynarski, który słynął ze swoich umiejętności strzeleckich, rzucił 90 „oczek”!



Malowanie muralu dobiega końca. Możemy go oglądać na ścianie kamienicy przy Placu Górnika

FOT. PAWEŁ GOŁĘBIOWSKI

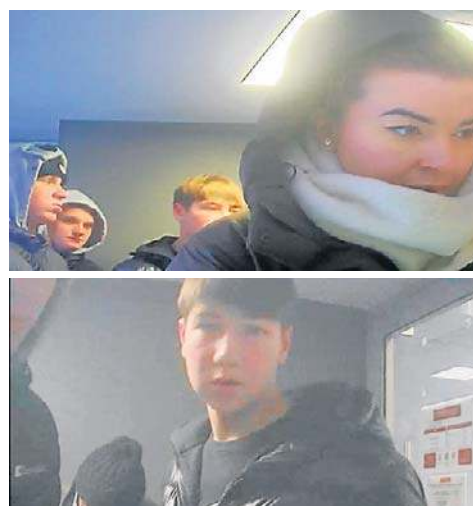
Przejęte konta przez oszustwo internetowe. Rozpoznajesz ich?

Mateusz Różański
Wrocław

Legnicka policja opublikowała wizerunki osób, które wypłacały gotówkę z bankomatów, korzystając z nielegalnie pozyskanych kodów BLIK. W ten sposób dwie osoby straciły łącznie 17 tys. zł.

Dochodzenie dotyczy oszustwa na szkodę dwóch mieszkańców Legnicy. Straty pokrzywdzonych wynoszą 17 tys. złotych. Mechanizm działania sprawców opierał się na przejęciu kont w mediach społecznościowych. Postępowanie prowadzone jest przez funkcjonariuszy zajmujących się przestępczością gospodarczą pod nadzorem Prokuratury Rejonowej w Legnicy.

- W jednym z przypadków po przejęciu konta jednego z użytkowników rozesłano do jego znajomych wiadomości z prośbą o pilne opłacenie zamówienia i przekazanie kodu BLIK. W drugim - osoba sprzedająca przedmiot w internecie otrzymała fałszywy link od rzekomego kupującego, co doprowadziło do utraty środków - mówi



Policja opublikowała zdjęcia osób wypłacających pieniądze

komisarz Jagoda Ekiert z Komendy Miejskiej Policji w Legnicy.

Wypłaty w Warszawie i Żyrardowie

Ustalono, że wypłaty gotówki z bankomatów miały miejsce w Warszawie przy Placu Konstytucji 6 oraz w Żyrardowie przy ul. Okrzei 1. Analiza zabezpieczonych nagrań pozwoliła wytypować osoby widoczne na zdję-

ciach jako tzw. „odbieraków” pieniędzy. W związku z prowadzonym postępowaniem opublikowano kadry z monitoringu. Osoby, które rozpoznają widoczne na zdjęciach postacie lub posiadają informacje mogące pomóc w ustaleniu ich tożsamości, proszone są o kontakt z prowadzącymi sprawę.

Informacje można przekazywać do Wydziału do Walki z Przestępczością Gospodarczą Ko-

mendy Miejskiej Policji w Legnicy, powołując się na numer sprawy WR.183.RSD.148.2026. Osoba prowadząca postępowanie: asp. sztab. Joanna Szławieniec, tel. 47 874 15 89, e-mail: joanna.szlawieniec@legnica.wr.policja.gov.pl

- Każda, nawet drobna informacja, może pomóc w ustaleniu osób odpowiedzialnych za oszustwo - dodaje komisarz Jagoda Ekiert.

ZDJEŃCA POLICJA LEGNICA

nasz REGION

KRÓTKO

TRZEBNICA

Burmistrz z zarzutami. Policja apeluje do świadków

Przekroczenie uprawnień, nie dopełnienie obowiązków, przyjmowanie korzyści majątkowych - takie zarzuty przedstawiła prokuratura burmistrzowi Trzebnicy. Marek Długozima twierdzi, że został bezpodstawnie pomówiony. Teraz funkcjonariusze z Wydziału do Walki z Korupcją KWP we Wrocławiu apelują do świadków i poszkodowanych: Osoby, które mają wiedzę lub uczestniczyły w procederze uzyskiwania nagród

uznaniowych uzależnionych od przekazania jej części burmistrzowi bądź udzielały korzyści majątkowych z innych powodów, proszone są o kontakt z Wydziałem do Walki z Korupcją KWP we Wrocławiu pod numerem telefonu: 47 8714878. Policja przypomina, że osoby, które poinformują o tym procederze organy ścigania zanim organy te pozyskają w tym zakresie wiedzę, nie podlegają odpowiedzialności karnej. MF

KAMIENIEC ZĄBKOWICKI

Mandat niczego go nie nauczył



FOT. POLICJA ZĄBKOWICE ŚLĄSKIE

Jadący Hoindą 30-latek dostał mandat za przekroczenie prędkości. Następnie, już po 10 minutach, miał wypadek. Nie dostosował prędkości do warunków na jezdni i rozbił się na drzewie na trasie między Złotym Stokiem a Kamieńcem Ząbkowickim. Trafił do szpitala. Remigiusz Biały

WROCŁAW

Skreślony z listy pasażerów

Miało być śmiesznie, ale nikomu do śmiechu nie było. Podczas nadawania bagażu na lot do Hiszpanii 49-letni obywatel Polski oznajmił pracownikowi obsługi, że w jego walizce znajduje się... bomba. Choć chwilę później próbował tłumaczyć, że to jedynie forma żartu, było już za późno. Na lotnisku natychmiast wdrożono procedury bezpie-

czeństwa przewidziane na wypadek zagrożenia bombowego - informuje Nadodrzkański Oddział Straży Granicznej. Do akcji wkroczyli pogranicznicy z Zespołu Interwencji Specjalnych, którzy zabezpieczyli i przeszukali walizkę. Bomby, faktycznie, nie znaleźli. Ale mężczyznę ukarano mandatem i został skreślony z listy pasażerów. RB

LUBIN

Wynajął i nie oddał Toyoty za 150 tysięcy złotych
Gdy minął termin zwrotu auta, firma wynajmująca zdalnie zablokowała zapłon. Policja szybko wpadła na trop złodziei - dwóch mężczyzn i kobiety. Grozi im do 10 lat więzienia.

ZGORZELEC

Ukradł w sklepie 30 batonów. Ale nie zdołał uciec.
Nie chciał zapłacić 160 zł za zakupy, więc sklepowa z klientem zamknęła go w sklepie do przyjazdu policji. 25-latkowi udowodniono też inne kradzieże na 5 tys. zł.



FOT. POLICJA

KROŚNICE

Uroczyscie otwarto nowy posterunek policji
Działkę pod posterunek przekazała gmina Krośnice. Budowa zrealizowana została w formie budownictwa modułowego 3D i sfinansowana z budżetu państwa.

Wielka obława na pedofilów. Najstarszy z nich ma... 94 lata

Karolina Kwiatek
Wrocław

Policja zatrzymała 123 osoby, które są podejrzane o szerzenie pedofilii sieci. Wśród zatrzymanych jest 8 osób, którymi zajmuje się prokuratura Wrocław - Stare Miasto. Już usłyszeli zarzuty.

Doniesienia o ogólnopolskiej akcji służb potwierdza Damian Pownuk, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej we Wrocławiu.

Na ten moment wiadomo, że na terenie działania wrocławskich śledczych zatrzymano 8 osób (prokurator nie zdradza płci, wieku ani okolicy, w jakiej mieszkają). Wiadomo jednak, że wpadli w ręce policjantów z Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości i mundurowych z Wydziału do Walki z Handlem Ludźmi w drugiej połowie kwietnia 2026 roku.

- W toku postępowania przygotowawczego ośmiu osobom przedstawiono zarzuty posiadania na prywatnych komputerach i telefonach, treści pornograficznych z udziałem małoletnich oraz treści pornograficznych przedstawiających wytworzony lub przetworzony wizerunek małoletniego uczestniczącego w czynności seksualnej - przekazuje Damian Pownuk i dodaje, że podejrzanym grozi do 5 lat więzienia.



FOT. PEXELS

W ramach ogólnopolskiej operacji „Hellfire” przeciw internetowej działalności pedofilskiej zatrzymano 123 osoby, w tym 8 przez wrocławską prokuraturę

Dodatkowo, dwóch spośród ośmiu podejrzanych miało rozpowszechniać pornografię dziecięcą, za co przewiduje się nawet do 15 lat kary.

Operacja Hellfire

Zatrzymania we Wrocławiu są dopiero wierzchołkiem góry lodowej. Przestępstwa zostały ujawnione w ramach ogólnopolskiej operacji „Hellfire”, skierowanej przeciwko internetowej działalności o charakterze pedofilskim. Łącznie zatrzymano 123 osoby.

Najmłodsza z tych zatrzymanych osób miała 19 lat, najstarsza... 94 lata.

Prokurator Przemysław Nowak z Prokuratury Krajowej informuje, że finalnie zarzuty postawiono 95 osobom, a 47 trafiło do aresztu. Zdaniem śledczych podejrzani mieli m.in.: produkować, posiadać, utrzymywać i rozpowszechniać treści pornograficzne z udziałem małoletnich, a także dopuszczać się groomingu (czyli uwodzenia małoletnich przez internet).

Przeprowadzono ponad 177 przeszukań, zabezpie-

czono 1500 urządzeń sprzętu teleinformatycznego i nośników danych (telefony, komputery, laptopy, dyski, pendrive itp.), na których po wstępnej analizie ujawniono blisko 330 tys. plików wideo i zdjęć mogących zawierać treści o charakterze pedofilskim - mówi prokurator Przemysław Nowak, rzecznik prasowy Prokuratury Krajowej.

Sprawa jest w toku. Podejrzanym grozi do 15 lat więzienia. Czynności procesowe są prowadzone przez śledczych z 64 prokuratur.

Droższe paliwo, mniej lotów do Kopenhagi

Remigiusz Biały
Wrocław

Skandynawskie linie lotnicze SAS ograniczają liczbę lotów na trasie Wrocław-Kopenhaga. W majowym rozkładzie przewoźnik zmniejszy liczbę rotacji z 49 do 38.

Dokończenie ze strony 1

Rzecznik skandynawskich linii lotniczych SAS, Øystein Schmidt, przekazał norweskiemu dziennikowi „Dagbladet”, że większość zmian dotyczy tras o dużej czę-

stotliwości, gdzie pasażerów zwykle można przebookować na inny lot tego samego dnia.

Na decyzje przewoźnika wpływają rosnące koszty operacyjne.

Cena paliwa razy dwa

Ceny paliwa lotniczego wystrzeliły w górę - tona kerozyny kosztuje obecnie około 1800 dolarów, czyli dwukrotnie więcej niż na początku roku. W połączeniu z napiętą sytuacją na Bliskim Wschodzie i zakłóceniami w transporcie morskim linie lotnicze

szukają oszczędności przede wszystkim na trasach krótkodystansowych, gdzie marże są najniższe.

Cięcia w europejskiej siatce SAS

Największe zmiany dotyczą lotów z głównego hubu SAS w Kopenhadze. Przewoźnik obniża częstotliwość wielu połączeń na kontynencie, a majowy rozkład jest o blisko 5 procent mniejszy niż planowano. W praktyce oznacza to setki odwołanych rotacji w całej Europie.

Redukcje dotyczą również innych polskich portów, choć w mniejszej skali niż we Wrocławiu.

W maju SAS wykona:

- 113 zamiast 118 lotów do Gdańska,
- 53 zamiast 57 rotacji do Krakowa,
- 40 zamiast 47 lotów do Poznania.

Łącznie przewoźnik zrezygnuje z 27 rotacji mniej na trasach między Polską a Kopenhagą. Najwięcej, bo połączeń ściętych zostanie właśnie na trasie z Wrocławia.

ORLEN wzmacnia bezpieczeństwo Polaków. 20 mln zł dla strażaków w całym kraju

W ramach 25. jubileuszowej edycji programu „ORLEN na straży”, Fundacja ORLEN przeznaczy 20 mln zł na wsparcie jednostek straży pożarnej w całej Polsce. To jeden z największych i najdłużej realizowanych programów wspierających strażaków, który realnie wzmacnia gotowość służb ratowniczych i system bezpieczeństwa kraju.

Gdy w środku nocy słychać syreny alarmowe, nikt nie pyta, czy to dobry moment. Strażacy po prostu ruszają do akcji. Gaszą pożary, wyjeżdżają do wypadków, śpieszą z pomocą w czasie podtopień, awarii linii energetycznych czy rozlanego paliwa. Tam, gdzie inni doświadczają nagłych i przykrych zdarzeń, oni natychmiast przystępują do działania, niosąc pomoc każdemu, kto jej potrzebuje. Aby jednak robić to skutecznie, strażacy również potrzebują wsparcia – zapewnia je program „ORLEN na straży”.

To jedna z największych inicjatyw realizowanych w naszym kraju, która realnie wspiera jednostki straży pożarnej. W 2026 roku Fundacja ORLEN przeznaczy na ten cel 20 mln zł. Budżet pozwoli na lepsze przygotowanie jednostek, wyposażenie ich w nowocześniejszy sprzęt, zwiększenie bezpieczeństwa ratowników i sprawniejsze działania wszędzie tam, gdzie liczy się każda minuta. Jubileuszowa, 25. edycja programu potwierdza, że to inicjatywa realizowana w sposób przemysłany, konsekwentnie i odpowiedzialnie.

Program, który odpowiada na realne potrzeby

„ORLEN na straży” to wsparcie zarówno dla jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej, jak i Państwowej Straży Pożarnej. Dwa lata temu program przeszedł istotną przemianę, odpowiadając na zgłaszane przez strażaków potrzeby. Wsparcie zostało rozszerzone – obok finansowania sprzętu większy nacisk położono na rozwój kompetencji, szkolenia i przygotowanie do coraz bardziej wymagających zadań. Od tego czasu w ramach programów strażackich ORLEN przyznał granty o łącznej wartości ponad 36,8 mln



zł, wspierając 756 jednostek w całej Polsce.

Korzyści płynące z tej inicjatywy najlepiej ilustruje wypowiedź Michała Treski, Prezesa Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo: – *Wsparcie z programu „ORLEN na straży” w przypadku naszej jednostki przełożyło się na bardzo konkretne i odczuwalne zwiększenie zdolności operacyjnych. Przede wszystkim znacząco poprawiły się bezpieczeństwo i gotowość bojowa strażaków dzięki doposażeniu w nowe ubrania specjalne. Pozwala to większej liczbie ratowników jednocześnie brać udział w działaniach w strefie zagrożenia. Ma to więc bezpośredni wpływ na szybkość reakcji oraz skalę interwencji. Ubrania specjalne to nasz najważniejszy środek ochrony, a jego sprawność i nowoczesność chronią nasze zdrowie i dają spokój działania.*

Projekt pozwolił nam także odpowiedzieć na nowe wyzwania wynikające z rozwoju technologii, takie jak pożary instalacji fotowoltaicznych czy pojazdów elektrycznych. Doposażenie jednostki w dedykowany sprzęt gaśniczy oraz narzędzia do działań technicznych, w tym do siłowego otwierania drzwi, zwiększyło skuteczność interwencji w sytuacjach bezpośredniego zagrożenia życia. W efekcie nasza jednostka nie tylko działa szybciej, lecz też jest przygotowana na znacznie szerszy zakres zdarzeń.

W tegorocznej edycji zaprojektowano cztery ścieżki ubiegania się o granty. Każda z nich odpowiada na inny typ zagrożeń i inny profil działań ratowniczych.

Cztery ścieżki, jeden cel – skuteczniejsze działania

Pierwsza ścieżka grantowa dotyczy ratownictwa związanego z wypadkami drogowymi. Jednostki mogą ubiegać się tu o grant do 50 tysięcy złotych. Wypadki drogowe należą dziś do najbardziej wymagających interwencji. Tu liczy się nie tylko czas, ale też precyzja, odpowiedni sprzęt i właściwe przygotowanie zespołu.

Druga ścieżka to ratownictwo związane z przemysłem chemicznym oraz z instalacjami odnawialnych źródeł energii, obejmującymi infrastrukturę Grupy ORLEN. Tu niezbędne wyposażenie i przygotowanie strażaków jest jeszcze bardziej wymagające. Jednostki OSP i PSP mogą wnioskować nawet o 150 tysięcy złotych, co pozwala realnie zwiększyć gotowość do działania przy tego typu zagrożeniach.

Trzecia ścieżka to szeroko rozumiana walka ze skutkami zmian klimatycznych. Powodzie, pożary terenów otwartych, gwałtowne wichury są dziś coraz częstszy zjawiskami i stanowią codzienną służb ratunkowych. Aplikując w tym obszarze, jednostki OSP mogą otrzymać do 40 tysięcy złotych.

I wreszcie czwarta ścieżka – wsparcie dla jednostek OSP

spoza krajowego systemu ratowniczo-gaśniczego, które chcą osiągnąć wymagane przez system standardy i rozwijać swoją gotowość operacyjną. To bardzo ważny element programu, ponieważ wzmacnia także te jednostki, które chcą rozbudować swój potencjał.

„ORLEN na straży” to także edukacja i szkolenia

Program nie ogranicza się tylko do finansowania wyposażenia – bardzo mocno stawia na bezpośrednie wsparcie strażaków. Każda jednostka, która otrzyma grant, musi przeznaczyć minimum 20% środków na szkolenia, kursy, warsztaty lub wsparcie psychologiczne. – *Środki z programu zostały w naszym przypadku wykorzystane nie tylko na zakup sprzętu, ale właśnie na rozwój kompetencji strażaków-ochotników, co było bardzo ważne dla pełnego wykorzystania potencjału projektu. Zorganizowaliśmy szkolenia specjalistyczne, obejmujące między innymi ratownictwo chemiczne, działania przy wyciekach gazu oraz reagowanie na zagrożenia związane z nowoczesnymi technologiami, takimi jak instalacje fotowoltaiczne czy pojazdy elektryczne. Udało nam się zrealizować te szkolenia na profesjonalnych poligonach, co bez finansowania z projektu nie byłoby możliwe – mówi Michał Treska z OSP Gdańsk-Sobieszewo. – Duży nacisk położyliśmy również na praktyczne warsztaty, które pozwoliły prze-*

ćwiczyć wykorzystanie nowo zakupionego sprzętu w realistycznych scenariuszach działań. Dzięki temu wiedza nie pozostała wyłącznie teoretyczna, a sprzęt nie trafia jedynie „na półkę”. Istotne było dla nas także to, aby w szkoleniach uczestniczyło jak najwięcej strażaków, co przekłada się na większą elastyczność i gotowość zespołu w codziennej służbie. Udało nam się część szkoleń zrealizować również przy użyciu technologii VR, która choć nie zastępuje działań w terenie, to stanowi wartościowe uzupełnienie i daje możliwość utrwalania procedur „na sucho” poprzez ich wielokrotne powtarzanie w dowolnie wybranym momencie.

W ramach projektu realizujemy również działania z zakresu wsparcia psychologicznego. To szczególnie istotne, ponieważ ten obszar ma ogromne znaczenie w naszej działalności, a dopiero od niedawna dostrzega się jego znaczenie. Należy pamiętać, że ochotnicy wykonują swoje działania dodatkowo, w ramach wolnego czasu, który mogliby spędzić na przykład z rodzinami. Zdarzenia, z którymi się mierzą, są często trudnym doświadczeniem. A przecież

nasi członkowie, strażacy i strażaczki, to „twardzi ludzie” i często sami nie umieją poprosić o pomoc, by rozładować napięcie, które się w nich gromadzi. Warsztaty w obszarze wsparcia psychologicznego skupiały się więc na radzeniu sobie ze stresem oraz na funkcjonowaniu po trudnych akcjach ratowniczych – zaznacza Prezes Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo.

Nabór do 25. edycji programu „ORLEN na straży” trwa do 30 czerwca

Wnioski w ramach tegorocznego naboru do programu można składać do 30 czerwca 2026 roku za pośrednictwem specjalnego formularza na stronie internetowej orlennastry.pl. Wyniki zostaną ogłoszone najpóźniej 11 września. We wniosku należy szczegółowo opisać planowany projekt, uzasadnić jego znaczenie dla bezpieczeństwa lokalnej społeczności oraz przedstawić kosztorys. Pomocna jest tu platforma aplikacyjna, która przeprowadzi krok po kroku przez cały proces i nie pozwoli niczego pominąć. Cały proces naboru odbywa się drogą elektroniczną. Zachęcamy do wzięcia udziału w programie „ORLEN na straży”.



Michał Treska, Prezes Zarządu Ochotniczej Straży Pożarnej Gdańsk-Sobieszewo.

„Kamieńczyk” będzie nadal woził Poznaniaków do Szklarskiej Poręby?

Alina Gierak
Jwelenia Góra

Regionalny pociąg „Kamieńczyk” zapewnia mieszkańcom Wielkopolski bezpośredni dojazd do nasze góry. Gdy pojawiła się groźba, że pociąg zniknie, podróżni byli zrozpaczeni. Pszło o pieniądze.

Interregionalny pociąg „Kamieńczyk” relacji Szklarska Poręba - Poznań kursuje od 20 lat. Trasa liczy 323 km. To jedyny pociąg obsługiwany przez Przewozy Regionalne, który jeździ liniami kolejowymi nr 274 i 311. Pozostałe połączenia obsługiwane przez Koleje Dolnośląskie i PKP Intercity. Na początku roku zawisło nad „Kamieńczykiem” widmo likwidacji. Poszło o pieniądze. Pociągi są współfinansowane przez samorządy - wielkopolski i dolnośląski, ale marszałkowie nie mogli się dogadać.

W ramach prac nad nowym rozkładem jazdy od grudnia 2026 r. Dolny Śląsk zaproponował w styczniu nie tylko dalsze kur-



FOT. POLREGIO

Było dużo wątpliwości, czy pociąg „Kamieńczyk”, który zapewnia mieszkańcom Wielkopolski dojazd do Szklarskiej Poręby będzie kursował także w 2027 roku. Jednak władze województwa są już na drodze do kompromisu w tej sprawie

sowanie tego pociągu, ale również ponowne uruchomienie połączeń osobowych między Poznaniem a Wrocławiem i rozbudowę oferty przewozowej na linii z Wrocławia do Ostrowa Wielkopolskiego. Wielkopolska nie odpowiedziała na te propozycje. Milczała do kwietnia. - Nie przekazano nam ponadto jakiegokolwiek rozwiązania alternatywnego - wyjaśnia Michał Nowa-

kowski, rzecznik prasowy marszałka dolnośląskiego.

Michał Nowakowski wskazuje, że dopiero kilka dni temu pojawiła się refleksja ze strony Wielkopolski i zostało zaplanowane spotkanie robocze na połowę maja. - To oznacza, że rozmowy trwają i zmierzają w dobrym kierunku, aby wypracować szczegóły współpracy - mówi rzecznik.

PROPOZYCJE WOJEWÓDZTWA DOLNOŚLĄSKIEGO

Samorząd woj. dolnośląskiego przedstawił szczegóły dotyczące proponowanej organizacji połączeń kolejowych na styku z Wielkopolską. Linia Wrocław - Poznań uruchamianie co 1 godz. (w szczycie komunikacyjnym co 30 min) pociągów osobowych Wrocław - Rawicz - Wrocław; obsługa przez Koleje Dolnośląskie; uruchamianie co 2 godz. pociągów regionalnych ekspresowych Wrocław - Leszno - Wrocław; KD; kontynuacja pociągu „Kamieńczyk” w relacji Poznań - Szklarska Poręba - Poznań; Polregio;

ponowne uruchomienie dodatkowych dwóch par pociągów osobowych Poznań - Wrocław - Poznań; Polregio. Linia Leszno - Wschowa - Głogów (we współpracy z Województwem Lubuskim) uruchomienie 8 codziennych par połączeń w relacji Leszno - Wschowa - Głogów i z powrotem (cykl 2-godzinny), skomunikowanych w Lesznie i Głogowie (z pociągami do Wrocławia, Lubina, Legnicy i Zielonej Góry); obsługa przez Koleje Wielkopolskie. Linia Wrocław - Oleśnica - Krotoszyn uruchomienie 7 codziennych

par połączeń Wrocław - Oleśnica - Krotoszyn i z powrotem; KD. Linia Wrocław - Oleśnica - Ostrowo Wielkopolski uruchomienie 7 codziennych par połączeń Wrocław - Oleśnica - Ostrowo Wielkopolski i z powrotem (zamiast dzisiejszych 6 par połączeń) obsługiwanych przez KD, uzupełnionych o 3 dodatkowe pary połączeń w relacji Ostrowo Wielkopolski - Oleśnica - Ostrowo Wielkopolski obsługiwane przez KW, skomunikowanych w Oleśnicy z pociągami z/do Wrocławia (łącznie rozbudowa z 6 do 10 par połączeń).

Podkreśla, że woj. dolnośląskie deklaruje wolę wypracowania we współpracy z woj. wielkopolskim kompromisowego rozwiązania w zakresie regionalnych połączeń kolejowych

uruchamianych pomiędzy naszymi województwami. TVP Poznań kilka dni temu podała, że zapadła decyzja w sprawie „Kamieńczyka”. Finansowanie bezpośrednich pociągów

z Poznania do Wrocławia i dalej do Szklarskiej Poręby w pełni bierze na siebie woj. wielkopolskie. A Koleje Dolnośląskie od czerwca będą dojeżdżać do Leszna.

REKLAMA

0011519917

TARCZYŃSKI

Otwórz się na WIĘCEJ!

DOŁĄCZ DO NOWOCZESNEJ FIRMY, KTÓRA ZAPEWNI CI ROZWÓJ I STABILIZACJĘ.

Zatrudniamy specjalistów w działach:

- Utrzymania Ruchu i Automatyki
- Technologii
- Jakości
- Sprzedaży
- Zarządzania Produkcją
- Administracji

Oferujemy:

- Pracę w zakładzie produkcyjnym w Ujeźdźcu Małym pod Wrocławiem
- Bezpłatną stołówkę
- Bony i paczki świąteczne
- Dofinansowanie do kształcenia (szkoły, studia, kursy, szkolenia)
- Bilety na koncerty oraz mecze Panthers Wrocław
- Prywatną opiekę medyczną LUXMED
- Kartę Multisport
- Ubezpieczenie na życie
- Atrakcyjny program poleceń pracowników

Poznaj szczegóły:

tarczynskipraca.pl
726-665-555
rekrutacja@tarczynski.pl

Zbudują tunel, który zakończy wędrówki pieszych i rowerzystów przez tory

Konrad Bałajewicz
Wrocław

Jest przetarg na projekt budowy tunelu pod torami w rejonie Kanału Miejskiego, przy Mostach Warszawskich. Teraz ludzie podejmują ryzyko i przechodzą przez torowisko linii kolejowej.

Tunel powstanie na pograniczu Kleczkowa i Ołbina, pod nasypem linii kolejowej nr 143, po południowej stronie Kanału Miejskiego, zaraz przy Mostach Warszawskich. Jego długość ma wynosić zaledwie około 20 metrów, ale będzie miał duże znaczenie dla rowerzystów i pieszych.

Dlaczego tunel w tym miejscu jest potrzebny? Dziś linia kolejowa blokuje ciągłość trasy spacerowej i rowerowej biegnącej wzdłuż kanału. Piesi i rowerzyści nie mogą przedostać się w legalny sposób na drugą stronę torów. Wchodzą więc na nasyp i przechodzą przez szyny, co stwarza niebezpieczne sytuacje.

Tunel pozwoli przemieszczać się wzdłuż południowego Kanału Miejskiego od terenów, które się rozbudowują i rozwijają w stronę nowego osiedla



GRAFIKA WROCŁAWSKIE INWESTYCJE

Tak ma wyglądać 20-metrowy tunel pod torami koło Mostów Warszawskich

w rejonie Browarów Wrocławskich. Rowerzyści i piesi będą mogli bez przeszkód dostać się z okolic ul. Zakładowej i Miłosza do ul. Jedności Narodowej. Tunel łączy odcinek trasy od Mostów Warszawskich i Trzebnickich. Dodatkowo inwestycja obejmie ponad 100-metrowy odcinek drogi dla rowerów i chodnika.

Ogłoszony przez Wrocławskie Inwestycje przetarg dotyczy przygotowania dokumentacji projektowej, która pozwoli rozpocząć budowę. Wykonawca będzie odpowiedzialny

m.in. za: wykonanie pomiarów terenu, opracowanie projektów branżowych (drogowego, konstrukcyjnego i oświetleniowego), zaplanowanie systemu odwodnienia, uzyskanie uzgodnień środowiskowych i konserwatorskich, zdobycie wszystkich wymaganych decyzji administracyjnych.

Na realizację tego etapu przewidziano 18 miesięcy od podpisania umowy. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jest szansa, że w 2028 roku rozpocznie się budowa tunelu.

Legnickie kino zamieni się w inkubator przedsiębiorczości

Mateusz Różański
Legnica

W Legnicy podpisano umowę na dofinansowanie przebudowy dawnego Kina Ognisko. Powstanie tu inkubator przedsiębiorczości za 45 mln zł, ale miasto dostanie 25 mln zł dofinansowania z Unii.

Kultowe Kino Ognisko zmieni się w inkubator przedsiębiorczości. Pochłonie łącznie 45 mln złotych. Podpisano stosowne dokumenty potwierdzające dofinansowanie. Sygnowali je prezydent Legnicy Maciej Kupaj oraz marszałek dolnośląski Paweł Gancarz.

Projekt zakłada, że inwestycja zamknie się w kwocie 44,5 mln zł. Dofinansowanie z Funduszy Europejskich to 25,4 mln zł. Pozostałą kwotę miasto będzie musiało zapewnić w swoim budżecie. Co istotne, główna sala Ogniska zachowa swój charakter i będzie pełniła funkcję sali konferencyjnej.

- To historyczny moment, przywracamy do życia cenny dla miasta zabytek, nadając mu nowe funkcje - tłumaczy Maciej Kupaj.

Umowa zakłada m.in. opracowanie dokumentacji projektowej, przeprowadzenie robót budowlanych, wykonanie niezbędnych instalacji, zagospodarowanie terenu oraz odtworzenie infrastruktury zewnętrznej. Projekt obejmuje także zakup wyposażenia, nadzory in-



Zaraz po wojnie było tu kino Polonia, potem przemianowane na Ognisko. Sala kinowa po modernizacji nie zniknie - będzie służyła jako sala konferencyjna

westorskie i autorskie oraz działania informacyjno-promocyjne.

- Celem przedsięwzięcia jest stworzenie miejsca, które będzie wspierać rozwój sektora MŚP - szczególnie w obszarach nowoczesnych usług biznesowych, cyfryzacji i regionalnych

W Kinie Ognisko odbyła się premiera słynnego filmu Waldemara Krzystka „Mała Moskwa” (2008). Wkrótce potem obiekt zamknięto.

specjalizacji. Inkubator zapewni przestrzeń do świadczenia usług doradczych, szkoleniowych, proinnowacyjnych oraz do budowania relacji biznesowych i współpracy - dodaje Maciej Kupaj.

Od perły do ruiny

Budynek powstał pod koniec XIX wieku jako Konzerthaus (Central Theater). Sala mieściła ok. 1100 widzów. To właśnie tutaj, 5 maja 1945 roku, odbyła się pierwsza po II wojnie światowej na Dolnym Śląsku projekcja filmowa. Tuż po II wojnie światowej kino nazy-

wało się Polonia, a następnie Ognisko. Kino działało do 2009 roku, kiedy to w mieście powstał pierwszy multiplex.

Już wtedy obiekt wymagał remontu, ale teraz konieczna jest kompleksowa przebudowa. Wymienione muszą zostać stropy, instalacje, naprawiony dach, elewacja czy schody. Wojewoda przekazał miastu obiekt w 2011 roku. Władze miasta rozpoczęły starania o wywłaszczenie Legnickiej Spółdzielni Spożywców Spółem, która zarządzała częścią budynku. Finał nastąpił dopiero w roku 2023.

CBA w karkonoskiej agencji ws. wydawania pieniędzy dla powodzian

Alina Gierak
Jelenia Góra

Do Karkonoskiej Agencji Rozwoju Regionalnego weszli śledczy CBA. Kontrola rozpoczęła się po reportażu TVN. Kontrolować Agencję chce też Ministerstwo Rozwoju i Technologii.

Po publikacji reportażu telewizji TVN pt. „Hejt i układy po karkonosku”, dotyczącego lokalnych powiązań w powiecie karkonoskim, do jeleniogórskiej siedziby Karkonoskiej Agencji Rozwoju Regionalnego weszli agenci CBA.

Z ustaleń reportera Grzegorza Głuszaka wynika, że czynności CBA dotyczą sposobu wydatkowania środków publicznych przeznaczonych na pomoc dla powodzian.

TVN 24 podaje, że Biuro prasowe CBA, odpowiadając wcześniej na pytania dziennikarza, potwierdziło jedynie, że „funkcjonariusze CBA prowadzą czynności kontrolne”.

Wiceminister rozwoju i technologii Michał Jaros potwierdził, że niezależnie od działań CBA resort przeprowadzi również własną kontrolę w tej sprawie.

- Czasami praca dziennikarza ma sens, aby coś kontrola przyniosła, a nie skończyło się na niczym. Mam nadzieję, że pieniądze wrócą do najbardziej potrzebujących, którzy realnie stracili dobytek w czasie powodzi a nie cwaniaków, którzy żerują

na ludzkim nieszczęściu - napisał w mediach społecznościowych autor reportażu Grzegorz Głuszak.

Hubert Papaj, prezes KARR w Jeleniej Górze wyjaśnia: - Zależy nam na jak najszybszym wyjaśnieniu wszystkich kwestii, a wcześniejsze kontrole z Banku Gospodarstwa Krajowego potwierdziły zgodność z prawem naszych działań. Łącznie udzieliśmy blisko 800 pożyczek dla firm poszkodowanych w powodzi (tak są to pożyczki a nie dotacje). Każdy podmiot który składał do nas wniosek musiał posiadać m.in. zaświadczenie, iż został poszkodowany w wyniku powodzi wystawione przez właściwy organ samorządu terytorialnego (wójt, burmistrz, prezydent), dodatkowo załączane były szacunki szkód wykonane przez rzeczoznawców majątkowych, biegłych sądowych i inne uprawnione osoby. Na tej podstawie, oraz na podstawie dalszych dokumentów dokonywana była weryfikacja wniosków. Dziś na bieżąco kontrolujemy wykorzystanie środków zarówno poprzez sprawdzanie przedkładanej dokumentacji jak i dokonując kontroli u wnioskodawców na miejscu ich działalności.

Odnosnie opublikowanego reportażu w stacji TVN24 obecnie analizujemy sprawę pod kątem wystąpienia na drogę sądową w związku z naszym zdaniem szkalującymi nas informacjami.

Policja przechwyciła nielegalną „aptekę”

Redakcja
Wrocław

Legniccy policjanci zatrzymali mężczyznę, który handlował nielegalnymi sterydami anabolicznymi i środkami na erekcję.

Mieszkaniec powiatu legnickiego może posiadać oraz zajmować się handlem nielegalnymi wyrobami leczniczymi, w tym sterydami anabolicznymi oraz środkami stosowanymi do leczenia erekcji - dowiedziała się policja. Skrupulatnie prowadzone czynności i analiza informacji pozwoliły funkcjonariuszom odpowiednio przygotować realizację.

Policjanci dokonali przeszkania miejsca zamieszkania 43-latką oraz innych pomieszczeń, które użytkuje. Funkcjonariusze ujawnili tam znaczne ilości różnego rodzaju farmaceuty-

ków, które były przechowywane bez wymaganych prawem zezwoleń.

Łącznie policjanci zabezpieczyli 7950 fiolek i tabletek. Ponadto ujawniono środki anaboliczne służące do budowania masy mięśniowej 20 730 tabletek. Funkcjonariusze zabezpieczyli również 280 blistrów tabletek stosowanych do leczenia erekcji.

Tego typu środki, pochodzące z nielegalnych źródeł i wprowadzane do obrotu bez jakiegokolwiek kontroli, mogą stanowić poważne zagrożenie dla zdrowia i życia osób, które po nie sięgają. Zgodnie z przepisami za przechowywanie lub próbę wprowadzenia do obrotu produktów leczniczych bez wymaganego pozwolenia grozi kara do 5 lat pozbawienia wolności.

43-latek został zatrzymany i usłyszał już zarzuty.

REKLAMA

0011517149

WIELKA PROMOCJA ♦ DOJAZD DO KLIENTA DO 100 KM

**ANTYKWARIAT
ZŁOTA I FUTER**

**KUPUJEMY
ZA GOTÓWKĘ:
Złoto/ złom złota
Srebro i Monety**

**WAŁBRZYCH
ul. Wysockiego 2/1
Pon. - pt. 10-16
Sobota 12-15**

**Sztuce i tace srebrne
Świeczniki srebrne
Zegarki na rękę
Prawdziwe futra każdej jakości
Skup uszkodzonej biżuterii
Wyceń swoje futro!
Zmień futro na gotówkę**

TEL. 663 936 236

**DOŁĄCZ DO TYSIĘCY
ZADOWOLONYCH KLIENTÓW
ZŁAP OKAZJĘ!**

**ZAMIEŃ FUTRO
NA GOTÓWKĘ
OD RĘKI!**

Nowy żłobek i filia szkoły podstawowej zapraszają na dzień otwarty

Redakcja
Wrocław

Obiekt na ulicy Starogajowej we Wrocławiu nie jest jeszcze gotowy, ale już można zobaczyć, jak jest zbudowany. A przede wszystkim porozmawiać z kadrą nowej placówki.

W najbliższą sobotę (8 maja) wrocławski magistrat zaprasza na dzień otwarty w nowo powstającej publicznej placówce przy ul. Starogajowej we Wrocławiu.

Od września tego roku uruchomione zostaną w niej:

- żłobek i przedszkole,
- filia Przyjaznej Publicznej Szkoły Podstawowej (klasy I-III) - szkoła na jedną zmianę.

Inwestycja jest już gotowa w około 75 procentach.

Budynek ma wykonaną elewację i dach, zakończono kluczowe prace instalacyjne i tynkarskie, a wnętrza z każdym dniem nabierają ostatecznego kształtu.

Zanim jednak placówka zacznie tętnić codziennym życiem, w najbliższą sobotę (inwestor zewnętrzny odpowiedzialny za inwestycję) organizuje dzień otwarty.

W programie dnia otwartego m.in.:

- możliwość obejrzenia obiektu,
- spotkania i rozmowy z kadrą,
- prezentacja koncepcji i organizacji pracy placówki,
- drobne atrakcje dla najmłodszych.

Miejsce: ul. Starogajowa 42
Czas: 9 maja (sobota), godz. 10:00-12:00

Dodajmy, że we wrześniu tego roku we Wrocławiu uruchomione zostaną trzy nowe placówki edukacyjne. Będą to: miejski Zespół Szkolno-Przedszkolny przy ul. Zwycięskiej oraz dwie budowane przez inwestora zewnętrznego we współpracy z miastem: przy ul. Starogajowej i Lekcyjnej. - informuje Monika Dubec z urzędu miejskiego.

Od trzech tygodni nie mają gazu, a spółdzielnia bezradna

Aneta Kolesińska
Wrocław

Część mieszkańców Kozanowa nie ma gazu. Wszystko przez nieszczelność sieci, której spółdzielnia nie jest w stanie naprawić. Twierdzi natomiast, że to wina... mieszkańców!

Mija trzeci tydzień, odkąd mieszkańcy kilku budynków przy ul. Kolistej na wrocławskim Kozanowie nie mają dostępu do gazu. Podczas przeglądu instalacji 14 kwietnia stwierdzono bowiem nieszczelność. Awaria pod numerami 11 i 22 została usunięta, ale mieszkańcy spod numerów 24 i 26-28 nie mieli tyle szczęścia.

Spółdzielnia Mieszkaniowa Lokatorsko-Własnościowa Kozanów IV16 kwietnia złożyła dokumenty dotyczące wznowienia dostaw gazu. Wykonana przez pracowników Polskiej Spółki Gazownictwa próba szczelności dała jednak wynik negatywny. - Naprawa instalacji gazowej wewnątrz budynku leży po stronie wła-



Spółdzielnia Kozanów IV twierdzi, że w kilku klatkach na ul. Kolistej nie ma gazu z winy... mieszkańców

ściciela budynku, w tym przypadku - spółdzielni. Jeżeli instalacja zostanie doszczelniona, zarządca budynku złoży wymagane dokumenty, a próby szczelności zakończą się wynikiem pozytywnym, wznowienie dostawy paliwa gazowego nastąpi bez zbędnej zwłoki - informuje PSG.

Mieszkańcy muszą gotować na na kuchenkach elektrycznych. A to wysokie koszty.

Dlaczego na Kolistej nie ma gazu już trzeci tydzień? Spółdzielnia twierdzi, że to przez mieszkańców, którzy nie przestrzegają terminów i bez pozwolenia otwierają zawory z gazem. Próby szczelności muszą być przeprowadzone we wszystkich mieszkaniach, jednak do niektórych nie ma dostępu przez to, że nie ma w nich lokatorów, więc nikt nie otwiera drzwi.

- 27 kwietnia była robiona próba szczelności w mieszkaniach, mnie nie było. Gdy po pracy wszedłem do mieszkania uderzył mnie smród gazu chociaż miałam zakręconą kuchenkę, więc nie wiem, jakim cudem ten gaz się przebił przez kuchenkę - relacjonuje mieszkanka Kolistej 26.

- Zapytałam, czy można ustalić termin po południu, kiedy wszyscy są w domach. Pracownica spółdzielni powiedziała, że to gazownia im narzuciła godziny od 8 do 14. Ale w gazowni mówią, że godziny 14 narzuciła spółdzielnia, choć wiedziała, że gazownicy po godz.15 też przechodzą... - dodaje pani Marta.

Spółdzielnia informuje opotymistycznie, że liczba lokali, do których nie ma dostępu, lub dostęp jest ograniczony systematycznie się zmniejsza.

Nie informuje natomiast, ile dokładnie tych mieszkań jest niedostępnych oraz jak i kiedy zamierza rozwiązać problem awarii i braku gazu w mieszkaniach.

0011520639

REKLAMA

0011486419

Z ogromnym żalem zawiadamiamy,
że w dniu 3 maja 2026 roku
zmarł w wieku 80 lat
ukochany Mąż, Tata, Dziadek i Przyjaciół



Tadeusz Lisiewicz

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się
w dniu 8 maja 2026 roku
o godzinie 11.00 mszą świętą
w Kościele pw. Chrystusa Króla w Głuszyca.

Na zawsze w naszych sercach i pamięci.

Rodzina

AUTOPROMOCJA

ibo

TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Kondolencje i nekrologi

w Twojej gazecie zlećisz
bez wychodzenia z domu
przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

ZAKŁADY POGRZEBOWE

● **„ABEL”** – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowa organizacja pogrzebów i kremacji. Całodobowe przewozy zmarłych z domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe, kom. 502-922-708, 71/355 92 23 ul. Św. Wincentego 10 A.

● **„ADORIA”** Usługi Pogrzebowe. Tanio, profesjonalnie i bezgotówkowo. Całodobowy odbiór ciała z dowolnego miejsca. Pożegnania i kremacje. Obsługa ekskluzywnym karawanem. Biuro na terenie cm. Osobowice 59a - wszystkie sprawy w jednym miejscu. Tel. całodobowy 71 352 52 05 lub 503 33 83 84.

● **„ANUBIS”** – kompleksowe usługi pogrzebowe - profesjonalnie - bezgotówkowo. Dom Pogrzebowy, biuro i własna kaplica i chłodnia, organizowanie pożegnań przed kremacją oraz czuwanie przy zmarłym przed pogrzebem tradycyjnym

w godzinach dogodnych dla klienta. Wrocław, ul. Szpacza 32/34, tel. 71 350 01 01 całodobowy. Biuro: Wrocław, ul. Dubois 20, Wróblowice, ul. Stawowa 5. Całodobowe przewozy zmarłych kraj i zagranicą. Załatwianie formalności również w domu klienta. Telefony całodobowe 71 328 83 85, 723 030 303.

● **„ARCHON”** – Zakład Pogrzebowy tel. 71 332 60 60 – całodobowe przewozy zmarłych. Własna chłodnia i kaplica, rozliczenia bezgotówkowe, wyrabianie aktów zgonu i wszystkich formalności ZUS i USC. Obsługa ceremonii pogrzebowych ekskluzywnym karawanem Mercedes Pilato gratis. Nasze oddziały: Włodkowica 37, Hallera 112, Bogusławskiego 33, Traugutta 67, Skłodowskiej-Curie 49, Kiełczowska 90 (cm. komunalny), Krzywoustego 287, Trzebnicka 67,

ul. Grabiszyńska 101, ul. Zaporoska 83, www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● **„WITWICCY”** Zakład Usług Pogrzebowych, Producent Trumien. Całodobowy przewóz zmarłych. Rozliczamy ZUS, KRUS, WBE, MSWiA w zakładzie. Własna chłodnia. Kompleksowo. Solidnie! Wrocław Borowska 254 - naprzeciw Akademii Medycznej, Wrocław Kościuszki 67/1a – róg Gwarnej, Krzyżowice ul. Główna 14 gm. Kobierzyce, Sobótka ul. Św. Anny 19/1, 71/889-00-60, www.zakladpogrzebowy24.pl

● **CAŁODOBOWE PRZEWOZY ZMARŁYCH** dla miasta Wrocławia i Dolnego Śląska. Najniższe ceny. Tel. 502-922-708, 71 322-60-16.

● **KREMATORIUM – ARCHON**, ul. Kiełczowska 90, tel. 71 345 73 43

- całodobowo. Kompleksowe usługi kremacyjne i pogrzebowe, ustalanie terminów. Całodobowy odbiór osób zmarłych z domu, szpitali, hospicjów. www.krematorium.wroclaw.pl

● **MIĘDZYNARODOWE PRZEWOZY ZMARŁYCH**, tel. 71/332-60-60 – całodobowo. Przewóz zmarłych i prochów z państw całego świata. Załatwiamy wszelkie pozwolenia i formalności. Posiadamy licencję na transport zmarłych z Francji. www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● **ROCH** – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowo, kompleksowo. Całodobowe przewozy zmarłych z domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe 71/322 60 16, kom. 502-922-708, Wrocław, ul. Św. Wincentego 10 a (dawna Obrońców Pokoju).

Dziś pożegnamy

Pogrzeby 8 maja
● **GRABISZYN**
Aleksander Papiewski
g. 10.00
Andrzej Turek g. 11.00
Leokadia Czarny
g. 13.00

● **OSOBOWICE**
Polina Wierzejska g. 8.00
Elżbieta Alicja Mycek g. 8.40
Stanisław Zbigniew Łapa
g. 9.20
Zofia Piszko g. 10.00
Władysława Grabowska
g. 10.40
Halina Bednarczuk g. 11.20

Marian Szafraniec g. 12.00
Jakub Jaworski g. 12.40
Artur Łupiński g. 13.20
Monika Rydzik g. 14.00
Jadwiga Sadowska g. 14.40
Kazimierz Bereski g. 15.20
● **PSIE POLE**
Robert Niziołek g. 9.00
Mufawak Hayatli g. 10.00

Kazimierz Skrzężyna g. 12.00
● **JERZMANOWA**
Włodzimierz Pawlusek
g. 12.00
Edward Chrzanowski
g. 13.00
Zarząd Cmentarzy Komunalnych,
pl. Strzelecki 19/21, 50-224
Wrocław

POLSKA i ŚWIAT

Ustawa o kryptowalutach. To już trzecie podejście

Dorota Kowalska
Warszawa

W Sejmie mamy dzisiaj dwa projekty ustaw mające uregulować w Polsce rynek kryptowalut. Jeden po raz trzeci złożył rząd. Drugi - prezydent Nawrocki. Wszystko w sytuacji, kiedy afera Zondacrypto zatacza coraz szersze kręgi i pojawia się w niej coraz więcej nazwisk polityków prawicy

Rząd nie zamierza odpuszczać w kwestii kryptowalut. Dwie poprzednie ustawy w tej sprawie zawetował prezydent Karol Nawrocki. Teraz do Sejmu trafiła ustawa numer trzy, niewiele różniącą się od poprzednich.

- Jedyną zmianę, jaką będę proponował w tym projekcie, jest jeszcze wyraźniejsze zastrzeżenie kar dla tych, którzy wykorzystując marzenia ludzi, czasami naiwność ludzi, czasami brak wiedzy, oszukują ich i narażają też państwo polskie, nasze bezpieczeństwo na szwank, a oszukują tych ludzi, którzy chcą zainwestować swoje oszczędności - przekazał Donald Tusk przed wtorkowym posiedzeniem rządu.

- Mam do czynienia z jedną z największych afer ostatnich lat, ale dekad. Aferą, w którą wpłątani bezpośrednio są byli i aktualny prezydent i prawicowe partie opozycji, bezpośrednio finansowani politycy z tej opozycji. Macie ostatnią szansę, żeby pokazać, że coś do was dotarło - podsumował we wtorek premier.

POŻAR

Cały obszar pożaru jest aktualnie pod kontrolą, choć w środku niego wciąż są miejsca, które wymagają stałej interwencji strażaków - poinformował w czwartek szef MSWiA Marcin Kierwiński. Przez dwa dni akcji gaśniczej w Puszczy Solskiej wykonano z powietrza ok. 500 zrzutów - ponad 600 ton wody. Obszar pogorzeliska oceniany jest wstępnie na ok. 300 ha, ale obszar działań operacyjnych na około tysiąc hektarów.

Wywołani do tablicy postanowili działać. Prezydent Nawrocki, już po pierwszym zawetowaniu ustawy regulującej w Polsce rynek kryptowalut zapowiadał, że złoży do Sejmu swój projekt ustawy w tej sprawie, złożył go po drugim wecie.

- Pan prezydent w dniu dzisiejszym złożył do marszałka Sejmu projekt ustawy o kryptoktywach, prezydencki projekt ustawy, który reguluje ten rynek - poinformował w środę szef kancelarii prezydenta Zbigniew Bogucki.

Prezydencki projekt ustawy, jak mówił Bogucki, „zasadza się na trzech zasadniczych filarach”. Pierwszy to ochrona konsumentów i inwestorów. Drugi - kwestia realnego i skutecznego nadzoru państwa. Trzeci -

zabezpieczenie konstytucyjnych praw przedsiębiorców, którzy działają w ramach rynku kryptowalut.

Szef KPRP podkreślił, że projekt ustawy jest wyjściem na przeciw tym, którzy oczekują na regulację rynku kryptoaktywów.

Historia politycznej walki o uregulowanie, czy większą kontrolę nad rynkiem kryptowalut, trwa w Polsce już od kilku miesięcy. Pod koniec ubiegłego roku Karol Nawrocki zawetował uchwaloną 7 listopada ustawę o rynku kryptoaktywów. Wtedy Zbigniew Bogucki decyzję Nawrockiego tłumaczył między innymi tym, że ustawa wprowadzała rozwiązania nadmierne, niejednoznaczne i nieproporcjonalne.

”

Pokój na Ukrainie nie jest bliżej niż rok temu, a sytuacja na Bliskim Wschodzie będzie eskalować

dr Agnieszka Bryc specjalistka od stosunków międzynarodowych, Rosji i Wschodu z UMK



Rząd Donalda Tuska złożył trzeci już projekt ustawy ws. kryptowalut



Prezydent Nawrocki złożył swój projekt „osadzony na trzech filarach”

Prezes PiS, pytany wówczas przez dziennikarzy, jak jego klub zagłosuje w sprawie zawetowanej ustawy, oświadczył, że posłowie będą wspierać prezydenta. Przyznał jednak, że „kryptowalutami całkowicie się nie zajmuje”.

Sejm weta prezydenta nie odrzucił. Przeciw głosowali politycy PiS i Konfederacji.

Po głosowaniu premier Donald Tusk zapowiedział szybkie złożenie nowego projektu w tej sprawie. Itak też się stało - nowy projekt o identycznym brzmieniu, jak ten zawetowany, trafił do Sejmu i 18 grudnia ubiegłego roku został uchwalony.

W lutym tego roku prezydent Nawrocki zawetował ustawę po raz kolejny. Tłumaczył, że otrzymał do podpisu dokument praktycznie identyczny, jak ten, który wcześniej zawetował.

Głosowanie nad odrzuceniem prezydenckiego weta wyznaczono na 17 kwietnia. Sejm jednak i tym razem nie odrzucił weta prezydenta. Mimo że wszyscy posłowie wiedzieli to, o czym dzisiaj wiemy my wszyscy.

Tymczasem 17 kwietnia wszczęto śledztwo w sprawie giełdy Zondacrypto, prowadzi je Centralne Biuro Zwalczenia Cyberprzestępczości we Wrocławiu. PAP

MATERIAL INFORMACYJNY T-MOBILE

0011518049

T-Mobile odświeża ofertę na kartę. Atrakcyjne pakiety i niespodzianki w Magenta Moments – „Wszystko blisko”

Można być całunoblisko, dalekobliisko, momentoblisko i pysznoblisko, bo każde blisko jest fajne! Od 6 maja, wraz ze startem nowej oferty T-Mobile na kartę, rusza nowa kampania reklamowa pod hasłem „Wszystko blisko”, promująca ofertę T-Mobile na kartę oraz bonusy w Magenta Moments.

Nieważne, czy jesteś online, czy offline, zawsze możesz być blisko drugiej osoby. To wszystko możesz mieć w T-Mobile na kartę dzięki dużej paczce Internetu 9999 GB przez rok (12 x 833,25 GB) z ofertą cykliczną od 35 zł, która zapewnia Ci swobodę korzystania ze smartfona oraz niespodziankom w Magenta Moments, które pozwalają na miłe spędzanie czasu razem.

Swoboda na start

Jedną z najważniejszych zmian jest podejście do samego początku korzystania z oferty. Pierwszy miesiąc za 0 zł to rozwiązanie, które niewątpliwie zachęca do spróbowania. Użytkownik nie musi już podejmować decyzji „w ciemno”, ani zastanawiać się, czy oferta będzie dla niego odpowiednia – może ją po prostu sprawdzić w praktyce.



Co ważne, nie jest to wersja testowa czy ograniczona. W ramach pierwszych 30 dni dostępne są Nielimitowane rozmowy, SMS-y i MMS-y oraz pakiet internetu, który bez problemu wystarcza na codzienne potrzeby. Dopiero po tym czasie użytkownik decyduje, czy chce zostać na dłużej. To prosty, przejrzysty model, który dobrze wpisuje się w rosnącą potrzebę elastyczności.

Aktywacja Roku Internetu z 9999 GB jest możliwa z ofertą cykliczną już od 35 zł w aplikacji Mój T-Mobile. Pierwszy pakiet 833,25 GB zostanie przyznany po aktywacji usługi, a kolejne po odnowieniu oferty cyklicznej. Aby skorzystać z oferty, wystarczy kupić starter, zarejestrować go, doładować konto za 10 zł, a następnie włączyć ofertę GO! M przez pierwszy miesiąc za 0 zł i Rok Internetu w aplikacji Mój T-Mobile. Gotowe!

Internet, który nadąża za codziennością

Internet to dziś podstawowe narzędzie komunikacji i rozrywki. Korzystamy z niego w pracy, w podróży, w domu. Nawigacja, komunikatory, serwisy społecznościowe czy streaming działają w tle naszego życia.

Dlatego zwiększenie pakietów danych w odświeżonej

ofercie ma realne znaczenie. Każdy z dostępnych wariantów został wzbogacony o dodatkowe gigabajty. W ofercie cyklicznej GO! M za 35 zł klient otrzyma 50 GB internetu (w tym 20 GB po doładowaniu), w ofercie GO! L za 45 zł otrzyma 150 GB (w tym 30 GB po doładowaniu), a w opcji GO! XL za 50 zł aż 300 GB (w tym 30 GB po doładowaniu), co przekłada się na większy komfort korzystania z telefonu. Zamiast kontrolować zużycie danych, można po prostu korzystać z sieci bez stresu i bez ograniczeń.

To zmiana, która może wydawać się subtelna, ale w praktyce robi dużą różnicę. Internet przestaje być czymś, co trzeba „oszczędzać”, a zaczyna być naturalnym elementem codzienności.

9999 GB, czyli koniec liczenia - z ofertą cykliczną już od 35 zł

Jednym z najmocniejszych elementów oferty jest tzw. Rok Internetu, czyli aż 9999 GB danych (12 x 833,25 GB) do wykorzystania w skali roku. W praktyce oznacza to setki gigabajtów miesięcznie – ilość, która dla większości użytkowników eliminuje potrzebę jakiegokolwiek kontroli zużycia.

Streaming w wysokiej jakości, wideorozmowy, praca zdalna czy rozrywka online przestają być czymś, co trzeba planować. Internet jest po prostu dostępny wtedy, kiedy jest potrzebny.

Aktywacja tej opcji została maksymalnie uproszczona. Wystarczy kupić starter, zarejestrować go, doładować konto za 10 zł, a następnie włączyć ofertę GO! M przez pierwszy miesiąc za 0 zł i Rok Internetu w aplikacji Mój T-Mobile.

Nie tylko usługi - także doświadczenia

Współczesne oferty telekomunikacyjne coraz częściej wychodzą poza schemat minut i gigabajtów. Użytkownicy oczekują czegoś więcej – rozwiązań, które realnie wpływają na ich codzienność.

I tutaj ważną rolę odgrywa program Magenta Moments. To przestrzeń, w której technologia spotyka się z codziennymi przyjemnościami. Użytkownicy mogą korzystać z ofert i okazji przygotowanych we współpracy z partnerami – m.in. w miejscach takich jak Pizza Hut, KFC czy Cinema City. To dodatki, które zmieniają sposób postrzegania oferty. Telefon przestaje być tylko narzędziem komunikacji, a zaczyna

ułatwiać codzienne spotkania, wyjścia, zakupy, wspólne spędzanie czasu.

Rozrywka bez ograniczeń

Uzupełnieniem oferty są korzyści związane z rozrywką cyfrową. W wybranych pakietach użytkownicy mogą skorzystać z dostępu do YouTube Premium. Brak reklam, możliwość odtwarzania w tle czy pobierania treści offline to funkcje, które znacząco podnoszą komfort korzystania z platformy. W połączeniu z dużą ilością opcji ta tworzy wyjątkowo spójną ofertę.

Koniec technologicznych wymówek

Wszystkie te elementy składają się na jedną, wyraźną zmianę. Technologia przestaje być ograniczeniem, a zaczyna funkcjonować w tle – dyskretnie, ale skutecznie. Nie wymaga planowania ani kontroli, tylko po prostu działa. I właśnie dlatego coraz trudniej mówić o „technologicznym alibi”. Bo skoro wszystko jest na wyciągnięcie ręki – szybkie, dostępne i wygodne – pozostaje już tylko skupić się na tym, co naprawdę ważne: relacjach, rozmowach i codziennych chwilach, które chcemy dzielić z innymi.

Wybory w Anglii, Szkocji i Walii: zapowiada się klęska Partii Pracy

Grzegorz Kuczyński
Londyn, Edynburg, Cardiff

Wczorajsze wybory lokalne w Anglii oraz wybory do parlamentów Szkocji i Walii mogą przypieczętować los brytyjskiego premiera Keira Starmera. Wszystkie sondaże zapowiadają porażkę rządzącej Partii Pracy.

Mieszkańcy Anglii wybierali władze w 136 jednostkach samorządu terytorialnego, czyli w około jednej trzeciej z istniejących, w tym we wszystkich gminach Londynu. Do rozdzielenia jest łącznie 5066 mandatów radnych, z czego prawie 2200 bronią labourzyści. W Szkocji do obsadzenia jest cały skład tamtejszego parlamentu, liczącego 129 posłów, podobnie jak w Walii, której parlament, Senedd, zostanie powiększony z 60 do 96 miejsc.

Większość wyników zostanie ogłoszona prawdopodobnie w piątek po południu.

Według sondaży wybory przyniosą poważne przetaso-



Premier Keir Starmer i jego małżonka Victoria w drodze do lokalu wyborczego. Czy te wybory pozbawią go stanowiska?

wania w politycznym układzie sił i dalsze potwierdzenie tego, że funkcjonujący przez dekady system z dwiema dominującymi partiami coraz bardziej staje się systemem pięcio-, a w Szkocji i Walii nawet sześciopartyjnym. Przy okazji też coraz bardziej spolaryzowa-

nym, bo zyskują głównie partie skrajne.

Anglia: populiści w natarciu

W Anglii, zgodnie z sondażami, najwięcej mandatów zdobędą prawicowo-populistyczna partia Reform UK oraz lewi-

cowo-populistyczna Partia Zielonych. Dopiero o trzecie miejsce powalczą tradycyjne ugrupowania: Partia Pracy, Partia Konserwatywna i Liberalni Demokraci, przy czym labourzystom grozi utrata nawet dwóch trzecich mandatów, których bronią, a konserwatom połowy.

Szczególnie bolesna dla Partii Pracy będzie utrata wielu mandatów w Londynie, który do niedawna wydawał się miejscem, gdzie labourzyści nie mają z kim przegrać. Jednak spora część ich wyborców, rozczarowana niespełną dwuletnimi rządami Starmera, przeniosła swoje poparcie na Partię Zielonych.

Faworyci wyborów w Szkocji i Walii

W Szkocji pewna zwycięstwa może być rządząca od 2007 r. Szkocka Partia Narodowa (SNP), a niewiadomą jest tylko to, czy uda się jej osiągnąć bezwzględna większość. Jeśli tak się stanie, SNP używać tego będzie jako argumentu na rzecz rozpisania nowego referendum w sprawie niepodległości Szkocji.

O drugie miejsce - z dużą stratą do SNP - powalczą Partia Pracy i Reform UK, co z punktu widzenia labourzystów jest słabym wynikiem, biorąc pod uwagę, że jeszcze dwa lata temu mieli oni nadzieję na odsunięcie od władzy SNP.

Jeszcze większą katastrofą dla labourzystów może być Walia, gdzie Partia Pracy wygrywała wszystkie wybory od powołania walijskiego parlamentu w 1999 roku i nieprzerwanie od tego czasu rządzi. Tymczasem, według sondaży, o zwycięstwo powalczą opowiadająca się za niepodległością partia Plaid Cymru oraz Reform UK, a labourzyści zajmą odległe trzecie miejsce.

Odsunięcie Starmera?

Spodziewane porażki labourzystów mogą jeszcze bardziej zachwiać pozycją premiera Keira Starmera. Mogą się do tego przyczynić wciąż powracające kontrowersje dotyczące wyznaczenia na ambasadora w USA Petera Mandelsona, mimo jego związków z Jeffreyem Epsteinem. Pojawiały się spekulacje w prasie, że część labourzystowskich posłów spiskuje w celu odsunięcia Starmera, a także na temat jego potencjalnych następców. PAP

Drony nad Łotwą. Prawdopodobnie ukraińskie

Grzegorz Kuczyński
Łotwa

Wczoraj wczesnym rankiem kilka bezzałogowych statków powietrznych wleciało w przestrzeń powietrzną Łotwy od strony Rosji, dwa z nich spadły. Drony prawdopodobnie zostały wystrzelone przez Ukrainę przeciwko celom w Rosji.

W czwartek około godziny 3:30 czasu lokalnego na numer 112 wpłynęło kilka zgłoszeń dotyczących możliwego pożaru w magazynie ropy w mieście Rzeżyca.

Leży on niedaleko linii kolejowej i supermarketu znanej sieci Maxima. Po przybyciu na miejsce zdarzenia strażacy stwierdzili, że nie ma otwartego ognia, ale podjęli niezbędne działania w celu schłodzenia jednego ze zbiorników.

Drony nad Łotwą

Okazało się, że w skład ropy naftowej w mieście Rzeżyca (Łot. Rezekne), położonym 40 kilometrów granicy z Rosją, uderzył dron. Nie jedyny, jaki wleciał wcześniej rano nad Łotwę. W związku z incydentem poderwano myśliwce wielona-

rodowej misji NATO Baltic Air Policing. Agencja prasowa LETA podała wcześniej, że na miejsce skierowano policję, wojsko, straż pożarną i służby ratunkowe.

Do Rzeżycy przyjechał też minister obrony. To on poinformował, że drony najprawdopodobniej są ukraińskie. W rozmowie z nadawcą publicznym LSM minister Spruds oświadczył, że „Ukraina ma pełne prawo do obrony i przeprowadzania uderzeń na cele znajdujące się na terytorium Rosji”.

Alarm dla mieszkańców

Na wniosek wojska o godz. 4:09 rozesłano na telefony komórkowe mieszkańców rejonów Ludza, Balvi i Rezekne, a o godz. 4:43 do mieszkańców samego miasta Rzeżyca, komunikat o możliwym zagrożeniu w przestrzeni powietrznej. Służby zaleciły pozostanie w domach i zamknięcie okien.

Mieszkańcy Rzeżycy opowiadali, że w nocy słyszeli przerażające dźwięki, w tym pomruk silników z nieba oraz odgłosy przypominające samoloty. Słychać było również dźwięki podobne do wybuchów oraz błyski światła. PAP

Sekretarz stanu USA Marco Rubio przybył do Rzymu na rozmowy z papieżem i rządem Giorgii Meloni

Oprac. Alina Mazurska
Włochy/Watykan

Wczoraj rano przybył do Rzymu sekretarz stanu Stanów Zjednoczonych Marco Rubio, który tego dnia spotka się z papieżem Leonem XIV, a w piątek odbędzie rozmowy z premierem Włoch Giorgią Meloni.

O godz. 11.30 Rubio został przyjęty przez papieża Leona XIV na audiencji w Watykanie. To będzie ich drugie spotkanie. Pierwszy raz rozmawiali w dniu inauguracji pontyfikatu papieża z USA 18 maja zeszłego roku.

Do ich spotkania dojdzie w okresie bezprecedensowych napięć między Waszyngtonem a Stolicą Apostolską na tle wielu krytycznych wypowiedzi prezydenta USA Donalda Trumpa na temat Leona XIV.

Konflikt na linii papież – prezydent

Gdy Leon XIV zaapelował w kwietniu o pokój w Iranie i wezwał chrześcijan do skończenia z wojną oraz z „demonstrowaniem władzy”, prezydent Trump opublikował na platformie Truth Social



Marco Rubio wraz z małżonką przybyli wczoraj do Rzymu. W czwartek Rubio spotkał się z papieżem

wpis, w którym ocenił, że papież jest „fatalny” w polityce zagranicznej.

W opinii prof. Faggioli, profesora teologii historycznej na katolickim uniwersytecie Villanova, tego rodzaju spięcie w czasach nowożytnych nie zdarzyło się nigdy wcześniej.

Na uwagę, że Jan Paweł II także sprzeciwiał się inwazji na Irak za czasów prezydenta George’a W. Busha, profesor przypomniał, że polski papież nigdy nie poprosił amerykań-

skich wyborców o interwencję u ich przedstawicieli w Kongresie w sprawie deeskalacji wojny, jak zrobił to Leon XIV.

– Papież stał się głosem opozycji, nawet jeśli tego nie chciał. Jest dziś najbardziej widocznym przeciwnikiem Donalda Trumpa na arenie międzynarodowej – ocenił Faggioli.

W poniedziałek prezydent Trump ponownie skrytykował papieża. W wywiadzie dla The Hugh Hewitt Show amerykań-

ski prezydent stwierdził, że Leon XIV uważa za dopuszczalne posiadanie przez Iran broni nuklearnej, co zagraża wszystkim katolikom.

Jak podał portal vaticannews.va, papież odniósł się we wtorek do tych słów i powiedział, że „Kościół od lat wypowiada się przeciwko wszelkiej broni nuklearnej” i że aby rozwiązywać dzisiejsze problemy, znacznie lepszy od wspierania przemysłu zbrojeniowego jest dialog.

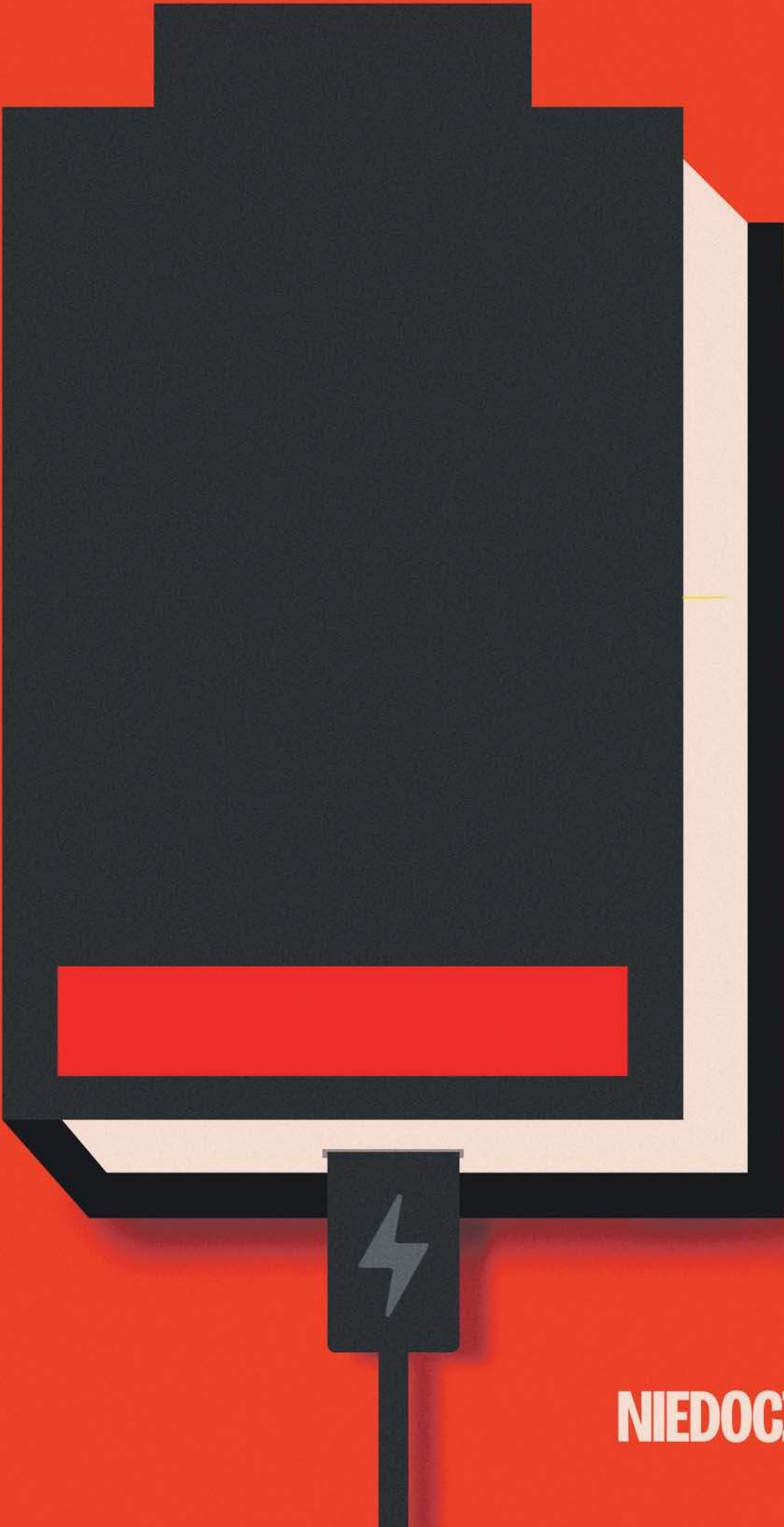
Według badania opinii publicznej przeprowadzonego dla amerykańskiej stacji NBC w połowie kwietnia br. 42 proc. Amerykanów oceniało papieża Leona pozytywnie, a tylko 8 proc. negatywnie. Równocześnie 41 proc. popierało prezydenta Trumpa, przy 53 proc. postrzegających go negatywnie.

Spotkanie z premierem

Dzisiaj przed południem Marco Rubio spotka się z premierem Włoch Giorgią Meloni. Przeprowadzi też rozmowy z szefem włoskiej dyplomacji, wicepremierem Antonio Tajanem i ministrem obrony Guido Crosetto. PAP

PULS

#215



**NASZE
NIEDOCZYTANIE**

TWOJA PIERWSZA KO..., TWOJA PIERWSZA KOMÓRKA!

Ten tytuł to nie wymysł, to fragment reklamy sprzed kilkunastu już lat, która wciąż pozostaje aktualna, choć komórkę jako prezent komunijny można zastąpić nowszym gadżetem: pierwszą hulajnogą, albo pierwszym dronem. Daleko zaszliśmy także w przyjęciach komunijnych, które w niczym nie przypominają skromnych domowych obiadów sprzed lat. Choć i wtedy bywały wyjątki.

Anna Gronczewska

Dziesięcioletnia Nadia już nie może doczekać się ostatniej niedzieli maja. Tego dnia pójdzie do Pierwszej Komunii Świętej. Już zamówiła u chrzestnej tablet. Chrzestny ma jej kupić rower. Liczy, że babcie, dziadkowie i ciocie dadzą trochę pieniędzy. Może wtedy starszy jej na laptopa lub na konsole? Sama nie ma wielkich wymagań. Ale niektórzy koledzy z jej klasy chwalią się, że dostaną w prezencie quady czy elektryczne hulajnogi.

Nadia i jej koleżanki nie pójda do komunii w albach. Każda będzie miała piękną sukienkę.

- Ja mam już sukienkę, mama mi kupiła! - mówi dziewczynka. - Taką z falbankami. Mama ma mi też kupić buty na obcasiku i torebkę.

Kamila Łuczak, mamę 9-letniej Weroniki, pierwsza komunii córki czeka za rok. Była na komunii kuzynów i przerażała ją rewia mody, którą zobaczyła w kościele.

- Dziewczynki wyglądały jak małe księżniczki lub panny młode, zamiast wianka powinny mieć welony, a niektóre były ubrane w suknie z fiszbinami - wspomina nie bez oburzenia.

W różowej sukience

Stroje, w jakich dzieci przystępują do pierwszej komunii od lat budzą emocje. W Polsce jeszcze przed wojną dziewczynki chodziły do komunii w białych sukienkach, a chłopcy w ciemnych garniturach. Z czasem pierwszokomunijne ubiory stały się coraz bardziej strojne. Dziewczynki pojawiały się w kościele w wymyślnych kreacjach. Granatowe garnitury chłopców zastąpiły popielate, białe, a nawet zielone. W jednej z podlódzkich parafii rodzice tak chcieli wyróżnić swoją córkę, że ubrali ją do komunii w różową sukienkę.

Monika Gawrońska z Łodzi, mama Oliwii, która była w tam-

tym roku u komunii, nie chciała się zgodzić, by jej córka założyła albę. Tłumaczy, że zawsze marzyła, by jej córka w tym wyjątkowym dniu wystąpiła w białej sukience z falbanami. I jej marzenie się spełniło...

- Gdy nie ma alb, od razu wiadać, które dziecko jest biedniejsze, a które bogate - przekonuje z kolei Kamila Łuczak. - Dlatego najlepiej gdy wszystkie dzieci idą do komunii w albach.

Pani Basia, właścicielka jednego ze sklepów oferującego w internecie między innymi sukienki komunijne, mówi, że cieszą się dużym powodzeniem, choć w wielu kościołach idzie się do komunii w albach. Dlaczego?

- Rodzice chcą, by ich córki miały sukienkę na przebranie - wyjaśnia.

Pamięta, że kiedyś przyszła do jej salonu mama z 10-letnią dziewczynką. Miały ze sobą zdjęcie sukni ślubnej wartej 3.600 złotych.

- Pani poprosiła, byśmy uszyły taką sukienkę dla jej córki do komunii - wspomina pani Basia. - Sukienka była bardzo strojna, trzeba było jednak dokończyć korekt, na przykład zakryć ramiona. Nie wypadła przecież, by dziewczynka szła do komunii w odkrytych ramionach. No i cena była trochę niższa...

Pani Basia zapytała matkę dziewczynki, dlaczego wybrała taką właśnie sukienkę.

- Moja córka bardzo dobrze się uczy, zna kilka języków - tłumaczyła mamusia dziewczynki. - Zobaczyła na zdjęciu tę suknię ślubną i stwierdziła, że w takiej chce iść do komunii. Nie mogłam jej odmówić. Przecież

mam takie dobre i zdolne dziecko!

Parada mody czy przeżycie religijne?

Dziś w wielu kościołach dzieci idą do komunii w albach. Alby, czyli długie, białe tuniki, odpowiednio ozdobione, pojawiały się w kościołach w połowie lat dziewięćdziesiątych. Początkowo wielu rodziców odnosiło do nich nieufnie, ale z czasem się do nich przekonali. Nadal jednak nie wszystkie dzieci przyjmują komunię świętą w albach. Łatwiej przekonać do nich mieszkańców wsi, niż dużych miast.

- Był czas, że rodzice podchodzili bardzo opornie do alb - mówi ksiądz z jednej z łódzkich parafii. - Na szczęście to się zmienia. U nas już niemal wszystkie dzieci idą do komunii w albach. Niestety, nadal są tacy, którzy traktują komunię jako paradę mody, pewien folklor, a nie przeżycie religijne. Jest to dla nich rodzinna impreza, na której można się popisać kto ma ładniejszą sukienkę. Zwłaszcza mamy dziewczynek były oporne. Teraz jednak tylko pojedyncze dzieci podczas komunii nie mają u nas alb.

Katarzyna Marczak, łódzka nauczycielka, posłała córkę do komunii 10 lat temu. Wtedy jeszcze szły do niej dzieci uczące się w drugiej klasie (obecnie w trzeciej). Ola poszła do komunii w albie, choć mama kupiła jej też za 150 złotych sukienkę na przebranie. Inne dziewczynki miały je mieć, więc dlaczego miała bronić swojej jedynaczce?

- U nas ta komunія przebiegała normalnie - wspomina Katarzyna. - To znaczy było przyjęcie w restauracji na 20 osób, czyli najbliższej rodziny. Kosztowało nas około 2 tysięcy złotych. Nie było żadnych karet, limuzyn. A teraz słyszę, że znajomi zastanawiają się czy ich córka ma pojechać do komunii białą kareta czy limuzyną.

Kilka lat temu łódzką prasę obiegło zdjęcie dziewczynki, która pod kościół, w którym odbywała się uroczystość Pierwszej Komunii Świętej, zjechała piękną, białą kareta. Okazało się, że był to komunijny prezent od babci. Wynajem kosztował ją 600 złotych. Karetą pod kościół w czasie pierwszych komunii wywołała małą sensację, ale nie jest rzadkością. Kilka lat temu taką samą piękną kareta zjechała dziewczynka pierwszokomunijna pod kościół w łódzkiej Rudzie Pabianickiej. W maju sporo pracy mają też firmy wynajmujące takie pojazdy. Jedną z nich znajduje się pod Sieradzem. Jej właściciel tylko śmieje się, gdy słyszy, że w Łodzi ktoś wynajmą kareta za 600 złotych.

- Moja kareta jest elegancka, biała, pięknie wystrojona - dodaje. - Za wynajęcie jej na komunię w Łodzi biorę co najmniej 2 tysiące! Chętnych nie brakuje!

A jak kiedyś wyglądały komunie święte?

Komunia w stylu wileńskim

Jan Tomaszewski, były bramkarz ŁKS-u i reprezentacji Polski, do Pierwszej Komunii Świętej przystępował we Wrocławiu. Była to druga połowa lat pięćdziesiątych.

- Nie szedłem do komunii w garniturze, tylko w białej koszuli i granatowych spodniach - opowiada populary „Tomek”. - Tak też wyglądali moi koledzy. Dziewczynki były ubrane w długie sukienki, które wyglądały jak suknie ślubne. Taka była wtedy moda we Wrocławiu. Ja jestem

bowiem z tych „Karguli”, którzy wysiedli we Wrocławiu, a nie w Jeleniej Górze. To znaczy nie ja, a moi rodzice.

Bramkarz opowiada, że najgorsze było czekanie. Trzeba było wcześniej przyjść do kościoła i czekać na rozpoczęcie mszy świętej.

- Oczywiście wcześniej były próby, przygotowania, ale najgorsze było to wyczekiwanie przed kościołem już w dniu komunii - twierdzi Jan Tomaszewski. - Sama Pierwsza Komunia Święta była niesamowitym przeżyciem, tak jak spowiedź, która miała miejsce w sobotę. Na to się czekało. Dlatego, gdy tak w słońcu staliśmy przed kościołem, to czas bardzo się dłużył. Dobrze to zapamiętałem.

Po komunii wszyscy poszli do domu.

- Moja rodzina pochodziła z Wileńszczyzny, więc przyjęcie komunijne było bardzo huczne, już wtedy - opowiada „Tomek”. - Przy jednym stole siedziały dzieci, przy innym dorośli. A dzieci było dużo. Wiadomo, że dzieci szybko zjadły i pobiegły do zabawy. Ja bawiłem się z nimi. Potem przebrałem się w galowy strój i poszedłem z chrzestnymi na nabożeństwo do kościoła. Dopiero wtedy zaczęła się biesiada dorosłych. Nie powiem, że nie było alkoholu. A zabawa trwała do nocy. Było to prawdziwe wileńskie przyjęcie!

Jan Tomaszewski pamięta, że w prezencie komunijnym dostał piłkę, rower i zegarek.

- Ale na te prezenty składała się cała rodzina! - dodaje.

Smutek podartych rajtuz

Elżbieta Nowaczyk do Pierwszej Komunii Świętej przystępowała w 1974 roku. Pamięta, że koleżanka mamy wróciła właśnie z Włoch i przywiozła jej piękne, białe rajtuzy.

- Były to tzw. kabaretki - wspomina Elżbieta. - Nie mogłam się doczekać kiedy je założę. Były takie piękne... Założy-

łem je w dniu komunii, byłam taka szczęśliwa. Wszystkie koleżanki z podziwem patrzyły na moje kabaretki.

Jednak to szczęście nie trwało długo. Podczas komunijnej mszy Elżbieta ukłękła. To samo zrobiła stojąca przed nią koleżanka...

- Uderzyła mnie butem w nogę i w moich kabaretkach zrobiła się ogromna dziura... Gdy szłam, by pierwszy raz przyjąć komunię świętą, nie myślałam o niczym innym jak o tej dziurze w rajtuzach. Miałam wrażenie, że wszyscy ją widzą. Potem mama ją jakoś zaczerowała, bym mogła w tych kabaretkach pozować do komunijnego zdjęcia.

Dobrze też pamięta komunijne prezenty. Dostała zegarek „Czajka” i rower „Wigry”.

- Najbardziej cieszył mnie rower - mówi Łodziańska. - Dostałam też z dziesięć bombonierek. Schowałam je do szafy, gdzie pięknie je ułożyłam. Były tak piękne, że żał mi było je otworzyć i jeść. Ale w końcu chciałam spróbować jedną czekoladkę. Niestety, pudełko było puste, tak jak kolejne. Okazało się, że wszystkie czekoladki wyjadł mój młodszy brat...

Zagubiony łańcuszek

Jolanta Śniegocka, łódzka lekarka, do komunii poszła na początku lat sześćdziesiątych. Przypomina, że najbardziej stresowała ją pierwsza spowiedź.

- Wszystkie grzechy spisałam sobie na kartce, bałam się, że któregoś zapomnę! - śmieje się dziś. - Przed samą komunią nie spałam chyba całą noc... Sukienkę uszyła mi ciocia, która była krawcową. A na głowie miałam wianek upleciony z żywych kwiatów. Zrobiły mi go starsze siostry.

Po uroczystości w domu był uroczysty obiad, ale zebrała się na nim tylko najbliższa rodzina. Jolanta nie zapomni, że w prezencie komunijnym od chrzestnej dostała... parasolkę.

*MOJA RODZINA POCHODZIŁA
Z WILEŃSZCZYZNY, WIĘC PRZYJĘ-
CIE KOMUNIJNE, A BYŁY TO LATA
50., BYŁO BARDZO HUCZNE –
OPOWIADA JAN TOMASZEWSKI*



FOT. ARCHIWUM DL



FOT. ARCHIWUM DL



FOT. ARCHIWUM DL



FOT. ARCHIWUM DL

Komunijne stroje przez długie lata były dość skromne. Pogoń za wyszukаныmi kreacjami w największym stopniu dotknęła dziewczynki. Prezenty zwykle były na miarę czasów - kiedyś standardem były rower, zegarek i radio tranzystorowe

- Chrzestny dał mi złoty łańcuszek - wspomina. - Nie cieszyłam się jednak nim długo. Po obiedzie pobiegłam z kuzynkami pobawić się na łące. I zgubiłam łańcuszek...

Anna Koczevska, łódzka prawniczka, do pierwszej komunii poszła w 1973 roku. Uroczystość miała miejsce w kościele pw. św. Kazimierza na łódzkim Widzewie. Nie zapomni, że nie spała niemal całą noc, by nie zepsuła się jej przygotowana wieczorem przez mamę fryzura. Mama zadbała też, by miała piękną sukienkę. W „Peweksie” kupiła białą kremplinę za wcześniej mozoliście odkładane dolary. Suknię szyla jej potem znajoma krawcowa, która pracowała w „Telimenie”. Jeździły na przyimiarki na Stoki, a Ania nie mogła się doczekać, kiedy założy to białe cudo...

- Przyjęcie komunijne odbywało się w domu - wspomina Anna. - Było na nim z 40 osób. Stoły były rozstawione

w dwóch pokojach. Mama nie chciała, by na przyjęciu komunijnym był alkohol. Wiadomo jednak, że w Polsce na takich uroczystościach bez alkoholu nie ma zabawy, ani apetytu. Tak też było u mnie. Kiedy po południu poszłam do kościoła z mamą i chrzestnymi po odbiór komunijnych obrazków, tata był gotowy. Schował wcześniej kilka butelek wódki i wyciągnął w czasie nieobecności mamy. Gdy wróciliśmy z kościoła, goście byli już wyraźnie rozluźnieni.

Anna pamięta, że na komunię dostała kolorowe mazaki, książkę o Ani z Zielonego Wzgórza, złoty pierścionek, łańcuszek i pieniądze.

Nie pamiętam, żebym dostał prezent

Nieżyjący już znany łódzki aktor Michał Szewczyk do Pierwszej Komunii Świętej poszedł zaraz po wojnie, w 1946 lub 1947 roku.

- Do pierwszej komunii przystąpiłem zaraz po tym jak otworzyli kościół pw. św. Franciszka w Łodzi - opowiadał nam Michał Szewczyk. - W czasie wojny w kościele znajdował się magazyn czapek wojskowych.

Rodzice przygotowali dla aktora garniturek, z krótkimi spodenkami. Zachował się jego komunijne zdjęcie. Stoi na nim z rodzicami, siostrą, chrzestną.

- Bardzo cieszyłem się, że do komunii poszedłem w podkolanówkach, a nie pończochach, w których nieraz musieli chodzić chłopcy, bardzo ich nie lubiłem - wspominał Michał Szewczyk.

Aktor nie pamiętał przyjęcia komunijnego, ale znając swoich rodziców, uważał że na pewno było zorganizowane.

- W tej samej kamienicy przy ulicy Staszica mieszkała też moja chrzestna, więc przyjęcie musiało być - mówił nam pan Michał. - Nie pamiętam żebym dostał jakiś prezent.

Wtedy nie było takiej mody. Rower dostałem kilka lat po niej. Miał jeszcze drewniane obręcze. Ten rower sam złożył mi tata Władysław. Uchodził za „złotą rączkę”. Potrafił wszystko. Złożył nawet radio. Potem cała kamienica schodziła się do nas, by posłuchać radiowych audycji.

Po komunii Michał Szewczyk został ministrem. Służył do mszy przez kolejne dziesięć lat. Bardzo to lubił.

- Mama zamawiała dla mnie wspaniałe komże - wspominał łódzki aktor. - Wyszywane, potem krochmalone. Uwielbiałem je!

Nie zapominajmy o istocie pierwszej komunii

Ks. dr Andrzej Blewiński, emerytowany proboszcz parafii Matki Bożej Dobrej Rady w Zgierzu, krytycznie patrzy na współczesne Pierwsze Komunie Święte.

- Rok albo dwa lata wcześniej rodzice załatwiają salę, w której ma się odbyć przyjęcie komunijne. Wybierają menu, zastanawiają się nad prezentami, a gubią istotę całej uroczystości - mówi. - A istotą jest sam sakrament Eucharystii. Pierwsza komunie wprowadza niejako do dorosłego życia religijnego. Po to dziecko chodzi na katechezę. Lekcje religii odbywają się w przedszkolu, potem pierwszej, drugiej i trzeciej klasie szkoły podstawowej. Trwa więc przygotowanie do Pierwszej Komunii Świętej, katecheci się trudzą, a wielu rodziców spłaszca całe zagadnienie, myśląc tylko co zewnątrz, a nie o tym co niesie z sobą przyjęcie tego sakramentu. A przecież Pierwsza Komunia Święta, pierwsza spowiedź są dużym przeżyciem dla dziecka. Tylko na tę sprawę zwracają niemal wyłącznie księża, katecheci. Dla większo-

ści rodziców ważne jest zupełnie co innego. Nie ma tu tej zgodności i jest to bolesne. Dprowadza to do tego, że uroczystość pierwszokomunijna staje się wydarzeniem o charakterze rekreacyjno-ludycznym. Zdarzało się, że dziecko podjeżdżało do kościoła na swoją pierwszą komunię białą karetą zaprzężoną w sześć koni.

Ks. Andrzej Blewiński przyznaje, że uroczystość Pierwszej Komunii Świętej skomercjalizowała się.

- Pamiętam, że w jednej z parafii rozmawiałem z dziećmi na temat prezentów komunijnych - wspomina. - Prześcigały się w opowieściach, co kto dostał. Były rowery, komputery, konsole. I odezwiała się w końcu jedna dziewczynka, która powiedziała: Dla mnie największym prezentem był Pan Jezus w Komunii Świętej! Zaległa niesamowita cisza. Zaskoczyła kolegów i koleżanki. Ale ta dziewczynka dała bardzo dojrzałą odpowiedź. To nie oznacza, że nie powinno się dawać prezentów na Pierwszą Komunię Świętą. To sympatyczny element tej uroczystości, bo zawsze miło jest coś dostać, ale nie należy nastawiać dziecka na to, że ta uroczystość wiąże się tylko z upominkami. Nie można mówić dziecku, że przyjedzie wujek i da komputer, a ciocia - rower. Dziecko wtedy nastawia się tylko na te prezenty. Marzy o nich, rozmyśla. Gubi się wtedy to, co jest w Pierwszej Komunii Świętej najważniejsze. Dochodzi nawet do takich sytuacji, że tuż przed komunią świętą rodzicom przypomina się, że dziecko nie jest ochrzczone. W naszej parafii na przełomie kwietnia i maja będzie kilka takich chrztów. Jeszcze raz powtórzę, że podczas Pierwszej Komunii Świętej najważniejszy jest wymiar religijny, nie komercyjny. Niestety, ten głos jest zagłuszony. Często posyła się dziecko do pierwszej komunii dlatego, że tak wypada, bo idą jego koledzy, koleżanki. Ekspozowane jest profanum, a sacrum jest pomijane.

Sam dobrze pamięta swoją Pierwszą Komunię Świętą. Przystępowała do niej setka dzieci.

- Cała uroczystość była skromnie przygotowana - opowiada. - Wiadomo, czasy były inne. Nie było takich wystawnych prezentów, obiadów, tylu gości. Do dziś pamiętam, że w czasie mszy świętej byłem rozproszony, rozglądałem się, by zobaczyć czy do komunii przystępują moi rodzice. Kiedy zobaczyłem ich u komunii, to uspokoiłem się...

Po uroczystości był w domu obiad. Byli na nim tylko rodzice, brat i siostra oraz chrzestni z rodzinami. Ks. Andrzej zapamiętał, że mama ugotowała rosół, a od chrzestnego dostał w prezencie radziecki zegarek i małe radio tranzystorowe.

Aby zmienić postrzeganie czytania przez społeczeństwo i decydentów, Fundacja Powszechnego Czytania zorganizowała w Warszawie konferencję Literacy for Democracy. Co takiego się stało, że czytanie przestaje być tylko miłym, dobrym nawykiem, a staje się sprawą strategiczną?

To bardzo dobre pytanie. Jak mówi Maryanne Wolf, profesorka neuronauki i znana amerykańska badaczka mózgu czytającego, jeśli nie będziemy dbali o to, co ona nazywa głębokim czytaniem, czyli o linearne, długie czytanie książek, zatracimy umiejętności, które sprawiły, że jako cywilizacja stworzyliśmy demokrację. To jedno. Druga odpowiedź pojawia się w słynnym Ljubljana Manifesto on Higher-Level Reading, czyli manifestie czytelnictwem z Lublany. Jego autorzy, badacze czytania i neuronaukowcy, mówią o tym w kontekście rozwoju sztucznej inteligencji. Zwracają uwagę, że musimy ćwiczyć mózgi, żeby radzić sobie w świecie, w którym coraz ważniejsza staje się umiejętność oceny treści. Łączą to z zalewem dezinformacji, z potrzebą budowania krytycznego myślenia, innowacyjności, kompetencji komunikacyjnych, rozmowy i współpracy z innymi. I pokazują, że czytanie właśnie to nam daje. Myślę, że ważnym elementem tej rozmowy jest świadomość, że czytanie, podobnie jak ruch fizyczny, jest strategicznym elementem dobrostanu społecznego. Dziś już wszyscy wiemy, że nie da się dobrze funkcjonować bez ruchu. Wiedzą to rodzice, szkoła, samorządy inwestujące w parki i siłownie plenerowe, wie to także biznes, który wspiera aktywność pracowników przez karty sportowe. A przecież sport pozostaje czynnością prywatną. Nikt nie może nas zmusić do biegania, pływania czy chodzenia po górach. Firma może dać kartę, burmistrz może zbudować siłownię w parku, ale decyzja nadal należy do nas. Z czytaniem jest podobnie. Ono powinno pozostać prywatną przyjemnością, prywatnym wyborem, naszym nawykiem. A jednocześnie powinniśmy rozumieć, jak bardzo jest strategicznie ważne. Nie uważam, żeby jedno przeczyło drugiemu.

Można rzec, że demokracja zaczyna się wcześniej niż przy urnie wyborczej, bo w domu, w pierwszych kontaktach dziecka z językiem? Można tak to ująć i bardzo mi się to ujęcie podoba. Kiedy mówimy o pierwszych latach życia dziecka, dotykamy sfery pediatrycznej i psychologicznej. Oczywiście neuronau-

– Prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Groźniejsze jest to, że czytanie zostanie przywilejem wąskiej warstwy, która będzie budować koncentrację i kompetencje, a duża część społeczeństwa nie zobaczy przyjemności ani w lekturze, ani w poruszaniu własnego mózgu – mówi Maria Deskur, prezeska Fundacji Powszechnego Czytania

Anita Czapryn



Maria Deskur: Dziś w Polsce mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom. To znaczy, że mniej więcej połowa dzieci przychodzi do szkoły zasadniczo do niej nieprzygotowana

MARIA DESKUR: BEZ CZYTANIA MOŻEMY SIĘ CYWILIZACYJNIE COFNAĆ

kowcy także się tym zajmują, ale bardzo mocno mówią o tym również pediatrzy. Na naszej konferencji pojawi się Dana Suskind z Chicago, profesorka pediatrii i chirurgii, która dużo mówi o bogactwie językowym. Nie zajmuję się czytaniem w wąskim sensie, mówi raczej o tym, że dziecko musi być otoczone słowami, bogactwem słownictwa, językiem. A to oczy-

wicie łączy się z książką, bo książka jest jednym z najlepszych narzędzi tworzenia zdrowego środowiska rozwojowego dla dziecka. Daje różnorodność słów, bogactwo języka i pojęć. Suskind mówi też o podmiotowości małego człowieka, o budowaniu jego mózgu, o namnażaniu się synaps. To jest opowieść o tym, że powinniśmy od samego początku upodmiotawiać

dzieci. Sprawiać, żeby pannały nad językiem, którym się posługują. Żeby miały narzędzia do wyrażania siebie, opisywania swoich emocji, potrzeb, myśli. Żeby mogły dochodzić do własnych wniosków. I to rzeczywiście jest budowanie, od urodzenia, świadomych uczestników demokracji. Najpierw małych ludzi, potem coraz większych, a w końcu nas wszyst-

kich jako wspólnoty. Pomagamy nam to na wielu poziomach. Wspominałam o nowych technologiach i dezinformacji, ale lekarze zwracają też uwagę na stabilizację emocji. Czytanie i język pomagają również w rozwoju poznawczym mózgu, w namnażaniu się synaps, w rozwoju struktur, które później pozwalają dziecku wybrać swoją drogę, zawód, kierunek życia. Mówię

więc najprościej: jeśli mózg jest dobrze rozwinięty, człowiek może pójść w bardzo różne strony i dokonać bardziej autonomicznego wyboru. Ale to także rozmowa o odporności. Dziś odmieniamy to słowo przez wszystkie przypadki: odporność psychiczna, emocjonalna, społeczna, asertywność. A odporność społeczności bierze się między innymi z tego, że potrafimy się komunikować, umiemy coś razem wypracować, razem działać. W tym sensie wszystkie wielkie wyzwania współczesności skupiają się jak w soczewce w pytaniu o czytanie. Powiedziałabym, że chodzi o to, jak użyć czytania jako narzędzia do mierzenia się z wyzwaniami współczesności.

Jakie dzieci wychowujemy, jeśli od pierwszych lat oddajemy ich uwagę ekranom, a nie językowi i rozmowie?

Dziś telefony komórkowe montowane są nawet w wózkach, żeby dziecko podczas spaceru mogło oglądać bajkę. Daleka jestem od oskarżania rodziców, bo wielu robi to zupełnie nieświadomie. Ale fakt jest faktem: mamy dziś dużo badań pokazujących, że małe dziecko do rozwoju mózgu, koncentracji, stabilności i pewności siebie potrzebuje kontaktu z drugim człowiekiem, a nie z ekranem. Ekran oczywiście dziecko cieszy. I to jest pułapka. Coś się rusza, coś miga, można kliknąć. Ekran kradnie uwagę, bo wymaga od mózgu mniejszego wysiłku niż rozmowa, zabawa, obserwowanie świata. A do rozwoju potrzebujemy wysiłku. Wróć do porównania ze sportem. Żeby się ruszać, trzeba wstać z kanapy. Ale jeśli dziecko dużo biega, nie postrzega tego jako obowiązku. Dla niego to zabawa. Ktoś mu pokazał, że bieganie, kopanie piłki, spacer, chodzenie po górach czy ruch w parku są fajne. Przy dużym wysiłku, jak udział w maratonie, wydziela się dopamina. To ogromny wysiłek dla ciała, a jednak dziesiątki, setki tysięcy ludzi biorą udział w maratonach, bo sprawia im to przyjemność. Z czytaniem jest podobnie. Scrollowanie to pasywna aktywność, to symboliczne siedzenie na kanapie. Wiele osób to lubi, ale to nie znaczy, że jest to dla nich dobre. Jeśli komuś nie pokazano, że ruch może być przyjemnością, łatwo wejdzie w tryb życia, który z medycznego punktu widzenia nie jest najlepszy. Podobnie jest z ekranami. Z punktu widzenia rozwoju małych dzieci bardzo wczesne dawanie im ekranów nie pomaga. Dziecko powinno czasem trochę się ponudzić, obserwować przyrodę, a przede wszystkim być w re-

lacji z drugim człowiekiem. Oczywiście to oznacza wysiłek rodzica. Zdaję sobie sprawę, że płaczące dziecko najłatwiej uciszyć telefonem. Ale powinniśmy chcieć zrozumieć, o co mu chodzi, nawet jeśli jeszcze nie mówi. Wziąć je na ręce, sprawdzić, czy coś mu się nie stało, czy nie jest głodne, czy czegoś nie potrzebuje. A kiedy jest starsze - to wchodzić z nim w interakcję. Dom jest pierwszą przestrzenią ćwiczenia relacji społecznych. Dziecko potrzebuje rozmowy, bliskości, obecności. Potrzebuje czasem pokłócić się z rodzicem, postawić mu się, zobaczyć, że rodzic na coś się zgadza, a na coś nie. Że jest reakcja. Że coś jest dobre, a coś niedobre. Że nóż jest niebezpieczny, a łyżka bezpieczniejsza. To milion codziennych sytuacji, z których jako dorośli często nie zdajemy sobie sprawy. Dla rodzica to mogą być rozmowy pozornie trywialne: o tym, co wydarzyło się w parku, w przedszkolu, w książce; że wilk zrobił coś złego, a inny bohater coś dobrego. Ale właśnie to jest przygotowanie do życia. Dziecko potrzebuje tych rozmów, bliskości, obecności i czasu. Rozumiem, że jesteśmy zmęczonymi, zabieganymi rodzicami. Ale nadmiar ekranów jest dla dziecka po prostu bardzo niedobry.

Dzisiaj dzieci bardzo szybko uczą się obsługi nowoczesnych urządzeń. Znacznie wolniej uczą się cierpliwości, skupienia uwagi. Co dobrego daje czytanie? Dlaczego Fundacja Powszechnego Czytania tak mocno apeluje właśnie o czytanie?

Mam poczucie, że jako cywilizacja wykonaliśmy ogromną pracę w bardzo dobrym kierunku: udostępniania wiedzy wszystkim. Obowiązkowa edukacja była miłowym krokiem. Cała populacja została włączona w edukację, możliwości rozwojowe, w obietnicę równych szans. Telefon komórkowy również może być genialnie demokratycznym narzędziem. Każdy z nas ma, przy najmniej teoretycznie, dostęp do wszelkiej wiedzy. Ale jeśli jako społeczeństwo nie nauczymy się używać tego narzędzia tak, żeby nam sprzyjało, a nie obniżało nasz potencjał, na drodze ku równym szansom możemy się zatrzymać albo nawet cofnąć. Marzeniem cywilizacyjnym jest przecież to, żeby każde dziecko dostawało publiczną edukację i miało szansę zostać tym, kim zechce. To niezwyczajne, że żyjemy w takim miejscu świata, w którym możemy w ogóle o tym rozmawiać. Jeśli pozwolimy, żeby telefon zamiast stać się kolejnym narzędziem demo-

kratyzacji, stał się narzędziem pogłębiania różnic w wykształceniu, to będzie bardzo złe. Widać już pewien paradoks. Ludzie z Doliny Krzemowej, twórcy największych firm technologicznych i mediów społecznościowych, wysyłają własne dzieci do szkół, w których technologii prawie nie ma albo nie ma jej wcale. Bo wiedzą, jak bardzo media społecznościowe uzależniają. Sami je stworzyli. Myślę więc, że prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Niebezpieczeństwo polega raczej na tym, że pozostanie wąska warstwa, która nadal będzie czytać, budować koncentrację i kompetencje rozwijane przez czytanie, a duża część społeczeństwa nie będzie poświęcała czasu ani na ruch fizyczny, ani na poruszanie własnego mózgu. I, co również ważne, nie zobaczy przyjemności ani w jednym, ani w drugim. Prawdziwe wyzwanie cywilizacyjne brzmi więc: jak sprawić, żeby przyjemność ruchu fizycznego i przyjemność czytania stały się powszechne? Wracając do pani pytania, dlaczego czytanie jest tak istotne: dzięki niemu możemy stawać się tym, kim chcemy. Czytanie buduje nasze mózgi. I to w każdym aspekcie, bo mózg to nie tylko wiedza. To także umiejętność łączenia faktów, rozumienia związków przyczynowo-skutkowych, analizy, syntezy, matematyki, fizyki, nauk ścisłych. Jest wiele badań pokazujących, że osoby czytające są lepiej przygotowane do rozumienia pojęć z nauk ścisłych. Ale jest też cała sfera społeczna. Mózg ma wymiar relacyjny. Budujemy neurony lu-strzane, ćwiczymy się w rozumieniu drugiego człowieka, we współpracy, we współtworzeniu. Światowe Forum Ekonomiczne wśród najważniejszych kompetencji przyszłości wymienia wiele takich, które dotyczą współpracy, kreatywnego myślenia, pracy z ludźmi i przywództwa. To wszystko. mniej lub bardziej wprost, bierze się z tego, że pozwalamy sobie w szybkim świecie na powolne, głębokie skupienie na treściach. Czytanie ćwiczy mózg w czymś, do czego on wcale nie został pierwotnie stworzony. Nie ma w nim jednego miejsca odpowiedzialnego za czytanie. Żeby nauczyć się czytać i żeby czytać, uruchamiamy bardzo wiele obszarów mózgu. I właśnie dlatego czytanie jest tak dobroczynne. Powoduje, że nasz mózg zaczyna pracować na bardzo wysokich poziomach.

W programie konferencji, obok naukowców, edukato-

rów i przedstawiciele Komisji Europejskiej, znaleźli się także przedstawiciele biznesu. Czytanie może być dziś postrzegane również jako warunek konkurencyjności? To już nie jest tylko sprawa humanistów?

Zdecydowanie. To jedna z podstawowych prawd. Przyzwyczailiśmy się myśleć w pewnych torach. Tak są też zorganizowane nasze państwa: jest silos kultury, silos edukacji. Promocja czytelnictwa przypisana jest zwykle do silosu kultury. Zajmuje się nią Ministerstwo Kultury, na poziomie gminy wydział kultury, na poziomie europejskim komisarz do spraw kultury. To naturalne, bo społeczeństwa muszą być zorganizowane i trzeba dzielić obowiązki. Ale wyzwaniem jest uświadomienie sobie, że czytanie nie jest wyłącznie domeną humanistów. Oczywiście, że czytanie buduje kody kulturowe, naszą identyfikację, na poziomie regionu, państwa, kontynentu. Ale z punktu widzenia nauki Maryanne Wolf bardzo dobrze to ujmuję: zanim w ogóle rozpoczniesz rozmowę o wartości literackiej tekstu i kodach kulturowych, które on niesie, kiedy czytasz książkę, twój mózg już dostał całą pulę ćwiczeń analitycznych, syntetycznych, ćwiczeń krytycznego myślenia, zauważania perspektyw innych niż własna. Czyli uczenia się, że ktoś inny myśli inaczej. To wszystko dzieje się, zanim to zauważysz. Czytasz książkę, a twój mózg wykonuje ogromną pracę. Dlatego zanim zaczniemy rozmowę o jakości literackiej, kodach kulturowych czy kulturze wynikającej z tego, że czytamy te same książki, trzeba zobaczyć podstawowy poziom: czytanie jest treningiem mięśni mózgu. Ćwiczeniem operacji myślowych, które później decydują o tym, co jesteśmy w stanie zrozumieć, stworzyć i zrobić.

Celem Fundacji Powszechnego Czytania jest osiągnięcie 70 procent czytelnictwa w Polsce. Co praktycznie zmieniłoby się w państwie, gospodarce, relacjach społecznych, gdybyśmy taki poziom osiągnęli?

W wielu krajach prowadzi się badania pokazujące, że wyższy poziom czytelnictwa przekłada się na PKB. W Polsce nie znam takich wyliczeń, więc trudno mi byłoby mocno się na nie powoływać. Natomiast wiemy, że większa liczba osób czytających w danej społeczności oznacza lepszy poziom komunikacji i mniejsze rozwarstwienie społeczne. To są rzeczy, do których dążymy. Sprowadźmy to do konkretnego przykładu. Dziś w Polsce

mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom. To znaczy, że mniej więcej połowa dzieci przychodzi do szkoły zasadniczo do niej nieprzygotowana: psychicznie, emocjonalnie, ale też kompetencyjnie. One już na starcie są w bardzo trudnej sytuacji. Gdybyśmy doprowadzili do tego, że czytałoby 70 procent dorosłych i 70 procent rodziców czytałoby dzieciom, mielibyśmy o 20 punktów procentowych więcej dzieci, które przychodzą do szkoły lepiej przygotowane. Dla których szkoła nie zaczynałaby się od traumy. To bardzo konkretna i ogromna korzyść społeczna. Oczywiście można mówić też szerzej: o procesach, dzięki którym rośnie umiejętność współpracy, rosną kompetencje innowacyjne. Polska ma bardzo duże ambicje w tym obszarze. Myślę, że tutaj wiele mogłoby się zmienić. Ale ta rozmowa jest trudna, bo, jak powiedziałam, nie mamy dziś w Polsce takich prognostycznych wyliczeń. Inne kraje to robią. Jako fundacja marzymy o tym, żeby mieć środki na takie prognozy i policzyć to także w Polsce.

Co z pomysłem Fundacji dotyczącym książki na receptę? Czy pediatra może dziś być sojusznikiem czytania?

Pediatrzy już są naszymi sprzymierzeńcami. W tym roku w nowym wydaniu podręcznika do pediatrii, wydawanym przez Medycynę Praktyczną, a to podręcznik, z którego szeroko korzystają pediatrzy w Polsce, zostaje dodany rozdział poświęcony badaniom pokazującym, jak bardzo dzieci od urodzenia potrzebują czytania i rozmowy. W tym samym rozdziale opisano, jak rekomendacji dotyczącej czytania można wprowadzić do każdej wizyty w gabinecie, czyli do standardów pediatrycznych. To oznacza, że pediatrzy stają się naszymi sprzymierzeńcami systemowo. Nie chodzi już o to, że jeden, dwóch czy pięciu lekarzy będzie to robić z własnego przekonania. Chodzi o zmianę, która z czasem wejdzie w krwiobieg. Następne pokolenie pediatrów będzie miało tę wiedzę w swoim wykształceniu. Będzie postrzegało rozmowę, czytanie i dzielenie się książką z dzieckiem jako część medycyny. Ogromnie się z tego cieszymy. Do tej pory współpracują z nami już setki pediatrów w Polsce, ale to są ludzie, którzy nie uczynili się tego na studiach. Uczono ich o tym, że ważny jest ruch fizyczny, warzywa, witaminy, obok całej gigantycznej wiedzy pediatrycznej. Natomiast rozmowa o książkach, wspólnym czytaniu, dzieleniu się

książkami od najwcześniejszych miesięcy życia, to w Polsce novum. I nie tylko w Polsce. W wielu krajach pediatrzy stają się dziś bardzo ważnymi sprzymierzeńcami czytania.

Konferencja stawia pytanie o wsparcie rodziców i opiekunów, jako tych, którzy kształtują młode umysły. Jakiego wsparcia potrzebują tu rodzice?

Przed wszystkim informacji. Kiedy rodzi się dziecko, wielu rodziców uczestniczy w szkołach rodzenia. Potem pojawiają się neonatolodzy, pediatrzy. I właśnie tam mogłoby pojawić się bardzo ważne wsparcie: jasna informacja, dlaczego rozmowa, obecność i książka są tak ważne od samego początku. Bo jeśli nam w dzieciństwie czytano, jeśli mieliśmy książki w domu i było to naturalne, jest duża szansa, że będziemy czytać własnemu dziecku. Albo wystarczy, że ktoś nam o tym przypomni, i to wróci. Ale w Polsce, podobnie jak w wielu społecznościach w Europie, jest część ludzi, która takiego doświadczenia nie ma. Są rodzice oczekujący dziecka, którym nikt w dzieciństwie nie czytał. Oni mogą po prostu nie mieć takiego pomysłu. Dlatego rodzice potrzebują informacji: kiedy dziecko się rodzi, jego mózg jest neuroplastyczny. Żeby mógł się rozwijać, żeby wydobyć z niego cały potencjał, potrzebna jest obecność, rozmowa pełna bogactwa językowego i czas. Na początku trzeba się z dzieckiem książkami bawić: pokazywać obrazki, dawać książkę do ręki, pozwalać, żeby dziecko samo doświadczało kontaktu z książką. Warto szybko wciągać je w interakcję. A potem przychodzi czas na opowieści. To jest informacja, której część rodziców po prostu nie ma. Drugi element to sprawdzone na świecie programy, które zachęcają rodziców, by zaczęli bawić się książką w domu. Anglicy mówią: sharing books, czyli dzielenie się książką. Na wczesnym etapie rozwoju dziecka często unikają nawet słowa reading - czytanie, bo nie chodzi o to, żeby posadzić niemowlaka i czytać mu długi tekst. Chodzi o interakcję, wspólne skupienie. Jeden z profesorów pediatrii używa określenia: niespieszny czas. To dobrze oddaje sens tej praktyki. Chodzi o bycie bez pośpiechu, koncentrację, budowanie w dziecku poczucia: rodzic poświęcił mi czas, jestem ważny. Drugim bardzo ważnym elementem są programy, w których rodzic przychodzący do pediatrii usłyszy o korzyściach płynących z rozmowy i czytania

z dzieckiem, i po prostu dostanie książkę w przychodni. Tym właśnie jest książka na receptę. Wysyłamy bezpłatnie książki do przychodni. Tam, gdzie lekarze potwierdzą, że są gotowi je rozdawać, mogą połączyć przekazanie książki z krótkim komentarzem. Chcemy zaprosić do czytania przede wszystkim tych ludzi, którzy sami takiego doświadczenia nie mieli. Tych, którym z takiego czy innego powodu rodzice nie czytali. Prawdopodobnie część z nich należy dziś do grupy około 30 procent polskiej populacji, która nie ma w domu żadnej książki. Jeśli więc ma się wydarzyć sytuacja, o którą zabiegamy, książka musi znaleźć się w ręku rodzica. Międzynarodowe organizacje, takie jak brytyjski BookTrust, szkocki Scottish Book Trust czy włoskie Nati per Leggere, od dawna pokazują w swoich ewaluacjach, że samo mówienie: „Czytajcie dzieciom”, bez doprowadzenia do tego, żeby książka była w zasięgu ręki rodzica, daje dużo słabsze efekty. Bo inaczej pojawia się kolejna bariera. Powie-dzieliśmy rodzicom, że to ważne, ale mama czy tata wraca do domu zabiegany, trochę zapomina, trochę nie wie, co właściwie miałby kupić takiemu małemu dziecku. I po prostu nic się nie wydarza. Jeśli damy rodzicowi książkę, sytuacja się zmienia. On nadal wraca do domu zmęczony, zabiegany. Ale książka wyjęta z torby staje się przypomnieniem tego, co powiedział lekarz. I wtedy dajemy sobie nieporównanie większą szansę na to, że rodzic naprawdę zacznie się tą książką z dzieckiem bawić.

CV



FOT. MATPRAS.

Maria Deskur

Wydawczyni, ekspertka w dziedzinie upowszechniania czytelnictwa oraz prezeska Fundacji Powszechnego Czytania. Współzałożycielka wydawnictwa Muchomor, inicjatorka serii „Czytam sobie” oraz cyklu o Basi. Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, Sorbony oraz Université Lumière w Lyonie.



Nad organizacją Muzeum Wałbrzyszan Tygiel czuwają Wioletta Wrona-Gaj i Marek Arcimowicz



W tej hali wybudowano nowe kondygnacje. Tu naprawdę zaszła duża zmiana

FOT. ADRIANNA SZURMAN

FOT. ARCHIWUM STARA KOPALNIA

600 lat Wałbrzysza wrzucają do Tygla. Budowa muzeum jest już na finiszu

Adrianna Szurman

Są już gotowe kondygnacje, których tu wcześniej nie było. Przestrzeń nabrała kształtu i charakteru, który już niebawem będą mogli podziwiać Wałbrzyskanie, i nie tylko oni. To będzie miejsce wyjątkowe. Tygiel już wkrótce będzie odmieniany przez wszystkie przypadki, a niespodzianki, które jednych zaskoczą, a innych wzruszą – gwarantowane. Uchylamy rąbka tajemnicy

Dokończenie ze strony 1

Jak dodaje Marek Arcimowicz, na dębie będą różne zdjęcia różnych ludzi, których losy spłoty się po II wojnie światowej tutaj, w Wałbrzyszu, na tzw. ziemiach odzyskanych. Bo i całe muzeum ma właśnie taki charakter. A nazwa wydawała się oczywista.

Tygiel to będzie opowieść o korzeniach miejscowości jako takiej, sięgających 600 lat wstecz. Ale przede wszystkim jego bardziej współczesnych

dziejów, tuż przed II wojną światową, tuż po niej i dalej przez PRL – aż po nowe milennium.

600 lat Wałbrzysza w jednym miejscu – w Muzeum Tygiel

Z jednej strony cofniemy się do czasów, kiedy miasto musiała opuścić część niemieckich mieszkańców i wyjechać po wojnie w głąb Rzeszy, zostawiając za sobą dotychczasowe życie, domy, w których się rodzili, miejsca, w których pracowali, bawili się, kochali.

A z drugiej zanurzymy się w historię tych wszystkich ludzi, którzy przybyli tu po wojennej zawierusze, z nadzieją że na ziemiach odzyskanych zbudują nowy świat, nowe, lepsze jutro.

To tu działały przecież fabryki, które dawały nadzieję na pieniądze, na chleb, na założenie i utrzymanie rodziny. Kopalnie, fabryki porcelany, kalkomanii...

W Wałbrzyszu jak w tyglu spletały się różne kultury, tradycje, języki, łączyły losy Polaków z Polski centralnej i Wiel-

kopolski, Kresowiaków, reemigrantów z Francji, Belgii, autochtonów, w tym potomków Ślązaków, Niemców, Czechów, ale także Żydów, Greków, Jugosłowian czy Romów.

Zapach kobiety z tamtych lat

- I właśnie przez osobiste doświadczenia tych rodzin opowiemy historię miasta. Od miesięcy zbieramy też rodzinne pamiątki, które tutaj pokażemy – zaznacza Wioletta Wrona-Gaj. To ona dba o każdy przedmiot, który będziemy tu

możli zobaczyć. Nam uchylila rąbka tajemnicy. Wśród wyjątkowych rzeczy, które znajdują się w Tyglu, będą na przykład oryginalnie zapieczętowane perfumy z lat 40., których woń kopalnia zdołała odtworzyć. A w zasadzie ich recepturę. Dzięki temu będziemy mogli wyobrazić sobie zapach kobiety, która ich używała.

A także zanurzyć się w historii pewnej miłości. Zajrzeć w duszę żołnierza, który wysyłał listy z frontu do ukochanej. Poczucie niemal jego tęsknoty za osobą, z którą dzieliły

go setki kilometrów, która czekała na niego tutaj, w Wałbrzyszu.

- Mamy zdjęcia nigdzie niepublikowane, po raz pierwszy będą pokazane publicznie tutaj. Pochodzą z zakładów przemysłowych, a są od ludzi, którzy tam pracowali – zdradza Wioletta Wrona-Gaj. Jest także mnóstwo dokumentów, które są i będą nadal analizowane.

Skarb z ul. Kuracyjnej

Wśród rzeczy z Kuracyjnej, czyli skarbu Wałbrzysza, który będzie stanowił ok. 1/10 muze-

alnej ekspozycji, są przedmioty należące do kilku niemieckich rodzin, które musiały opuścić Waldenburg w nadziei, że tu wrócą. Co nigdy nie nastąpiło.

- Serwisy porcelany, bielizna, także pantalone należące do pewnej starszej pani z monogramami, odkurzacze, dokumenty, przedmioty codziennego użytku, talizmany, zestaw do rozpylania perfum, biżuteria, materiały należące do pewnej prężnej krawcowej i wiele, wiele innych - wylicza jednym tchem Izabela Purzycka z Muzeum Przemysłu Techniki.

Jak dodaje jej kolega Piotr Mizera, będzie można zobaczyć też artykuły gospodarstwa domowego.

- Depozyty należały do siedmiu rodzin. Po tym jak pojawiły się informacje o odkryciu „skarbu” w Niemczech, nikt się do nas nie odezwał, ale było też niewiele wzmianek o tym w niemieckiej prasie. Myślę, że większe zainteresowanie wzbudzi to miejsce po tym, jak otwarty zostanie Tygł.

Z ciekawostek warto też wspomnieć o atrybutach pewnej toaletki damskiej z lat 70.; zestaw nie ma nawet ryski. Będzie sporo niespodzianek, a nawet prawdziwych hitów, jak absolutnie wyjątkowy kombinezon startowy Jerzego Mazura. To już lata bardziej współczesne, bo to właśnie historia 1945+ będzie tą najbardziej akcentowaną treścią w Tygł.

- Muzeum to muzeum społeczności, obecnej społeczności, bez negowania czy gumkowania dawnych ludzkich losów. To muzeum ma uczyć, jednoczyć i budować szacunek dla tych, którzy stworzyli Wałbrzych takim, jakim jest obecnie - podkreśla zdecydowanie Arcimowicz.

Przestrzeń, w której te wszystkie rzeczy zostaną wyeksponowane, jest niebanalna. Twórcy Tygła zdecydowali się zostawić elementy z czasów działalności kopalni. Jednym z najbardziej przykuwających uwagę jest suwnica do przenoszenia ciężkich sprzętów.

Oryginalna, lekko zardzewiała. Są też płytki ceramiczne na ścianach, metalowe ościeża z przeszkleniami i z oryginalnymi napisami, ściany z odkrytą cegłą. Już teraz widać, że nie będzie to przestrzeń zbyt wygładzona, „szpitalna”, a bardziej pasująca do charakteru kopalni, z jej surowością, co podkreślą betonowe elementy; warto także zwrócić uwagę

na podłogę tuż przy wejściu z charakterystycznymi, przypominającymi dmuchawce wzorkami - efekt jedyny w swoim rodzaju.

Przeniesiemy się na ul. Niepodległości z 1920

Hitem będzie kamienica, a w zasadzie jej elewacja i wnętrze, jak odzwzorowana z ulicy Niepodległości.

Chodziło o to, by fasada pasowała do tej przestrzeni. Znajdziemy tu wystawy sklepowe, prawdziwe mieszkanie mieszczan żyjących tu w 1920 roku z pokojami i kuchnią, ale także aptekę i kino. Zwłaszcza to ostatnie ma szansę zrobić furorę.

- Sztyl z Capitolu, czy jak kto woli „kina Górnik”, a w środku będą odtwarzane filmy, zarówno krótkometrażowe, jak i inne, jak choćby te, które były kręcone w Wałbrzychu, a jest ich całkiem sporo. Chciałbym bardzo, żeby tutaj zaistniał taki dyskusyjny klub filmowy dla naszych mieszkańców - dodaje Marek Arcimowicz.

W środku toczą się prace - kiedy krążymy po przestrzeniach, pracownicy kładą płytki.

- Ten nasz człowiek od płytek to prawdziwy fachura, ale tu będzie trzeba poprawić - zauważa dyrektor, kiedy stąpamy tuż koło misternie ułożonej konstrukcji.

Już w maju montowane ma być drzewo, a lada moment ruszą prace nad montażem oświetlenia.

- Ten koncept i jego wykonanie bardzo mi się podoba, zwłaszcza ta kamienica, jest jak suma cech takich miejsc z lat 20. Z niecierpliwością czekam na zakończenie prac - zaznacza Anna Nowakowska, konserwátorka zabytków z Wałbrzysza, która czuwa nad całością od strony konserwatorskiej.

Przystosowanie obiektu na potrzeby muzeum kosztuje 12 mln zł. Będą tu także wystawy czasowe, okazjonalne, nawiązujące do różnych okresów w dziejach miasta, do różnych dziedzin - od kultury, sportu, polityki, turystyki, po szkolnictwo czy lecznictwo. Jest w czym wybierać. Muzeum planuje się otworzyć w listopadzie tego roku.

Jeśli macie w domach pamiątki, które chcielibyście zachować dla potomnych i pokazać światu, dajcie znać twórcom Tygła. Warto też ocalić od zapomnienia historie i opowieści babci i dziadka.



W górnym rzędzie zdjęcia z prac remontowych. Poniżej przykładowe przedmioty, które zobaczymy w muzeum

TO MUZEUM MA UCZYĆ, JEDNOCZYĆ I BUDOWAĆ SZACUNEK DLA TYCH, KTÓRZY STWORZYLI WAŁBRZYCH TAKIM, JAKIM JEST OBECNIE

GEN. KRASZEWSKI: DRONY NIE ZASTĄPIĄ HAUBIC I WYRZUTNI. MUSIMY BUDOWAĆ CAŁY SYSTEM WALKI

– Drony są uzupełnieniem środków walki. W określonych sytuacjach tworzą dogodne warunki do prowadzenia innych działań, ale na pewno nie zastępują klasycznych systemów rażenia. Nie słyszałem jeszcze, żeby komuś udało się strącić pocisk artyleryjski na torze lotu, a drona jednak można strącić. Wiem, że haubice, wyrzutnie i tego typu systemy są droższe, ale przez wiele lat pozostaną niezbędnym elementem współczesnego pola walki – mówi gen. Jarosław Kraszewski

Anita Czapryn

Premier ogłosił w Rzeszowie projekt polskiej armady dronowej, budowanej z wykorzystaniem ukraińskich doświadczeń. Co powinno być w takim projekcie najważniejsze? Liczba dronów, czy to, że to będzie krajowa produkcja, czy coś innego?

Chodzi o to, żeby ta armada była rozwiązaniem systemowym i wieloaspektowym. To nie mogą być wyłącznie drony powietrzne. Musimy myśleć także o dronach lądowych i morskich, o systemach antydronowych, ale również o systemach zarządzania przestrzenią powietrzną. Bo jeżeli taka armada ruszy bez właściwego systemu koordynacji, to przeciwnik nie będzie nam już potrzebny.

Polska powinna kupować gotowe systemy czy budować własny ekosystem?

Mamy naprawdę bardzo dobre rozwiązania. W dużej części są one dziś w rękach prywatnych firm. Dlatego trzeba jak najszybciej doprowadzić do ich konsolidacji z Polską Grupą Zbrojeniową. Te rozwiązania były testowane w ubiegłym roku podczas ćwiczenia „Żelazny Wojownik”, a teraz są w kolejnej fazie, związanej z programem Tarcza Wschód. Naprawdę nie mamy się czego wstydzić. Nie możemy jednak patrzeć z huraoptymizmem wyłącznie na rozwiązania ukraińskie. Część z nich to rozwiązania wojenne, czasem wręcz garażowe. Na Ukrainie sprzęt, który jest potrzebny na froncie, trafia do walki bardzo szybko, często już na niższym poziomie gotowości technologicznej. W Polsce sprzęt, który ma być używany przez wojsko, musi spełniać znacznie bardziej rygorystyczne wymagania, często oczekuje się po-

ziomu TRL 9, czyli technologii gotowej do wdrożenia. Na Ukrainie w warunkach wojny dopuszcza się rozwiązania na wcześniejszym etapie, bo są potrzebne natychmiast. Kluczem do sukcesu jest to, żebyśmy nie patrzyli na prywatne firmy jak na zbędny dodatek. Tam naprawdę są bardzo dobre rozwiązania. Od Ukraińców natomiast musimy, podkreślam to z całą stanowczością, czerpać przede wszystkim doświadczenie dotyczące tego, jak te systemy wykorzystuje się w walce. Dziś wszyscy koncentrujemy się na małych dronach, zwłaszcza typu FPV. One są oczywiście potrzebne, ale są też większe bezzałogowce i od nich również trzeba zaczynać budowanie całego systemu. Nie wolno nam skupić się tylko na jednym typie sprzętu. Powtórzę: to musi być ekosystem wielowarstwowy i wielokonstrukcyjny. Jeżeli skoncentrujemy się wyłącznie na jednym rozwiązaniu, popełnimy poważny, kardynalny błąd.

No właśnie, w Ukrainie wojskowe innowacje często rodzą się na styku żołnierz – inżynier – mała firma. Ukraińcy potrafią sprzęt dronowy zmieniać co kilka tygodni. Polski system zakupów wojskowych potrafi działać w takim tempie?

Pani redaktor, absolutnie tak – ten sprzęt zmienia się bardzo szybko. Technika dronowa może nie rozwija się jeszcze w takim tempie jak technika komputerowa, ale proszę mi wierzyć: zmiany następują błyskawicznie. Współpracuję z Ukraińcami, bo kieruję firmą dronową i tworzymy własne systemy. W rozmowach Ukraińcy sami podkreślają, że ciągle pojawia się coś nowego.

Rosjanie przecież nie śpią. Oni też bardzo szybko się uczą, przechwytyują ukraiński sprzęt, rozbierają go i na zasadzie inżynierii odwrotnej sprawdzają, jak działa dany system. Dobrym przykładem są rosyjskie drony typu Shahed, zwłaszcza te lecące na przedzie ugrupowania. Według informacji z pola walki część z nich jest wyposażona w miniaturowe systemy zakłócające oraz urządzenia detekcyjne. Jeżeli taki system wykryje obiekt w bezpośredniej bliskości, może na kilka sekund aktywować zakłócanie, żeby nie doszło do kolizji, zniszczenia albo uszkodzenia drona. To pokazuje, że wojna wymusza stały postęp technologiczny. Nie możemy czekać, aż ten postęp zwolni, bo nie wiemy, kiedy i czy w ogóle zwolni. Zrobiliśmy już pewne kroki. Powstał Inspektorat Wojsk Bezzałogowych Systemów Uzbrojenia, ale to za mało. Potrzebna jest rada albo komisja, która stale łączyłaby świat nauki, wojsko i przemysł. Nie może spotykać się od czasu do czasu, tylko regularnie. Wtedy unikniemy sytuacji, w której coś przeoczymy albo coś nas ominie. Rekomendacje powinny być przygotowywane szybko, a na ich podstawie wojsko powinno szybko kupować. Tym bardziej że w przypadku prostszych dronów nie mówimy o wydatkach porównywalnych z zakupem HIMARS-ów, armatohaubic Krab, czołgów K2, K9, Leopardów czy Abramsów. To są rozwiązania zdecydowanie tańsze. Pytanie, kto miałby je kupować: Agencja Uzbrojenia czy inny podmiot wskazany przez ministra obrony narodowej. Można też rozważyć model, w którym dowódcy kupowaliby część systemów samo-

dzielnie. To nie jest głupi pomysł, pod warunkiem że odbywałoby się to na podstawie jasnych rekomendacji. Bo jeżeli każdy kupi coś innego, to później nawet wewnątrz jednej jednostki bardzo trudno będzie to zintegrować.

Czy nie grozi nam to, że armada dronowa bardziej będzie się budować na konferencjach niż w jednostkach wojskowych? Po czym poznamy, że ten projekt naprawdę działa?

Po czym poznamy? Na poligonach. Konferencje konferencjami. Mam do nich ambiwalentne podejście z prostego powodu: decydenci, jeżeli już pojawiają się na takich wydarzeniach, to najczęściej na początku. Są witani, proszeni o wygłoszenie przemówienia, a potem znikają. Konferencja toczy się dalej, ale często bez sensu z punktu widzenia decyzji, bo oni nie słyszą tego, co później zostaje tam powiedziane. Dlatego potrzebne jest ciało, rada albo komisja, która analizowałaby pojawiające się rozwiązania i składała rekomendacje. Bo nie wszystko, co nowe, czy na Ukrainie, czy gdziekolwiek indziej, jest od razu rozwiązaniem, które musimy natychmiast mieć. W Polsce jest dziś bardzo dużo ciekawych projektów. Problem polega na tym, że sektor prywatny nie ma właściwego umocowania. Od pewnego czasu powtarzam, że mamy Ministerstwo Aktywów Państwowych, czyli w praktyce ministerstwo spółek Skarbu Państwa, a powinniśmy mieć Ministerstwo Aktywów Państwa. Bo aktywności państwa są także prywatne firmy, ich technologie, kompetencje i ludzie. Dziś sektor prywatny jest w dużej mierze pozostawiony sam sobie. Nie ma nad nim

żadnej realnej kurateli państwa, żadnego sensownego systemu wsparcia. Więc do kogo taka firma ma pójść po finansowanie? A jeśli już człowiek gdzieś się doczłoga, zapuka do właściwych drzwi, to procedura walidacji trwa miesiącami. Żaden startup tego nie wytrzyma.

Unia Europejska uruchamia SAFE, czyli preferencyjne finansowanie inwestycji obronnych. Polska ma dostać duże środki na obronność, ale co powinno być priorytetem: obrona powietrzna, amunicja, drony, cyberbezpieczeństwo?

Cyberbezpieczeństwo na pewno tak. Amunicja, zwłaszcza ta dużego kalibru, również. Od artylerii, haubic i wyrzutni rakietowych jeszcze długo nie odejdziemy, bo one są potrzebne. Nie wyobrażamy sobie, że drony zastąpią armaty, haubice i wyrzutnie rakietowe. One są uzupełnieniem środków walki. W określonych sytuacjach tworzą dogodne warunki do prowadzenia innych działań, ale na pewno nie zastępują klasycznych systemów rażenia. Nie słyszałem jeszcze, żeby komuś udało się strącić pocisk artyleryjski na torze lotu, a drona jednak można strącić. Wiem, że haubice, wyrzutnie i tego typu systemy są droższe, ale przez wiele lat pozostaną niezbędnym elementem współczesnego pola walki. Wracając do meritum: musimy zachować równowagę. Potrzebne jest ciało, które będzie rekomendowało Ministerstwu Obrony Narodowej konkretne kierunki działania. Nie wiem, czy powinna to być istniejąca Rada Modernizacji Technicznej, czy nowe ciało powołane przy ministerstwie. Ważne, żeby było to

ciało eksperckie, złożone z przedstawicieli nauki, wojska i przemysłu. SAFE ma swoje priorytety, ale problem polega na tym, że firmy często nie wiedzą, jakie one są i kto ma szansę z nich skorzystać. Być może wie to wąska grupa ludzi, ale z perspektywy wielu przedsiębiorców ta wiedza nie jest dostępna. Firma nie wie, czy się kwalifikuje, czy nie. Ja takiej wiedzy nie mam.

Jaki rodzaj myślenia dominiuje dziś w polskich zakupach obronnych? Kupujemy najnowocześniejsze platformy, czy budujemy system, który ma przetrwać pierwszy miesiąc wojny?

Sprzęt wojskowy kupuje się na lata. Zwłaszcza ten drogi sprzęt nie jest kupowany tak jak samochód. Kiedyś samochód też kupowało się na lata, ale dziś uwarunkowania są inne. Użytkownik często wymienia auto po trzech, pięciu latach. W przypadku sił zbrojnych mówimy o perspektywie około trzydziestu lat. Na tyle kupuje się sprzęt wojskowy. Dlatego musimy bardzo dobrze analizować rynek. Biura konstrukcyjne w polskich zakładach przemysłu obronnego powinny tak ukierunkowywać prace badawczo-rozwojowe, żeby powstawał sprzęt odpowiadający konkretnym potrzebom wojska. Ale trzeba też mieć świadomość, że takiego sprzętu nie buduje się w ciągu roku. To się po prostu nie da. Są testy zakładowe, są testy kwalifikacyjne, a potem sprzęt musi trafić do użytkownika. Żołnierz musi go dostać do ręki, sprawdzić, przeciwieć, w cudzysłowie – musi się nim pobawić. Dopiero wtedy może powiedzieć producentowi: to trzeba poprawić, to zmienić, to usunąć, a to zaprojektować inaczej. Nawet naj-

bardziej zdolny konstruktor czy inżynier nie stworzy od razu sprzętu idealnego dla żołnierza. Nie będzie tak, że do pojazdu czy systemu wsia- dzie doświadczony, dobrze wyszkolony żołnierz i natych- miast powie: „Tak, to jest do- kładnie to, na co czekałem”. Może słowo „nigdy” byłoby przesadą, ale żeby to było możliwe, zakłady musiałyby mieć specjalne komórki zło- żone z byłych żołnierzy, z lu- dzi, którzy odeszli już ze służby na emeryturę, ale mają ogromne doświadczenie prak- tyczne. Kilku, może kilkun- stu takich specjalistów po- winno stale współpracować z konstruktorami, testować rozwiązania, sprawdzać je w praktyce i wskazywać, co trzeba natychmiast zmienić. Niestety w naszym państwo- wym przemyśle zbrojenio- wym takiego modelu wciąż brakuje.

Jak uniknąć sytuacji, w której kupujemy drogi, efektowny sprzęt, ale potem brakuje amu- nicji, części zamiennych, ope- ratorów albo osłony przed dro- nami? Da się to zrobić?

Da się. Trzeba tylko myśleć o całym systemie, a nie wy- łącznie o zakupie platformy. Jeżeli kupujemy czołg, hau- bicę czy wyrzutnię rakietową, to jeszcze przed podpisaniem kontraktu powinniśmy bar- dzo dokładnie oszacować, ile czasu potrzebujemy w Polsce, żeby dostosować produkcję amunicji do nowych wyma- gań. Bo samo kupienie sprzętu nie rozwiązuje pro- blemu. Przykład? Wprowa- dzając Kraba, przeszliśmy na NATO- wski kaliber 155 mm. Bardzo dobrze, że to zro- biliśmy. Tyle że przemysł za tym nie nadążył. I teraz można oczywiście pytać, czy to była wina przemysłu. Ja ro- zumiem, że przemysł nie na- dążył, bo nie dostał odpo- wiednio wcześniej jasnych wy- tycznych i decyzji. To po- winno iść równolegle. Ktoś powinien o to zadbać, ktoś po- winien za to zapłacić. Nie cza- rujemy się: nikt nie odda nam technologii za darmo. Za tech- nologię płaci się ciężkie pie- niądze. Licencje kosztują bar- dzo dużo, czasem jedną trze- cią, a czasem nawet połowę wartości kontraktu. Jeżeli chcemy mieć własne zdolno- ści, musimy się z tym liczyć. Polskie ośrodki badawczo- na- ukowe, także wojskowe, po- winny natychmiast przystę- pować do opracowywania no- wych typów amunicji. Rów- nolegle powinna być zama- wiana albo tworzona linia pro- dukcyjna. Jeżeli tak się nie dzieje, mamy potem sytuację, że trwa piąty rok wojny w Ukrainie, a my nadal nie mamy w pełni rozwiniętej fa- bryki nowoczesnej amunicji artyleryjskiej. Na szczęście MESKO robi wszystko, żeby



FOT. PAP/ALBERT ZAWADA

Gen. Kraszewski: Nie wszystko, co nowe, czy na Ukrainie, czy gdziekolwiek indziej, jest od razu rozwiązaniem, które musimy natychmiast mieć

jak najszybciej uruchomić taką narodową produkcję. Po- winna ona być zdecentralizo- wana, rozłożona w kilku mie- scach. Nie ma znaczenia, gdzie dokładnie i takich infor- macji nie powinno się poda- wać do wiadomości publicz- nej. Jeżeli osiągniemy duże zdolności produkcji nowocze- snej amunicji artyleryjskiej, trzeba będzie zrobić to samo dla systemów HIMARS oraz Homar-K, czyli polskiej wersji koreańskiego K239 Chunmoo. Tu coś się już dzieje. Grupa WB razem z Hanwha Aero- space podpisała stosowne umowy i ten proces zaczyna się materializować, ale to jest perspektywa najbliższych lat. Moim zdaniem minimum dwa lata, zanim cokolwiek z tego wyjdzie. Nie wiem na- tomiaszt, co dzieje się z pro- dukcją rakiet do HIMARS-ów, na przykład ATACMS albo nowszych pocisków, których Amerykanie nam dotąd nie przekazali. A to są rzeczy klu- czowe. Musimy je mieć.

Co będzie prawdziwym te- stem dla pieniędzy z SAFE? Czy to, ile z nich zostanie w polskim przemyśle?
To, ile zostanie w polskim przemyśle, zależy od wydol- ności polskiego przemysłu zbrojeniowego. Jeżeli ktoś jest niewydolny, nie powinien podpisywać umów wykonaw- czych, bo później zapłaci po- tężne kary i postawi całe pań- stwo w kłopotliwej sytuacji. Ci, którzy o tym decydują, po- winni bardzo skrupulatnie analizować realne możliwości wykonawców. Mam nadzieję, że to już zostało sprawdzone. Nie można zakładać, że firma zatrudniająca trzy osoby bę- dzie produkowała 15 tysięcy dronów miesięcznie. To jest po prostu niemożliwe.

Czyli dziś od pytania, co ku- pić, ważniejsze jest pytanie, czy będziemy umieli to pro- dukować, naprawiać i zastę- pować straty?

Tak, bo nie będziemy w stanie wszystkiego wyprodukować od razu w takiej ilości, jakiej potrzebujemy. SAFE jest skon- struowany w określony spo- sób, a my straciliśmy dużo czasu. Z tego, co rozumiem, kluczowe będą podpisane umowy wykonawcze. Na tyle, ile Ministerstwo Obrony Naro- dowej zakontraktuje, tyle środków będziemy mogli real- nie wykorzystać. To absolut- nie nie oznacza, że cała kwota prawie 44 miliardów euro au- tomatycznie popłynie do Pol- ski. Im mniej zamówień pod- piszemy z polskim przemy- słem, tym więcej będziemy musieli kupować na zewnątrz. Uważam, że byłby to, delikat- nie mówiąc, błąd. Bo idea SAFE polega nie tylko na przy- spieszeniu uzupełniania uzbrojenia w państwach członkowskich, ale także na zdynamizowaniu, a właści- wie reaktywacji europejskiego przemysłu obronnego. Jeżeli nie zreaktywujemy polskiego przemysłu zbrojeniowego, bę- dzimy musieli kupować za granicą. Wtedy proporcja, o której dziś się mówi, że mniej więcej 70-80 procent w kraju i 20-30 procent na ze- wnątrz - może się zmienić. Nie wiem, czy Unia Europej- ska na to pozwoli. Jeżeli nie, pieniądze mogą wrócić do wspólnej puli i skorzysta z nich ktoś inny. Tak mi się wydaje. Nie powinniśmy też podpisywać umów, które już w momencie podpisania wy- glądają na nierealne. Bo wyko- nawca, który dostanie takie fi- nansowanie, może później wydać te pieniądze nie na pro- dukcję, ale na kary umowne.

Będzie musiał się dodatkowo zadłużyć albo po prostu zban- krutuje. To byłoby bez sensu. Do tego nie możemy dopro- wadzić. Straciliśmy za dużo czasu, zupełnie niepotrzeb- nie. A dziś czas jest naszym największym przeciwnikiem, większym nawet niż Rosja. Kiedy czasu jest coraz mniej, rośnie ryzyko błędów. Wia- domo: jak się człowiek spie- szy, to się diabeł cieszy.

Ukraińskie drony uderzają dziś w cele oddalone nawet o 1700 kilometrów. Jak pan na to patrzy?

Sprecyzowałbym: drony bę- dące w posiadaniu Ukrainy uderzają w takie cele. Bo nikt nie wie dokładnie, czy dany dron został wyprodukowany przez Ukrainę, czy tylko znaj- duje się w jej arsenale. Oczy- wiście Ukraińcy byli i nadal są bardzo dobrzy w technolo- giach rakietowych. Mają ogromną wiedzę na temat sil- ników rakietowych i syste- mów dalekiego zasięgu. Nie twierdzę, że nie mogli tego zrobić sami. Przeciwnie, mają do tego kompetencje. Ale wra- cam do tematu, o którym już mówiłem: w prywatnym sek- torze polskiego przemysłu obronnego również istnieją ta- kie rozwiązania. Sam deklaro- wałem, że mamy system prze- testowany na dystansie 1260 kilometrów. Tylko ktoś musi się tym zainteresować. Teraz opracowaliśmy i kończymy testy kolejnego rozwiązania. Nazywamy je Hedy. To dron przechwytyjący, który lata z prędkością około 800 kilo- metrów na godzinę. Za chwilę będziemy próbowali pobić re- kord Guinnessa; chcemy prze- kroczyć barierę 840 kilome- trów na godzinę. To są małe drony, ale 150 gramów hekso- genu w głowicy w zupełności

wystarczy. Zresztą z naszych testów wynika, że przy takich prędkościach nawet samo uderzenie kinetyczne w Sha- heda może wyrządzić mu ta- kie uszkodzenia, że Shahed nie wykona misji. Te drony naprowadzają się autono- micznie. Mają bibliotekę ce- lów i urządzenia optoelektro- niczne, które w milisekun- dach porównują obraz z wgra- nym modelem 3D Shaheda albo innego bezzałogowca. Potem lecą na cel samodziel- nie. Ich czas lotu, wynikający ze stanu baterii, to około sie- dem-dziewięć minut. I to w zupełności wystarczy. Sys- tem jest spięty z radarem, także naszej produkcji, który pokazuje, skąd nadlatują Sha- hedy, w jakim kierunku lecą, na jakim pułapie i z jaką prę- dkością. Całość jest bardzo pro- sta w obsłudze i nie wymaga długiego, specjalistycznego szkolenia. Zakończymy testy i zaraz zaproponujemy ten system wojsku.

Rosja ogranicza paradę 9 maja i rezygnuje z pokazu cięż- kiego sprzętu. To dowód na to, że Putin boi się ukraiń- skich dronów? Gdyby Ukraina chciała zakłócić paradę w Mo- skwie, miałaby dziś takie zdolności?

Tak, Ukraina ma dziś zdolno- ści do prowadzenia uderzeń dalekiego zasięgu. Ale ja uwa- żam, że Rosja ogranicza pa- radę także z innego powodu: nie ma czego pokazać. To jest klęska wizerunkowa armii, która przez lata uchodziła za potężną. To, co najnowsze, w dużej części zostało już zniszczone albo jest po- trzebne na froncie. Przypo- mnijmy choćby słynny czołg T-14 Armata, który swego czasu nie był w stanie o wła- snych siłach zjechać z Placu

Czerwonego podczas próby defilady. Pokazywanie prze- starzałego sprzętu mogłoby doprowadzić do kompromita- cji wizerunkowej i administra- cji prezydenta Putina, i rosyj- skich sił zbrojnych.

Ale trochę jednak wygląda to tak, jakby Putin musiał cho- wać czołgi przed ukraińskimi dronami. Nie myśli pan?

Nie wiem, czy to jest główny powód. Spójrzmy na dotych- czasowe próby ukraińskich ataków na Moskwę. Nie wszystkie były skuteczne, a je- śli już przynosiły efekt, to ra- czej na obrzeżach. Nie przypo- minam sobie, żeby dron zbli- żył się na bardzo małą odle- głość do Placu Czerwonego czy do miejsc, w których za- siada większość rosyjskich de- cydentów. Rosjanie dobrze za- bezpiecają stolicę. Są też do- brzy w walce elektronicznej. Oczywiście nie da się zabez- pieczyć wszystkiego, bo, jak już mówiłem, postęp techno- logiczny stale wymusza nowe sposoby naprowadzania, nowe metody i nowe urządze- nia. Dlatego drony potrafią dziś dolecieć do celu oddalo- nego o 1200 czy 1700 kilome- trów. To ogromna odległość. Ale trzeba też pamiętać, że taki dystans oznacza długi czas lotu. A to daje stronie atakowa- nej czas na reakcję i próbę nie- dopuszczenia do uderzenia. Dlatego bardziej skłaniam się ku tezie, że Rosjanie naprawdę nie mają dziś czego pokazać. Parada wojskowa jest przeciw- po to, żeby zaprezentować no- woczesność armii. U nas rów- nież służy temu, żeby społe- czeństwo zobaczyło, na co idą pieniądze, że to nie jest roz- dawnictwo, ale inwestycja w określony cel. Rosjanie także doskonale to rozumieli. Byli- śmy w szoku, bo mówiono o kwotach dziesięć razy więk- szych niż nasze. Tyle że w ich przypadku ogromne środki deklarowane przez Putina na modernizację armii w dużej mierze rozeszły się po oligar- chach.

CV



FOT. MAT. PRAS

Jarosław Kraszewski
Generał brygady Wojska Polskiego, doktor nauk wojskowych, były dyrektor Departamentu Zwierzchnictwa nad Siła- mi Zbrojnymi w Biurze Bezpieczeństwa Narodo- wego.

Liliana Bogusiak

Czy gdy pracownik zaczyna odczuwać fizyczne i emocjonalne wyczerpanie, przeciążenie obowiązkami zawodowymi, jest sfrustrowany i zestresowany, mówimy już o objawach wypalenia zawodowego?

JAROSŁAW DUDEK: Tak może być. Pierwsze pojawia się wyczerpanie emocjonalne i psychofizyczne; odczuwamy zmęczenie, obniża się nam nastrój, mamy coraz mniej satysfakcji z wykonywanej pracy, zaczynamy oddalać się od otoczenia. Zaczynamy się dystansować od innych, irytujemy się, mamy pretensje, żale do innych. Te nastroje przekładają się na relacje rodzinne. Jeśli w porę tego procesu nie zatrzymamy, zaczynamy uprzedmiotawiać ludzi, z którymi pracujemy, następnie przestajemy wierzyć w naszą skuteczność i realnie obniżamy jakość wykonywanej pracy, wypalenie może także prowadzić do pojawiania się poważnych chorób.

ANNA ZALEWSKA-JANOWSKA: Na poziomie fizjologii pojawiają się uporczywe niedomagania, bóle, traci się apetyt lub nagle zaczyna jeść dużo więcej niż wcześniej. U takiej osoby mogą pojawić się lęki, zaburzenia depresyjne. Wypalenie zawodowe nie zostało zakwalifikowane jako jednostka chorobowa, tylko syndrom zawodowy. Ale gdy jego objawy są już nasilone, pójście do psychiatry nie jest złym rozwiązaniem.

Czy to prawda, że wypalenie zawodowe pojawia się, gdy proporcje pomiędzy tym, co wkładamy w pracę, a tym, co dostajemy w zamian, są mocno zakłócone?

JD: Wypalenie zawodowe szybciej się pojawia i w większym stopniu dotyczy osób, które są ambitne i zaangażowane. Gdy to ich duże zaangażowanie, ambicja i plany zderzą się z rzeczywistością i nie widzą oni efektów, których by oczekiwali, ryzyko pojawienia się symptomów wypalenia zawodowego wzrasta. To nie znaczy, że osoby mniej ambitne na starcie i mniej zmotywowane do pracy nie doświadczają wypalenia zawodowego. U nich może stać się to później, ale może także wystąpić podobnie szybko.

Czy pracownik, u którego ten syndrom wystąpił, ma świadomość, że jest to wypalenie zawodowe?

JD: Większość osób nie ma tej świadomości. Czują, że coraz gorzej im się funkcjonuje w pracy. W pracy często towarzyszy im myśl „byłoby do piątku”. Dopiero w piątek zaczynają w miarę normalnie funkcjonować. W miarę jak syndrom wypalenia zawodo-

O tym, dlaczego praca przestaje sprawiać nam frajdę i pojawia się wypalenie zawodowe, rozmawiamy z prof. Anną Zalewską-Janowską i mgr. Jarosławem Dudkiem z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi



Prof. Anna Zalewska-Janowska i mgr Jarosław Dudek

WYPALENIE ZAWODOWE NAJSZYBCIEJ POJAWIA SIĘ U AMBITNYCH I ZMOTYWOWANYCH

wego się pogłębia, nawet weekend jest dla nich męczący i nie potrafią wypocząć. Do braku zadowolenia z pracy dochodzą problemy w rodzinie, ze znajomymi, pojawiają się konflikty. Taki pracownik, który początkowo starał się nie obniżyć swoich standardów pracy, zaczyna odczuwać, że efekty jego pracy nie są już takie jak wcześniej. Z czasem te standardy są coraz niższe i efekt pracy również.

Podejrzewam, że niewielki odsetek tych osób informuje kierownika o swoim wypaleniu zawodowym...

JD: Moim zdaniem niewielki. Nie znam danych statystycznych, które obrazowałyby ten problem, ale tak wynika z moich obserwacji. Po pierwsze dlatego, że część osób jest nieświadoma tego, co się z nimi dzieje. Natomiast ci, którzy zdają sobie sprawę ze swojej sytuacji psychicznej, często nie widzą sensu w takich działaniach. Niektórzy mogą z takim poczuciem pracować aż do emerytury, ale nie będą to jednak ani pracownicy efektywni, ani zmotywowani, ani zadowoleni.

Pan pracuje z menedżerami. Jak reagują, gdy ich pracownicy skarżą się na wypalenie zawodowe?

JD: To zależy od świadomości szefa, jego samooceny i tego, czy potrafi efektywnie zarządzać firmą. Musimy pamiętać, że wypalenie zawodowe to jest także często problem wynikający bezpośrednio z zarządzania i systemu organizacji pracy w firmie. Część przełożonych ma blokadę, aby przyjąć ten fakt do wiadomości. Dlatego pracownik zgłaszający taką kwestię jest traktowany jak ten, który stwarza problem lub ten, któremu nie chce się pracować. Na szczęście jest coraz więcej menedżerów, którzy wspierają pracowników.

Kto powinien zauważyć czy zdiagnozować - mam na myśli medyków - u pracownika wypalenie zawodowe?

JD: Jeśli lekarz podstawowej opieki zdrowotnej dobrze zna swojego pacjenta, to zauważy, że coś złego się z nim dzieje. Czasami kilka dni zwolnienia lekarskiego pomaga. Ale przy bardzo zaawansowanym wypale-

niu zawodowym nie wystarczy nawet długotrwały urlop. Niekiedy zaleca się zmianę pracy, a w skrajnych przypadkach nawet zmianę zawodu.

Czy może Pan podać przykład takiej skrajnej sytuacji?

JD: Pracownica, bardzo ambitna, doświadczająca wypalenia zawodowego, u której doprowadziło ono do somatyzacji objawów. Kobieta, w momencie, gdy jadąc do pracy autem skręcała w ulicę, przy której znajdowało się jej miejsce pracy, zaczynała odczuwać silny ból nóg i duszności. Przychodziła do pracy, wykonywała swoje obowiązki, choć przez cały dzień źle się czuła. Gdy po wyjściu z pracy wyjeżdżała z ulicy, przy której znajdowała się firma, jej dolegliwości ustępowały. Postanowiła poszukać pomocy i wtedy zmieniła pracę. Po zmianie pracy dolegliwości ustąpiły. W przypadku wypalenia zawodowego mówi się o dwustronnych spiralach. Spirala, która ciągnie człowieka w dół, wygląda w ten sposób, że człowiek się wypala, zaniedbuje relacje,

hobby, czas wolny, a są to rzeczy, które wspierają wychodzenie z wypalenia zawodowego, więc „nakręcamy” tę spiralę. W przypadku pojawienia się wypalenia, zaleca się coś odwrotnego, czyli jeśli czujemy, że praca nas przeciąża, powinniśmy znaleźć sobie hobby, spędzać czas ze znajomymi i rodziną. To sprawi, że może wypalenie zawodowe się nie rozwinie i będzie to ta spirala ciągnąca człowieka w górę. Tymczasem wiele osób ucieka w inną stronę, najczęściej w kierunku używek. Nadużywanie alkoholu, leków prowadzi do lekceważenia obowiązków, utraty poczucia odpowiedzialności, co tylko ten syndrom pogłębia.

Przed laty, gdy mówiono o wypaleniu zawodowym, zwracano uwagę na to, że problem dotyczy głównie osób pracujących z ludźmi. Teraz to pojęcie rozszerzono. Jak bardzo?

JD: W pierwszych definicjach wypalenia zawodowego mówiono o tym, że dotyczy to osób pracujących z ludźmi i ich problemami, a więc lekarzy, psychologów, pracowników społecznych. Ale już od dawna mówi się, że dotyczy to każdego. Co więcej, dziś mówi się także nie tylko o wypaleniu zawodowym, ale też między innymi o wypaleniu rodzicielskim, akademickim, opiekuńczym i małżeńskim. Nie da się ukryć, że na początku część specjalistów patrzyła na takie rozszerzanie mocno sceptycznie. To się jednak zmieniło. Przecież w każdej aktywności można się wypalić, zwłaszcza jeśli ktoś się starał, a te wysiłki nie zostały w jego poczuciu należycie docenione.

Gdzie powinna szukać pomocy osoba zmagająca się z objawami wypalenia zawodowego?

AZJ: Na początkowym etapie zaleca się kontakt z psychologiem, na późniejszym z psychiatrą. Wiele osób ma jednak opory, aby skorzystać z takiej pomocy. W Okręgowej Izbie Lekarskiej organizowane są warsztaty przeciwdziałające wypaleniu zawodowemu, jak również szkolenia Naczelnej Izby Lekarskiej. Lekarze mogą się zapisać i skorzystać z profesjonalnych porad i wskazówek. Zawsze można przyjść na izbę psychiatryczną, bo każdy zostanie przyjęty przez specjalistę. Ale jest problem, czy pacjent jest w stanie wyciągnąć rękę po pomoc. Niewiele osób to potrafi.

JD: Wypalenie zawodowe jest efektem nieadekwatnych strategii radzenia sobie ze stresem. Jeśli nauczymy się, jak sobie radzić ze stresem, to ta umiejętność może przedłużyć nam wolność od wypalenia lub poradzić sobie z jego objawami, gdy zaczynają się pojawiać. Oczywiście nie dotyczy to zaawan-

sowanych objawów wypalenia zawodowego.

Czy gdybyśmy potrafili radzić sobie ze stresem, uniknęlibyśmy problemu wypalenia zawodowego?

JD: Warto sobie uświadomić, że życie bez stresu nie jest możliwe. Jest nieunikniony i nie ma go co demonizować. Stres bywa zły, niszczący, ale jest też mobilizujący. Odczuwane napięcie i pobudzenie motywuje nas do działania, popycha do poszukiwania nowych rozwiązań niekonwencjonalnych podejść do problemów. Lubię mawiać, że stres jest dobry, zły jedynie bywa. Tym „złym” trzeba się zająć.

AZJ: Warto nauczyć się kilku pozytywnych strategii radzenia sobie ze stresem. Optymizm sprawia, że organizm nie jest bombardowany nieustannie katastroficznymi wizjami - lepiej funkcjonuje na poziomie fizjologii. Warto stosować tzw. pozytywne przewartościowanie, czyli w najgorszej nawet sytuacji odnaleźć coś korzystnego dla siebie, a pojawiające się kryzysy traktować jako coś, co ma nas ubogacić, wzmocnić. Ta strategia pozwala zmienić nasze negatywne uczucia w pozytywne, a co najmniej negatywne zneutralizować. Przewycięzanie trudności to zdobywanie bezcennych doświadczeń zawodowych, ale i życiowych, małżeńskich, rodzicielskich.

Kolejna kwestia to grupa wsparcia. Człowiek jako istota społeczna potrzebuje co najmniej jednej osoby, aby utworzyć z nią grupę wsparcia. Poszerza to horyzonty, zmniejsza subiektywizm i pomaga przezwyciężać trudne chwile.

CV

Prof. dr hab. n. med. Anna Zalewska-Janowska
Specjalista dermatolog-wenerolog, alergolog, immunolog kliniczny, pracuje w Zakładzie Psychodermatologii i Neuroimmunobiologii Skóry Uniwersytetu Medycznego w Łodzi.

Mgr Jarosław Dudek
Psycholog, trener, asystent w Zakładzie Psychodermatologii i Neuroimmunobiologii Skóry Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. Oprócz pracy na uczelni zajmuje się także współpracą z biznesem i wieloma organizacjami. Specjalizuje się głównie w tematyce radzenia sobie ze stresem, budowania asertywnych relacji zawodowych i prywatnych, zarządzania emocjami, komunikacji interpersonalnej, zarządzania sobą w czasie oraz motywacji.

BYŁ KILKANAŚCIE RAZY W CZARNOBYLU. OBAŁA MITY

Tomasza Górskiego ciągnęła do Czarnobyla chęć zweryfikowania obiegowych przekonań. – Miałem wrócić ze strefy śmierci schorowany i świecący w ciemności. Mitotwórczość tego miejsca jest nieprawdopodobnie gigantyczna!

Agnieszka Domka-Rybka

Minęło 40 lat od momentu, gdy 26 kwietnia 1986 r. niebo w okolicy Prypoci, w obecnej Ukrainie, rozświetliła łuna. Radioaktywny materiał wydobywał się z uszkodzonego reaktora czwartego bloku elektrowni atomowej w Czarnobylu. Tak było naprawdę. – Jednak z czasem mity na temat katastrofy zaczęły mieszać się z faktami. Z biegiem lat coraz trudniej ocenić, co jest fikcją, a co rzeczywistość tam się stało. Mitotwórczość tego miejsca jest nieprawdopodobnie gigantyczna – podkreśla Tomasz Górski, bydgoski „poszukiwacz tajemnic”, z wykształcenia archeolog i psycholog, z zamiłowania podróżnik.

Bydgoszczanina szczególnie pasjonują wyprawy do miejsc, które kryją sekrety, kręci go atmosfera opuszczonych miast i podziemi. Do tej pory odwiedził ponad 100 krajów, a w Czarnobylu był kilkanaście razy. Rozmawiał z ludźmi, m.in. byłymi mieszkańcami Prypoci, pracownikami elektrowni i słuchał specjalistów od energii jądrowej.

„Nie było żadnego grzyba atomowego”

To nie jest przypadek, że spotykamy się na terenie po byłym, bydgoskim Zachemie. Dokładnie przy rampie, która służyła do załadunku i wyładunku towarów. Na dole wciąż są nieużywane tory kolejowe (złomiarze jeszcze ich nie rozkradli), którymi kiedyś przejeżdżały cystermy z chemikaliami.

– Mnie to miejsce kojarzy się ze strefą czarnobylską. Tam również linia torów kolejowych, tzw. eksterytorialna, przez teren Białorusi biegnie do samej elektrowni, czyli miejsca, w którym 40 lat temu doszło do katastrofy – wspomina pan Tomasz.

Skąd wzięła się jego fascynacja Czarnobylem? – Obejrzałem w telewizji film „Dzwony Czarnobyla”, wyprodukowany w 1996 r. Opowiadał, co działo się 10 lat od wybuchu reaktora. Była w nim pokazana Prypeć (obwód kijowski), czyli legendarna, opuszczone miasto du-

chów. I pojawiła się ogromna chęć, żeby je zobaczyć. Długo nie dawało mi to spokoju, aż pojawiła się możliwość, żeby tam pierwszy raz w życiu pojechać, w 2008 r. Wówczas nie było to miejsce modne, a raczej wypad tylko dla ekscentryków. Gdy powiedziałem, że wybieram się do Czarnobyla, niektórzy pukali się w głowę: „wrócisz ciężko chory” lub „w ogóle nie wrócisz” albo „będziesz świecił w ciemnościach”.

Opowiada, że rzeczywistość okazała się zupełnie inna: – Dziś już wiemy z perspektywy czasu, że do wybuchu wojny w Ukrainie była to prawdziwa perełka turystyczna. Zjeżdżały tam tysiące osób i przewodników. Ci przewodnicy mówili, że po emisji serialu „Czarnobyl” zaczął się taki napływ turystów, że wycieczki trzeba było rezerwować z dużym wyprzedzeniem.

Najbardziej pamięta swoje pierwsze wyjazdy, gdy strefa była nieznana i to, jak zderzył się z mitem: – Wystarczy wpisać Czarnobyl w Google i mamy obraz katastrofy: tysiące ofiar, olbrzymi obszar skażenia na tysiące lat, nic tam nie żyje, nic się nie dzieje, strefa śmierci. Youtuberzy nagrywali filmiki: „Byliśmy w Czarnobylu, nawet ptaki nie śpiewają”. Bzdury! Słyszałem ptaki, wiele ptaków. Dziś to ogromny rezerwat przyrody, raj dla zwierząt, który powstał na bazie czegoś ekstremalnie tragicznego. Można było normalnie wejść – relacjonuje i od razu tłumaczy się, że nie odwiedził strefy od wybuchu wojny w Ukrainie: – Na pewno teren jest zaminowany, stacjonowały tam wojska rosyjskie. Po wojnie trudniej tam będzie pojechać, bo przecież w Ukrainie są ważniejsze miejsca do rozminowania niż Czarnobyl.

Gwoli wyjaśnienia: wraz z upadkiem ZSRR zamknięta strefa wokół Czarnobylskiej Elektrowni Atomowej uległa podziałowi na dwie części: Ukrainą i Białorusią. Obie znacznie się od siebie różnią i są zarządzane niezależnie od siebie. Strefa ukraińska jest bardziej znana i łatwiej dostępna. To tam znajduje się



Rampa po bydgoskim Zachemie. „Tory jak w Czarnobylu”



Pan Tomasz w sterowni bloku czwartego czarnobylskiej elektrowni. Dokładnie w nim doszło do katastrofy w 1986 r.

elektrownia, miasteczko Czarnobyl oraz słynne „opuszczone miasto” Prypeć. Strefa białoruska przez wiele lat była niedostępna dla osób z zewnątrz. Jest tam mnóstwo opuszczonych wsi, utworzono też „Państwowy Rezerwat Ekologiczny Polesie”.

Według bydgoskiego „poszukiwacza tajemnic”, katastrofa jest już mitem samym w sobie: – W filmach popularnonaukowych widzimy, że nagle doszło do potężnego wybuchu. Kojarzę scenę, jak rodzina je kolację i w ułamku sekundy domem mocno trzęsie, a gdzieś za oknem widać na horyzoncie grzyba atomowego. Nic takiego się nie wydarzyło! Katastrofa była bowiem rozciągnięta w czasie. Zaczniemy od tego, że to nawet nie miała być elektrownia. Produkowano w niej pluton

na potrzeby wojska do broni nuklearnej. I stworzono miejsce, które miało udawać elektrownię. Nietypowa konstrukcja z mnóstwem dziwactw technicznych. Reaktory o wiele większe niż standardowe, więc trudno je było zamknąć w obudowach bezpieczeństwa. Płatania tysięcy rur i spawów, nad którymi trudno zapanować, więc w końcu musiało dojść do rozszczelnienia, właściwie na życzenie ludzi – tak postrzega to Tomasz Górski. Jak twierdzi, ktoś wymyślił, żeby przeprowadzić eksperyment, jak zachowa się reaktor w przypadku zaniku zasilania: – Wyznaczono już nawet datę próby i przeszkoloną do tego załogę. Wtedy z Kijowa przyszła informacja, że trzeba wstrzymać test w związku z bardzo dużym zapotrzebowaniem

na prąd. Zaczęto więc ten dzień przesuwając w czasie. W tzw. międzyczasie zmieniały się ekipy pracowników i przychodzili kolejni, mniej zorientowani w temacie. W końcu przeprowadzono eksperyment w nocy i uruchomił on lawinę zdarzeń. Jednak nie doszło, jak jest to przedstawiane, do wielkiego wybuchu nuklearnego z grzybem atomowym. Ciśnienie rozsadziło metalową konstrukcję, która zawierała materiał radioaktywny. Zaczął się wydostawać na zewnątrz. Pierwsza eksplozja była mała, kolejna to wybuch chemiczny wodoru i wtedy też zginęła pierwsza osoba, Walerij Chodemczuk. Był w tym momencie w pobliżu płyty reaktora, jego ciała nigdy nie znaleziono. Blisko bloku czwartego do dziś wisi tablica upamiętniająca pierwszą ofiarę Czarnobyla – pan Tomasz mówi, że widział tę tablicę.

Dodaje, że w przypadku ogólnej liczby ofiar, także mamy do czynienia z bardzo dużym rozrzutem: – Internet „informuje” nawet o tysiącach ofiar, natomiast w samej katastrofie, pożarze reaktora, zginęło 35 osób. Choć i to może być zawyżony wynik, bo wśród tych 35 ofiar były cztery, które znalazły się tam zupełnie przypadkowo. Według pana Tomasza, mitem są również opowieści, jak przebiegała ewakuacja, to, że ludzi zabrano i nie mogli tam wrócić. Miałem okazję rozmawiać z mieszkańcami Prypoci. Wspominali, że najpierw pojechali do specjalnych obozów, potem przenoszono ich do różnych hoteli robotniczych i był też czas, że pozwolono im wrócić, aby zabrać swoje rzeczy, odzież czy nawet meble. Często przydzielano rodzinom mniejsze lokale i część przedmiotów już nie była im potrzebna.

Dziś wyobraźnię rozbudza samotne przejście ulicami pustej Prypoci: – Mnie przypomina osiedle Błonie w Bydgoszczy sprzed 30 lat. Błonie bez ludzi. W Prypoci są tylko pracownicy strefy czarnobylskiej. Pilnują, żeby nie była rozkradana. Jednak lokalni złomiarze też działają.

Oczywiście, są miejsca bardziej skażone, gdzie chmura osiadała, jak m.in. w okolicy Czerwonego Lasu. Ale np. przy ścianie sarkofagu elektrowni (stalowa powłoka ochronna reaktora jądrowego, zbudowana po katastrofie) jest teraz promieniowanie radioaktywne mniej więcej na poziomie jak w Indiach (Rejon Kerala), gdzie ludzie normalnie żyją.

Tomasz Górski był w kilku lokalizacjach „grozy”, np. w sławnym czwartym bloku elektrowni, na płycie reaktora, gdzie doszło do wybuchu (łącznie znajdują się tam właśnie cztery bloki): – On robi największe wrażenie. Ta pustka, surowość miejsca, lecąca woda radioaktywna. Gdy pojechałem do Czarnobyla pierwszy raz, dużym wyczynem było w ogóle wejście do samej elek-

rowni, dwóch pierwszych bloków, z czasem strefa coraz bardziej się otwierała. W czwartym bloku byłem z kolegą. Oprowdził nas pan, który miał klucze do wszystkich miejsc. Zapytał: „Panowie, to co chcecie zobaczyć?”. I tak zobaczyliśmy wszystko, co tylko się dało.

Kombinezony strażaków. One wciąż promieniają

Przypadkiem zobaczył słynne zdjęcie ciężko chorego dziecka – „Igora z Czarnobyla”: – Miał chłopiec miał być zdeformowany, bo jego mama będąc w ciąży została napromieniona. Niestety Igora nie miało jednak związku z katastrofą. W jego życiu płodowym pępowina owinęła się wokół nóżki i to miało dramatyczne skutki. Historie opowiadane także o innych niepełnosprawnych dzieciach też można między bajki włożyć.

Pan Tomasz nie kryje, że od początku ciągnęła go do Czarnobyla właśnie potrzeba weryfikacji mitów. Wciąż powstają nowe. Kit dosłownie sprzed tygodnia, gdy była 40-rocznica katastrofy: – Wydawać by się mogło, że oglądam poważny program w telewizji. Była rozmowa ze strażakiem, który uczestniczył w akcji gaszenia pożaru w 1986 roku. Opowiadał niestworzone rzeczy. Mówił, że przyjechali gasić ogień i wykonali niesamowitą pracę, bowiem, gdyby nie ich działalność, to doszłoby do wielkiego wybuchu. Powstałby krater o średnicy 200 kilometrów, a strefa skażenia miałaby średnicę 800 kilometrów. Tymczasem nie było wybuchów jądrowych, które dokonałyby takich zniszczeń. Tak to wygląda, że z czasem fikcja miesza się z rzeczywistością, że coraz trudniej ocenić, co było naprawdę.

Czy pan Tomasz znalazł się kiedyś w sytuacji zagrożenia? – Tak, w podziemiach szpitala w Prypoci. Trafił do niego strażak, który uczestniczył w początkowej akcji opanowywania pożaru. Oni najbardziej ucierpieli, zmarli po kilku dniach na chorobę popromienną. Strasznie cierpieli. Ich kombinezony trafiły do ponurych piwnic szpitala. Będąc tam, przypomniałem, że wiele lat po katastrofie, musiałem je nie chcąc musnąć butem. Leżało tam mnóstwo różnych przedmiotów, szmaty, widziałem hełm czy butle po tlenie medycznym. Wraz z przesuwaniem się po korytarzach nasz licznik Geigera (promieniowania jonizującego – red.) zaczął intensywnie narastać, aż przełączył się na tryb alarmowy. Wychodząc ze strefy przechodzi się kontrolę promieniotwórczą. Przy mnie zapaliła się kilka razy czerwona lampka, znaczy „Grożno” (zielona to „czysto” i świadczy o braku napromieniowania). Przeszedłem dezynfekcję i dopiero wtedy opuściłem strefę. Szok, że tyle lat minęło, a te kombinezony wciąż promieniają. Szok. ©

Znamy go przede wszystkim jako ojca chrzestnego polskiego bluesa. Popularność zdobył, wykonując dziarskiego rock and rolla jako Shakin' Dudi. Teraz do księgarń trafia wywiad rzeka o jego twórczości – „No. 1”. Nam Irek Dudek opowiada, jak zakochał się od pierwszego wejrzenia w swej obecnej żonie

Patryk Gzyl

IREK DUDEK: RADZĘ NIE SIĘ ZAŁAMYWAĆ, TYLKO POKONYWAĆ TRUDNOŚCI



Irek Dudek: nie wtrącam się do tych, którzy o mnie piszą. Jakbym chciał, to bym sam napisał autobiografię

Wczoraj były pana 75. urodziny. Wszystkiego najlepszego!
Bardzo dziękuję za życzenia.

Trudno uwierzyć w to, że ma pan 75 lat. Energii, optymizmu i kondycji mógłby panu pozazdrościć nie jeden młodzieniaszek.
To miłe, iż pan uważa, że nie wyglądam na swoje lata. To prawda: mam jeszcze dużo siły do grania i organizowania festiwalu Rawa Blues. Może to zasługa tego, że mieszkam w górach i oddycham świeżym powietrzem.

Ma pan za sobą kilka trudnych przeżyć: poważne operacje i wypadek samochodowy. Te doświadczenia nie odebrały panu energii?
Zawsze miałem w życiu pod górkę, musiałem więc ciągle się mobilizować. Kiedy miałem ten wspomniany wypadek, w którym pogruchotało mi obie nogi, leżałem na wyciągu w szpitalu, poprosiłem więc żonę, by przyniosła gitarę i wykorzystałem ten czas, by lepiej nauczyć się grać na tym instrumencie. Teraz mam problemy z sercem, wszczepiono mi trzy bypasy,

gorzej mi się więc oddycha. Na przekór temu wziąłem harmonijkę ustną i ćwiczę na niej codziennie. Tego rodzaju wyzwania i noszenie swego krzyża z pogodą ducha, jest najlepszym panaceum na te ciężkie doświadczenia. Dlatego wszystkim radzę nie załamywać się, tylko pokonywać trudności.

Takie okragłe urodziny to okazja do podsumowań. To stąd pomyśl na wywiad rzekę „No. 1”?
Tak. Tytuł książki to nawiązanie do płyty, którą nagrałem

jeszcze za czasów komuny z własnym big-bandem. Jeśli ktoś przeczyta tę książkę, to zrozumie dlaczego „No. 1”.

Zadowolony jest pan z tej książki?
Tak. Miałem tylko kilka uwag. Generalnie nie wtrącam się do tych, którzy o mnie piszą. Jakbym chciał, to bym sam napisał autobiografię. Każdy ma inną wrażliwość i inaczej postrzega różne wydarzenia. Czasami jest to dyskusyjne, ale poddaję się temu. Jacek Kurek jest rzetelnym dziennikarzem i widziałem, że mu za-

leżało. Przyjeżdżał do mnie i wszystko nagrywał. Myślę więc, że dobrze wyszło. To fajny prezent na urodziny.

Dużo miejsca poświęca pan w tej rozmowie pana korzeniom. Na ile Śląsk ukształtował pana osobowość?

To właśnie na Śląsku zakochałem się w bluesie. W połowie lat 60. w Katowicach był klub Ciapek, gdzie moi starsi koledzy grali do tańca utwory The Animals, The Pretty Things czy The Rolling Stones. Ponieważ byłem za młody na wejście, stałem tam pod oknem z kumpłem i słuchałem przez kilka godzin. Pewnego razu wyszedł do nas basista Wojtek Toboń i pyta: „Co wy tu robicie?”. „Chcielibyśmy grać tak jak wy” – odparłem. „To masz harmonijkę, naucz się, to może zagrasz z nami” – powiedział. I faktycznie: pół roku później już z nimi występowałem.

Co pana zafascynowało w bluesie, że jest pan mu wierny do dzisiaj?

Wychowałem się na rock and rollu. A on przecież wziął się z bluesa. Znalazłem więc najpierw Johna Mayalla. Nauczyłem się nawet grać jego utwory jeden do jednego. To był biały blues. Potem wiedziony ciekawością, dotarłem do nagrań tych, którzy go inspirowali. To byli już czarni bluesmani z Ameryki – Muddy Waters czy Johnny Lee Hooker. W ich muzyce była prawda i szczerość – i to mnie przede wszystkim ujęło.

W latach 60. władza lansowała hasło „polska młodzież śpiewa polskie piosenki”. A pan wykonywał bluesa po angielsku. Miał pan przez to pod górkę?

Tak. Na siłę lansowano wtedy big-bitowe zespoły, które śpiewały tylko po polsku. Dlatego trafiłem na ścianę – nie mogłem nic nagrać ani dla radia, ani na płytę. Raz tylko udało mi się w Poznaniu zarejestrować cztery utwory, ale gdzieś przepadły i nie było szans, żeby je wylansować.

Duża część pana kariery to czas komuny. Jakie sobie pan radził z ówczesnymi władzami?

Występowałem przede wszystkim w klubach studenckich, a one były otwarte na taką muzykę. Nie było wtedy jeszcze dyskotek, więc po prostu graliśmy do tańca. Nie miałem żadnych oficjalnych przeszkód. Brakowało mi tylko nagrań, przez co długi czas byłem mało znany.

Co sprawiło, że się pan nie poddał?

Z perspektywy czasu te dziesięć lat tułania się po studenckich klubach wyszło mi na dobre. Wykonując standardy

rhythm and bluesowe i bluesowe nauczyłem się dobrze grać na harmonijce ustnej, poznałem arkana improwizacji, dowiedziałem się, jak aranżuje się piosenki i jak się prowadzi zespół. To wszystko zaowocowało, kiedy objawiłem się jako Shakin' Dudi. Ten czas grania i śpiewania w klubach sprawiły, że wokół do pierwszego utworu tej grupy nagrałem w cztery i pół godziny. Byłem bowiem przygotowany do wejścia do studia. A wtedy nie było żadnych komputerów, które czyściły fałszy. Dlatego uważam, że czasami dobrze jest długo ćwiczyć, zanim dokona się pierwszych nagrań.

Pod koniec lat 70. wyjechał pan do Ameryki, a dekadę później do Holandii. Nie chciał pan nigdy zostać na Zachodzie i tam próbować zaistnieć?

Kiedy byłem w Amsterdamie, poszedłem z moją płytą „No. 1” do jednego z klubów. Kiedy puściłem im, jak śpiewam bluesa po angielsku, powiedzieli mi: „Wszystko dobrze, ale my możemy mieć prawdziwych bluesmanów z Ameryki. Po co więc mamy ciebie angażować? Śpiewaj po polsku, to zobaczymy”. Uznałem więc, że mają rację. Ponieważ miałem już za sobą nagrania Shakin' Dudi, opanowałem technikę śpiewania po polsku, musiałem ją tylko przenieść na bluesa. To było trudne – ale uznałem, że skoro jestem Polakiem, to powinienem śpiewać po polsku. Tak narodził się pomysł na projekt Symphonic Blues, z którym udało mi się pogrążyć na Zachodzie. Mój menedżer Thomas Ruf wydał płytę z naszym koncertem w słynnym klubie jazzowym Subway w Kolonii. Była więc szansa na dużą karierę. Mnie się marzyło jednak nagranie albumu w Polsce z NOSPR-em. Wróciłem więc do ojczyzny, ale wycofał się sponsor i pomysł spalił na panewce. Ruf się na mnie obraził i zostałem z niczym.

W czasie PRL-u polski showbiznes był przesiąknięty alkoholem. Pan też nie wylewał za kółkiem. Nie dało się wtedy być muzykiem i nie pić wódki?

Z moich obserwacji raczej nie. Była to trochę rozpusta: alkohol, dziewczyny. Po latach dopiero udało mi się nad tym zapanować dzięki mojej mamie, która wymodliła, żebym przestał tak żyć i dzięki mojej żonie, która powiedziała, że wyjdzie za mnie, jeśli przestanę pić. Najgorzej było w tym pierwszym okresie mojej działalności, kiedy występowałem w klubach. Gdzie się bowiem nie wjeżdżało, tam od razu wyciągano alkohol. Nie byłem wówczas jakąś gwiazdą, ale dużo koncertowałem, więc znano mnie

FOT. LUKASZ RAK

w tym środowisku. Dlatego każdy chciał się ze mną napić. A że grałem prawie za darmo, ten alkohol był wtedy prawie jedyną gratyfikacją za występ. Dlatego nie odmawiałem.

Wzorem gwiazd rocka z Zachodu demolowaliście pokoje hotelowe i wyrzucaliście krzesła przez okna. To wódka dawała taką fantazję?

Ja akurat tego nie robiłem, ale moi koledzy z zespołu trochę szaleli. Zabawa była na całego i czasem musiałem na drugi dzień na recepcji płacić za wyrządzone szkody.

Alkohol sprawił, że wysiadła panu trzustka i omal nie przypłacił pan tego życiem. To wtedy przyszło otrzeźwienie?

Tak. Zło przyniosło dobro. Kiedy po raz trzeci wylądowałem w szpitalu i lekarze dawali mi nikłe szanse na przeżycie, powiedziałem, że muszę wszystko robić na trzeźwo. Nagrałem potem cztery najważniejsze w moim życiu płyty bez jakichkolwiek wspomagaczy. Sam byłem trzeźwy i tego samego wymagałem od moich kolegów-muzyków. Tak jest zresztą do dzisiaj. Nawet na kacu nikt nie wychodzi ze mną na scenę.

Nigdy nie sięgnął pan po narkotyki?

Nigdy. Coś mnie powstrzymało. Może boża opatrność? A byłem świadkiem, jak dwaj moi koledzy produkowali na własny użytek polską czarną heroinę. Mnie jakoś to nie brało. Wiedziałem, że narkotyki są wielką krzywdą dla organizmu. Koledzy się dziwili, ale tutaj się nie ugiąłem. I całe szczęście.

Wielki sukces osiągnął pan w latach 80. jako Shakin' Dudi. Jak to się stało, że coś, co miało być wygłupem, okazało się strzałem w dziesiątkę?

Byłem wtedy zafascynowany punkiem. Kupiłem sobie nawet płytę Sex Pistols. Miałem już wtedy trzydzieści lat, nie mogłem więc sam być punkowcem. Pomyślałem zatem, że poszukam tych rytmów, które kręciły wtedy młodzież, w przeszłości. I znalazłem je w garażowym rock and rollu z lat 50. W radiu leciał wtedy na okrągło angielski piosenkarz Shakin' Stevens, który wykonywał taką muzykę na dyskotekową modłę. Denerwowało mnie to i pomyślałem: „Ja będę śpiewał prawdziwego rock and rolla”. Namówiłem więc dwóch punkowców, dwóch jazzmanów i jednego bluesmana - i założyliśmy grupę Shakin' Dudi. „Robimy happening muzyczny: rozwa-

lamy, co się da!” - powiedziałem. Poprosiłem Darka Duszę ze Śmierci Klinicznej, żeby napisał proste i dosadne teksty, opisujące ówczesną rzeczywistość. Barwa mojego głosu i sposób śpiewania były bardzo charakterystyczne. „Gramy źle, tak jakbyśmy nie umieli grać” - zakomenderowaliśmy. Ale jak tu powiedzieć muzykom, którzy grają dobrze, że mają grać źle? Jakoś się jednak udało - i to chwyciło. Ludzie nie wiedzieli, jak się naprawdę nazywam i kiedy pojawiłem się gdzieś publicznie, to wołali za mną: „Hej, Shakin' Dudi!”. (śmiech)

Dawaliście wtedy wręcz szalone koncerty. Naprawdę rozwalali pan fortepiany na scenie?

Tak. Pierwszy raz wydarzyło się to na festiwalu Rock Arena. Ale tylko dlatego, że był to zły instrument. Potem dyrektor się miotał, a ja mu na to: „Mogę odkupić to pianino po cenie detalicznej”. „A to pan sprytny” - nagle zmienił front, bo wtedy nie było instrumentów w sklepie. (śmiech) Z kolei na festiwalu w Jarocinie poprosiłem o wąż strażacki i lałem wodą ludzi pod sceną. Nie bardzo umiałem sobie z nim poradzić i woda tryskała nawet na głośniki i wzmacniacze. Dlatego ich właściciel

bardzo się zdenerwował i wpadł przerażony na scenę. Wtedy całe 25 tysięcy widzów zaczęło wrzeszczeć: „Zabij go!”, żeby nie przeszkadzał mi w tym laniu wodą. (śmiech) Wrzasnąłem więc do Darka „Graj dalej” i polewałem tłum. Na koniec skoczyłem z blisko trzymetrowej sceny w ludzi. Ale stało tam sześciu wcześniej umówionych punkowców i mnie złapali. Czasem był to więc żywioł, a czasem coś było aranżowane.

Złota płyta” Shakin' Dudi pokryła się potrójną platyną, a pan rozwiązał zespół. Dlaczego zdecydował się pan zarządnąć kurę znoszącą złote jaja?

Bo to miał być tylko happening. Kiedy „Złota Płyta” odniosła wielki sukces, mogłem pójść dalej tym tropem i kości niechybnie szmal. Nie po to jednak wymyśliłem ten zespół. Dlatego, aby być wiernym swoim słowom, musiałem go rozwiązać. Postanowiłem jednak przenieść doświadczenia z Shakin' Dudi na moją własną twórczość. I tak jako Irek Dudek nagrałem autorską płytę „No. 1”. Wtedy okazało się, że mam równie co w rock and rollu dużo do powiedzenia w bluesie. Szef festiwalu w Jarocinie Walter Chelstowski na-

mówił mnie, żebym połączył te dwa projekty w jednym programie „Stereo i w kolo-rze”. Tak też się stało i graliśmy koncerty w wielkich salach, które ludzie wypełniali do ostatniego miejsca. To były czasy komuny, a my mieliśmy swoją aparaturę i jeździliśmy kilkoma TIR-ami oraz autobusem, jak jakieś gwiazdy rocka z Zachodu. To było wielkie przedsięwzięcie.

Wykonywał pan potem bluesa na różne sposoby: z big-bandem, symfonicznie, jazzowo, swingowo. Który z tych projektów jest panu najbliższy?

Symphonic Blues. Zjechałem z nim nie tylko bluesowe, ale i rockowe festiwale na Zachodzie. Chyba ten pomysł był najbardziej mój i inny od wszystkich pozostałych. Dużo walorów muzycznych ma jednak też płyta „No. 1”, nagrana z moim własnym big-bandem - choćby klasyczny już dziś utwór „Something Must Have Change”. W tym roku zagram go w katowickim NOSPR-ze podczas Rawy Blues. Ważna jest dla mnie też płyta „Dudek Bluesy”, ponieważ dostałem za nią Fryderyka. To miało początkowo być demo, ale realizator powiedział, że nagra to w pełni profesjonalnie. Po-

śluchałem potem tego materiału i pomyślałem, że dołożę sekcję rytmiczną. Zaangażowałem uznanych jazzmanów i dałem im wolną rękę. Tak fajnie to wyszło, że zadzwoniłem jeszcze po pianistę. I wtedy stwierdziłem: „To jest bardzo dobre!”. Fryderyk to potwierdził, ale koncertów zagraliśmy bardzo mało. Sam nie wiem dlaczego.

Kiedyś pan powiedział: „Koncertuję rzadko, żeby być świeżym”. To dobra zasada?

Bardzo dobra. Nie lubię chałtur. Do każdego koncertu przygotowuję się bardzo długo. Jesienią zagram na Rawie Blues - i będę się do niego przygotowywał pięć miesięcy. Ktoś by powiedział: „Czy ty zwariowałeś?”. Ale ja chcę wyjść na scenę i być zauważonym znowu w inny sposób.

Mówi się, że bluesman jest jak wino: im starszy, tym lepszy. To prawda? Tak mi się wydaje. Trzeba się jednak dobrze starzeć. Bo jeśli wino się rozpuści, to zwiertzeje i zepsuje się. Dlatego bluesman musi opierać swą działalność nie tylko na wieku, ale przede wszystkim na ciężkiej pracy.

REKLAMA

NKD - poczuj się dobrze każdego dnia! NKD - Wyjątkowe sklepy we Wrocławiu!

0011506738

NKD to miejsce, gdzie moda spotyka się z praktycznością. W naszej ofercie znajdziesz szeroki wybór ubrań dla kobiet, mężczyzn i dzieci, dopasowanych do różnych stylów i okazji. Dbamy o to, aby nasze kolekcje były różnorodne i odpowiadały na zmieniające się trendy. Szczególnie polecamy naszą ofertę dla kobiet. W NKD znajdziesz zarówno eleganckie sukienki i bluzki, idealne na specjalne okazje, jak i wygodne spodnie, swetry i kurtki, które sprawdzą się w codziennych sytuacjach. Oferujemy również szeroki wybór ubrań w rozmiarach plus size, aby każda kobieta mogła znaleźć coś dla siebie. Nie zapomnieliśmy również o mężczyznach i dzieciach. W naszej ofercie znajdziesz stylowe koszule, spodnie, swetry, kurtki, a także wygodne ubranka dla najmłodszych. Na każdym etapie produkcji dbamy o to, aby nasz cały asortyment wykonany został z wysokiej jakości materiałów, a ubrania dodatkowo były przyjemne w dotyku i trwałe. Wygoda i funkcjonalność w Twoim domu NKD to nie tylko moda, ale również artykuły do domu, które sprawiają, że



Twoje wnętrze stanie się jeszcze bardziej przytulne i funkcjonalne. Oferujemy szeroki wybór tekstyliów domowych, takich jak ręczniki, obrusy, ściereczki, a także akcesoria do szycia i produkty ogrodowe. W naszym sklepie znajdziesz również sezonowe dekoracje, które pomogą Ci stworzyć wyjątkowy klimat w Twoim domu oraz artykuły solarne, które pozwolą Ci zaoszczędzić energię i dbać o środowisko.

Z okazji przebudowy naszych sklepów NKD w dniu **12 maja 2026 roku we Wrocławiu** przygotowaliśmy wyjątkową promocję – **20% rabatu na cały asortyment***

To doskonała okazja, aby zrobić zakupy i odświeżyć swoją garderobę oraz wystrój domu.

Nasze sklepy znajdują się w **CH Borek** przy Alei Hallera 52, **Parku Handlowym Długosza 66** przy ul. Jana Długosza 66, **Galerii Kiełczowskiej** przy ul. Kiełczowskiej 70 i w **N-Parku Maślicka** przy ul. Maślickiej 220. Serdecznie zapraszamy do odwiedzenia sklepów NKD we Wrocławiu razem z całą rodziną!

*Z promocji wyłączone są karty подарunkowe, książki, płyty CD, czasopisma, artykuły marek Pearls/Zenner, J-Club, a także licencjonowa-



na odzież dziecięcą firmy JB Licenses. Promocja nie łączy się z innymi rabatami, promocjami i cenami za zestaw. Rabat dotyczy ceny podanej na etykiecie i zostanie automatycznie naliczony w procesie płatności.



N-Park Maślicka
Ul. Maślicka 220
Galeria Kiełczowska
Ul. Kiełczowska 70
Park Handlowy Długosza 66
Ul. Jana Długosza 66
Centrum Handlowe Borek
al. Hallera 52

NKD
20%
NA WSZYSTKO
wtorek
12.05.
N-Park Maślicka
Ul. Maślicka 220
Galeria Kiełczowska
Ul. Kiełczowska 70
Park Handlowy Długosza 66
Ul. Jana Długosza 66
Centrum Handlowe Borek
al. Hallera 52

* Wyłączone są karty подарunkowe, książki, płyty CD, czasopisma, artykuły marek Pearls/Zenner, J-Club, a także licencjonowana odzież dziecięca firmy JB Licenses. Nie łączy się z innymi rabatami, promocjami i cenami za zestaw. Rabat dotyczy ceny podanej na etykiecie i zostanie automatycznie naliczony w procesie płatności. Wszystkie akcje i oferty obowiązują tylko w podanym terminie i w konkretnym sklepie.
NKD Moda Sp. z o.o. · Zycziwa 21/3 · 53-030 Wrocław

FRANCUSKIE HRABIOSTWO WE WSI POD LUBINEM. RODZINA DE NICOLAY ZNALAZŁA TU SWÓJ DOM

Krzeczyn Mały to niewielka wieś pod Lubinem, w której mieszka zaledwie 320 osób. Niewielu wiedziałoby o jej istnieniu, gdyby nie piękny, barokowy pałac z XVIII wieku. Od 25 lat żyje w nim rodzina hrabiny i hrabiego de Nicolay. Kiedy po raz pierwszy zobaczyli ten budynek, był w ruinie, jednak to właśnie dla niej arystokraci zrezygnowali z wygodnego życia w Belgii.

Karolina Kwiatek

Pałac w Krzeczynie Małym ma ponad 300 lat, a przez ostatnie trzy dekady znajduje się w rękach rodziny de Nicolay. Ghislain i Elizabeth byli pierwszymi prywatnymi właścicielami tego obiektu od czasów II wojny światowej. Dziś mieszka tu ich syn Charles z żoną Polą (z domu Otterstein). Para ma dwoje dzieci. Swoje życie dzielą między Warszawą a wioską pod Lubinem.

- Moi rodzice znali część polskich profesorów, którzy w latach 80. przyjeżdżali do uniwersytetu w Louvain-la-Neuve na wymianę. Zdarzało się, że niektórzy gościli w naszym domu, jednak my mogliśmy ich odwiedzić dopiero, po zmianie ustroju politycznego w Polsce. Podczas jednej z takich podróży, moi rodzice trafili na ten dom. Wówczas był ruiną, ale oni zakochali się w nim bez pamięci - opowiada nam Charles de Nicolay.

Pałac został kupiony w 1997 roku. Budynek nie miał okien, ogrzewania ani prądu, a przez dziury w dachu można było oglądać niebo nawet z parteru. Mimo tego, rodzina de Nicolay postawiła wszystko na jedną kartę. Zabrali dzieci i wyjechali z Belgii. Do momentu zakończenia „wstępnej” części remontu, mieszkali z dwójką dzieci w jednym z lubińskich bloków. Jak wspomina Charles de Nicolay, pierwsze lata po zamieszkanu w pałacu też nie należały do najprostszych.

- Na początku to był bardziej kemping niż mieszkanie. Pamiętam, że na korytarzu mieliśmy wyłożone kilka desek, po których przechodziliśmy do innych pomieszczeń. Zimą było bardzo chłodno, choć akurat z tym mielibyśmy się do dziś. Nie zapomnę,



Charles de Nicolay z żoną Polą (z domu Otterstein). Para ma dwoje dzieci. Swoje życie dzielą między Warszawą a wioską pod Lubinem



Pola de Nicolay prowadzi swoją markę odzieżową. W maju zaprezentowała swoją kolekcję w Paryżu

jak w zeszłym roku zobaczyłem żonę w kuchni, która gotowała w futrze - opowiada Charles de Nicolay.

Kolejne pokolenia mieszkańców pałacu

Budynek jest w stanie, który pozwala na komfortowe mieszkanie, dopiero od kilkunastu lat. Pola Otterstein de Nicolay zobaczyła ten dom po raz pierwszy w 2015 roku. Podczas rozmowy podkreśla, że była nim zachwycona.

- Pomyślałam, że jest pięknie i że mój mąż (choć wówczas nie byliśmy jeszcze małżeństwem) i jego rodzice musieli

włożyć w to miejsce mnóstwo pracy. To cudowne, że takie rzeczy się dzieją, że ludzie odrestaurowują nasze pałace - dodaje Pola Otterstein de Nicolay.

Mimo czasu, energii i środków, które zostały włożone w odbudowę tego zabytku, do końca prac jeszcze daleko. Charles de Nicolay żartuje, że to dopiero jego dzieci albo wnuki będą mogły urządzić w pałacu parafortówkę. Trudno nam się z nim zgodzić. Obiekt, a zwłaszcza część, z której najczęściej korzysta rodzina, wygląda obłędnie.

Początkowo doborom mebli, dodatków i ozdób zajmowa-

ła się Elizabeth, matka Charles'a, jednak po wprowadzeniu się pary młodej jej zadanie przejęła synowa. Pola Otterstein de Nicolay opowiada nam, że przy wyborze elementów wystroju wewnątrz kieruje się przede wszystkim własnym wyczuciem stylu.

Nasza rozmówczyni przez lata szlifowała swój gust. Wiele nauczyła się, obserwując mamę i babcię. Być może to właśnie przez nie zakochała się w modzie vintage. Od dłuższego czasu prowadzi własną markę odzieżową. W maju prezentuje kolekcję na pokazie w Paryżu.



Pałac w Krzeczynie Małym ma już ponad 300 lat. Pierwsza część została zbudowana w 1723/1724 roku

- Zależy nam na tym, żeby otworzyć to miejsce. Od końca marca w każdą sobotę organizujemy targ zdrowej żywności - „Targ przy pałacu”. To cykliczne wydarzenie, na które zjeżdżają się lokalni dostawcy i producenci rzemiosła oraz zdrowej żywności. W organizacji pomogła nam gmina. Wydaje mi się, że za każdym razem przyjeżdża do nas coraz więcej okolicznych mieszkańców - mówi Pola Otterstein de Nicolay.

Para chce mieszkać w pałacu do końca życia. Teraz,

kiedy dzieci są małe, jest im łatwiej, bo w okolicy mają wszystko, czego im potrzeba, jednak podejrzewają, że wraz z dorastaniem swoich pociech więcej czasu będą spędzać w Warszawie. Nie zamierzają porzucić ani sprzedawać posiadłości. Określają ją swoim „projektem życia”.

Historia pałacu w Krzeczynie Małym

Hrabia Ghislain i hrabina Elizabeth de Nicolay byli pierwszymi, prywatnymi właścicielami pałacu od czasu zakończe-

nia II wojny światowej. Kupili go w 1997 roku. Wcześniej, bo w czasach PRL-u, funkcjonowało w nim więzienie dla kobiet, a następnie szkoła (według niektórych źródeł szpital) dla dzieci z niepełnosprawnościami. Później na terenie XVIII-wiecznego obiektu mieściła się siedziba lokalnego PGR-u.

- Nasz dom ma już ponad 300 lat. Pierwsza część została zbudowana w 1723/1724 roku (wówczas jego właścicielką była Ursula Katharina von Schweinitz - red.). Kolejną część, gdzie

dziś znajduje się m.in. nasz salon, postawiono w drugiej połowie XVIII wieku - opowiada nam Charles de Nicolay.

W 1890 roku właścicielami Krzeczyna Małego została rodzina von Harrach. Mieszkali tu aż do II wojny światowej. Wcześniej wieś stanowiła własność rodów: de Saar, von Schweintz, von Niskisch-Rosenegk, von Ernst i von Manfred. Aktualni właściciele pałacu nie zdradzają, jak duża jest ich posiadłość. Szacują, że w pałacu może znajdować się około 30 pomieszczeń.



Gdy rodzice obecnych mieszkańców pałacu przejęli ten obiekt, była to ruina. A dziś...



W pałacu jest blisko 30 pomieszczeń. Jednak nie planują urządzenia tu hotelu czy pensjonatu

REKLAMA

0011484422



Dolnośląskie Centrum Hurtu Rolno - Spożywczego S.A.

Wjazd ulicą Giełdową lub Tyniecką
Cennik i szczegółowe informacje dotyczące zasad
i godzin wjazdu na:

www.dchrs.com.pl

Wrocławski Rynek Hurtowy

zaprasza na zakupy
do domu i ogrodu!

W asortymencie:

- sezonowe i całoroczne kwiaty cięte
 - kwiaty doniczkowe
- rośliny rabatowe, sadzonki, krzewy i drzewka
- artykuły ogrodnicze
 - akcesoria florystyczne
 - donice i doniczki
 - artykuły dekoracyjne

Ospa, wywoływana przez wirusa ospy prawdziwej (Orthopoxvirus) nękała ludzkość przez co najmniej 3 tys. lat, zabijając 300 mln ludzi w samym tylko XX w. Ostatni odnotowany przypadek ospy miał miejsce w 1978 r., ale w laboratoriach powstają wciąż nowe mutacje wirusa.

Paniczny strach

W deklaracji „Wykorzenienia ospy w świecie” uchwalonej przez Światową Organizację Zdrowia w Genewie 8 maja 1980 r., czytamy: „Trzydzieste trzecie Światowe Zgromadzenie Zdrowia uroczystie oświadcza, że cały świat i wszyscy ludzie zostali uwolnieni od ospy, która była najstraszniejszą chorobą szalejącą w formie epidemii w wielu krajach od najdawniejszych czasów, pozostawiając po sobie śmierć, ślepotę i oszpecenie... Wyraża głęboką wdzięczność wszystkim narodom i jednostkom, które przyczyniły się do sukcesu w tym szlachetnym historycznym przedsięwzięciu”.

Ospa budziła strach od zawsze. Ślady wysypki spowodowanej ospą znaleziono nawet na twarzy mumii Ramzesa V (1160 r. p.n.e.). Pierwsze jej objawy - wysoka gorączka i zmęczenie przez wieki powodowały panikę, kolejne - charakterystyczna wysypka, która pojawia się w szczególności na twarzy, rękach i nogach - zamieszki i rozruchy. Potem było jeszcze gorzej - wykuty wypelniały się płynem, później ropą, a z czasem przekształcały się w strupy, które odpadały budząc przerażenie.

Śmiertelność 30 proc.

„W nieustającym pochodzie śmierci ospa niszczyła całe narody, zabijając zarówno ubogich, jak możnych i monarchów, dziesiątkowała armie, zmieniała losy krajów, kształtowała wierzenia; w Afryce, w Chinach i w Indii ospa miała swe bóstwa i swoje świątynie. Praktyki religijne przyczyniały się między innymi do utrzymania endemii i szerzenia się epidemii tej choroby” - pisał Jan Kostrzewski w rozprawie „Świat wolny od ospy” („Przegląd epidemiologiczny” nr 4, 1980 r.).

Dziś wiemy, że wirus wywołujący chorobę, czyli należąco do herpesvirusów Orthopoxvirus, przenosił się głównie przez bezpośredni kontakt z osobami chorymi oraz drogą kropelkową. Istniało też ryzyko zakażenia przez kontakt z ubraniami, pościelą i przedmiotami, z którymi miał styczność chory.

Śmiertelność ospy prawdziwej wynosiła średnio do 30 proc., ale zależała też od postaci choroby i mogła być wyższa. Najbardziej agresywne od-

DŁUGIE POŻEGNANIE Z CZARNĄ OSPĄ. W TLE WĄTEK POLSKI

8 maja 1980 r., Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) oficjalnie ogłosiła, że ludzkość na całym świecie jest wolna od czarnej ospy

Mariusz Grabowski



We Wrocławiu w maju 1963 r. wybuchła jedna z ostatnich w Europie epidemii ospy prawdziwej. Stan epidemii ogłoszono 17 lipca, odwołano go po kilku tygodniach, 19 września

miany ospy prawdziwej zabijały nawet ponad 80 proc. osób zarażonych. Najwyższą umieralność obserwowano u osób nieszczepionych.

Jest nadzieja

Krokiem milowym w zrozumieniu, na czym polega nabieranie odporności na ospę, były próby opanowania jej za pomocą immunizacji, czyli uodpornienie organizmu na działanie czynników chorobotwórczych. Historia ta sięga XI-wiecznych Chin, z których pochodzą pierwsze wzmianki o stosowaniu strupów pobranych od osób przechodzących łagodną formę ospy i aplikowaniu ich zdrowym obywatelom w celu uodpornienia.

Zabieg ten, zwany w epidemiologii wariolizacją, zyskał jednak na popularności dopiero pięć wieków później, wtedy pojawiły się również pierwsze instrukcje, jak przeprowadzić go prawidłowo. Do najbardziej rozpowszechnionych metod należało wdmuchiwanie do nozdrzy wysuszonych i zmielonych strupów oraz umieszczanie w nosie waty nasączonej płynem pochodzącym z krost.

Momentem przełomowym w historii pokonania ospy były obserwacje poczynione przez Benjaminą Jesty'ego, który po-

wianki, występującego głównie u bydła, ale niestanowiącego zagrożenia dla ludzi, z odpornością na zarażenie się chorobą. Postanowił podawać więc zarażonym wirus krowianki. 14 maja 1796 r. przeprowadził szczepienie na 8-letnim chłopcu, uznawane za pierwszy tego rodzaju zabieg w historii. Pacjent nie zachorował i dożył starości.

Czy to już koniec?

Już w 1881 r. na cześć odkrycia Jennera Ludwik Pasteur zaproponował nazwanie go terminem „vaccination” (z łac. vacca - krowa), czyli „wakcy-nacja” (szczepienie). Wiadomość o sukcesie zabiegu obiegła cały świat, jednak aż do lat 60. XX w. szczepienia nie były popularne, a liczba zakażeń utrzymywała się na poziomie 10-15 mln rocznie. Zaczęła spadać dopiero po wprowadzeniu w 1967 r. Światowego Programu Eradykacji Osyp Prawdziwej. Rozpoczęcie procesu powszechnych i obowiązkowych szczepień doprowadziło do całkowitego wykorzenienia tej choroby.

Co ciekawe, pojawiają się głosy, że wyeliminowanie ospy odrąbiono nieco na wyrost. Jest bowiem wielce prawdopodobne, że nie wszystkie kraje zastosowały się do Konwencji o zakazie prowadzenia badań,



Ubiór ochronny służby zdrowia w okresie epidemii we Wrocławiu. Zachorowało 99 osób (najwięcej było pracowników służby zdrowia), z których siedem zmarło, w tym cztery to lekarze i pielęgniarki

produkcji i gromadzenia zapasów broni bakteriologicznej i toksycznej oraz o ich zniszczeniu z 1972 r. Wciąż zatem istnieje zagrożenie użycia wirusa ospy jako broni biologicznej. Jest to prawdopodobne z uwagi na jego wysoką zakaźność, łatwość szerzenia się zachorowań, wysoką śmiertelność oraz niewielkie koszty produkcji.

Czający się wirus

Dowody są na wyciągnięcie ręki: W lipcu 2014 r. przez amerykańskie media przemknęła wiadomość, że w pomieszczeniach gospodarczych laboratorium Narodowych Instytutów Zdrowia w Bethesda w stanie Maryland (w 1972 r. je przejął Agencja Żywności i Leków), odkryto próbki wirusa ospy prawdziwej pochodzące z lat 50. XX w.

Z kolei w 2017 r. zespół kanadyjskich naukowców pod kierownictwem wirusologa Davida Evansa z Uniwersytetu Alberta w Edmonton syntezował bliskiego krewnego ospy prawdziwej. Dokonali tego dzięki materiałowi DNA „dostarczonego pocztą z publicznie dostępnych źródeł” przez niemiecką firmę Geneart, która specjalizuje się w syntezach DNA na zamówienie. To dowód, że podobna możliwa dla każdego, kto dys-

ponuje odpowiednimi umiejętnościami i zasobami.

Epidemia z 1972 r.

Odnajdujemy dla porządku, że ostatnim dużym zarzewiem ospy w Europie była epidemia w Jugosławii w 1972 r. Ogni-skim zakażenia okazał się pielgrzym, który powrócił z Bliskiego Wschodu, gdzie zakaził się wirusem. Epidemia objęła 175 osób, z których 35 zmarło (śmiertelność wyniosła więc 20 proc.). Władze ogłosiły stan wyjątkowy, wprowadziły kwarantannę oraz masowe ponowne szczepienia obywateli, korzystając z pomocy WHO i Donalda Hendersona. W ciągu 2 miesięcy epidemia została jednak powstrzymana.

Ostatni naturalny przypadek variola minor został zdiagnozowany 26 października 1977 r., a ostatni przypadek groźniejszej variola major dwa lata wcześniej, w listopadzie 1975 r. Oblicza się, że kompletne wyeliminowanie ospy kosztowało 300 mln dolarów.

Nieco sensacyjne zakończenie historii ospy opisali Ken Alibek Stephen Hadelman w „Biohazardzie” - w 1978 r. wirus wy-dostał się z laboratorium naukowego w Birmingham. Bezpośrednio w wyniku choroby zmarła Janet Parker, pełniąca funkcję fotografa medycznego, natomiast prof. Henry Bedson,

naukowiec odpowiedzialny za badania ospy na uniwersytecie, popełnił samobójstwo.

Ospa na Dolnym Śląsku

W Polsce powszechny obowiązek szczepień przeciwko ospie czarnej wprowadzono już w 1951 r. (zniesiono go w 1980 r., po deklaracji WHO). Jednak to właśnie w Polsce, we Wrocławiu, wybuchła w maju 1963 r. jedna z ostatnich w Europie epidemii ospy prawdziwej. Pierwszą jej śmiertelną ofiarą była pielęgniarka Lonia Kowalczyk, która miała styczność z zakażonym Bonifacym Jedynakiem, który akurat wrócił z Birmy i Wietnamu.

Stan epidemii ogłoszono 17 lipca, odwołano go 19 września. W czasie trzech miesięcy zachorowało 99 osób, z których siedem zmarło. Miasto zostało na kilka tygodni sparaliżowane i odcięte od reszty kraju kordonem sanitarnym. Wprowadzono zakrojony na szeroką skalę program profilaktyczny, umieszczając osoby podejrzane o kontakt z chorymi w izolatoriach. Zaszczepiono wówczas 98 proc. mieszkańców Wrocławia. Tym, którzy nie chcieli podporządkować się wprowadzonym przepisom, groziły wysokie grzywny, a nawet więzienie. Stworzono też karne izolatki dla - zawsze pojawiających się w podobnych sytuacjach - awanturników i buntowników.

Znaczenie szczepień

Jednym z najważniejszych zadań, jakie władze postawiły sobie w walce z ospą prawdziwą, było rozpoczęcie wspomnianych masowych szczepień. We Wrocławiu wprowadzono je 17 lipca i początkowo były dobrowolne.

Tylko w trzech pierwszych dniach akcji zaszczepiło się 124 tys. osób, a do 22 lipca - 180 tys. Dla porównania w 1962 r. w Polsce przeciwko ospie prawdziwej ogółem zaszczepiono ok. 200 tys. osób. Z dniem 1 sierpnia 1963 r. wprowadzono szczepienia przymusowe i obowiązek ten objął wszystkich mieszkańców miasta, bez wyjątku, również tych, którzy wcześniej zostali z niego zwolnieni. Osoby poddane szczepieniu (skaryfikacji) otrzymywały zaświadczenie o wykonaniu zabiegu, które od tej chwili należało, podobnie jak dowód osobisty, nosić przy sobie i okazywać na wezwanie. Ale pomimo powagi sytuacji, nie zdecydowano się całkowicie zamknąć miasta. Kina, teatry, sklepy i kluby działały jak przed pojawieniem się choroby. Na kilka dni zamknięto jedynie miejskie kąpieliska.

Jak widać, polskie władze sanitarne poradziły sobie z ospą dość sprawnie. Światowa Organizacja Zdrowia przewidywała bowiem, że epidemia potrwa dwa lata i w jej wyniku zachoruje do 2 tys. osób, a umrze 200.

JAJA GRUBEGO

Hasło utworzą litery z pól ponumerowanych u dołu od 1 do 6.

POZIOMO: 1) ogrodnik Stanisława Augusta, bardziej znany z ulicy z siedzibą gestapo, 5) slang, gwara (w grocie), 8) fajna rzecz (angielsko-łacińska), 9) cesarz, który ukończył budowę Koloseum, 10) i Geppert i Wojtczak, 11) muza od rymowanej miłości, 14) wyborczy z gastronomicznym, 16) prowincja RPA jak państwo burskie, 18) chłop jak on – krzepki, 19) system filozofii ind., do ćwiczenia i medytowania, 21) gdy cię dotknie, nie pogadasz, 24) z winorośli lub osób, 26) władat u nas, czyli nigdzie, 27) blisko pętelki, 29) sto lat tlenu, 30) błąd w kaszy, 32) komu ściągę?, 33) miał wykupić od Mahdiego chrześcijan, lecz zdradził, co skomplikowało losy Stasia i Nel, 34) czasem weń oczy.
PIONOWO: 1) tylko angielski funt, 2) organ kontroli warg, 3) siarka w hotelu, 4) sowieccy szpiedzy ofia-

rują, 5) sądowy, jeszcze bez nominacji, 6) myśliwski, w 2/3 z mitycznego stwora, 7) zbłąkana, Verdiego na podst. Dumasa syna, 12) tam się nudzą marynarze, 13) m.in. propaganda, 15) bóstwo w nocy, 17) na dwóch lub czterech nogach, 19) materiał bywa w nią, 20) miejscowość w większości z rosyjskiego twórcy, 22) przypadkiem może pomóc, 23) nic do jedzenia, 25) ile to 24 godziny, mniej więcej?, 28) przodkowie częściej nim się przemieszczali, 29) o tyle to niewiele, 31) były miękki metal.

● Rozwiązanie z 24.04.2026 r.

Hasło: KAMELIA

POZIOMO: torba, kasek, piano, Talia, akr, szept, Ruslan, cudak, zatoka, rapiery, Tyniec, modelina, klasyk, nartnik, zawód, sofa, kołacz, karma.
PIONOWO: Tutenchamon, Roland, apaszka, żale, kontuary, stadło, korona, przetak, stynka, akweny, Argentyna, Pliniusz, lizak, skwar, karda, Argo.

1		2		3		4		5		6		7
				8								
9								10				
	3									1		
				11	12		13					
14			15				16		17			
					18							
		19		20			21	22		23		5
24						25		26				
				27								28
29								30	31			
		6										
				32								
33									34			

1	2	3	4	5	6
---	---	---	---	---	---

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

AGNIESZKA KACZOROWSKA

Ma różne emocje

Tancerka podróżuje teraz po Polsce ze spektaklem „Siedem”, w którym partneruje jej obecny ukochany – Marcin Rogacewicz. W efekcie jej Instagram pęka w szwach od idyllicznych obrazków zza kulis. Ostatnio Kaczorowska postanowiła pokazać, że czasem nie jest tak różowo. Wrzuciła kilka czarno-białych kadrów i napisała: „Są różne emocje. Od stresu, po ekscytację. Czasem jest siła i energia, a czasem lekkie zmęczenie. Czasem to, z czym w danym dniu, tygodniu, mierzymy się w winnych sferach życia, wpływa na stan ducha w dniu grania” – wyznała. Dodała jednak: „Taki jest nasz zawód. Zmienny. Nieprzewidywalny. Zaskakujący. I polega na zrozumieniu wpływu, tego między nami a wami i tego między sobą. Dlatego jest taki ciekawy”.

MARIA PRAŻUCH-PROKOP

Wzięła jogowy rozwód

Po ogłoszeniu rozstania z popularnym prezenterem jego żona z miejsca stała się celebrytką. Ale to tylko ją cieszy – bo może w swych social mediach promować treści związane z jogą, którą się profesjonalnie zajmuje. Kilka dni temu była gościem podcastu „Super Mamy”, w którym oczywiście opowiedziała o rozstaniu. – To po prostu naturalnie wypłynęło z tego, jacy my jesteśmy ze sobą. I wypłynęło to też z jogi, uważam. Bo było bardzo dużo jogi w tym. To było bardzo dużo spokoju, obserwacji, niereagowania, dawania czasu, żeby rzeczy się ułożyły, żeby każdy był w tym samym miejscu. Żeby to wszystko było w takim dobrym zespoleńiu jogowym. Rozwód jogowy. Po jogowemu – podsumowała.

MAŁGORZATA ROZENEK-MAJDAN

I nieudany naleśnik

Wszyscy wiemy, że celebrytka jest obecnie żoną Radosława Majdana, a wcześniej była związana z Jackiem Rozenkiem. Mało się mówi o jej pierwszym mężu – Łukaszu



Monika Richardson nie epatuje swoim życiem prywatnym, ale jest bardzo dumna ze swojej córki

Bukaczewskim. Teraz prezenterka opowiedziała o tym związku w podcaście Bratnie Dusze. – Ja pierwszy ślub wzięłam na studiach z moim takim przyjacielem studenckim. To małżeństwo trwało kilka miesięcy. Trochę to było tak, że wszyscy wokół mówili, kiedy ślub, kiedy ślub, bo my byliśmy taką parą, która razem chodziła. No, ja sobie pomyślałam, że fajnie by było przeżyć ślub. Impreza była, wszyscy się fajnie bawili. Ale to było po prostu tak, jak pierwszy naleśnik, no trochę go robisz i on nie wychodzi – stwierdziła.

MAJA RUTKOWSKI

Jest w innej lidze

Żona słynnego detektywa robi wszystko, aby nie pozostać w jego cieniu. Ostatnio pochwaliła się na Instagramie... biżuterią nazębną. Rutkowski wrzuciła filmik, na którym uśmiecha się szeroko. Na śnieżnobiałych zębach widać ozdoby w postaci złota i rubinów. „Poszłam do dentysty i wyszłam z upgradem. Złoto + rubiny na zębach. I teraz pytanie do was, czy to już level „Wow, jaki vibe”, czy raczej „Mmm... odważnie, ale czy nie za bardzo?” Bo wiecie diamenty na zębach już trochę się oswoiły, ale złoto? Z rubinami? To już inna liga” – podpisała nagranie. Część obserwatorów była zachwycona ozdobami, a część uznała to za idiotyczny pomysł. Najbardziej celny okazał się jeden komentarz: „Wyglądasz, jakbyś miała jedzenie na zębach”.

PIOTR GĄSOWSKI

Wjechał do rowu

Zarówno Piotr Gąsowski, jak i Maciej Dowbor i Joanna Koroniewska mają domy w Hiszpanii, które znajdują się w tej samej miejscowości. Kilka dni temu aktor opisał na Instagramie przygodę, jaka przytrafiła mu się po drodze do swych przyjaciół. „Biorę skuter, zamiast wziąć samochód i decyduję się jechać na skróty. Skuter podjeżdża pod górę, nagle staje i robi „puf”. Właśnie tak to wygląda. Wleciałem w rów, urwałem sobie lusterko, szyba stłuczona, nie mogę go wydościć. Maciek i Tomek pomogli mi wyciągnąć mojego rumaka z rowu i pojechaliśmy już razem do Dowborów. To był uroczy wieczór, pełen wspomnień!” – podsumował.

MONIKA RICHARDSON

Jest pełna wdzięczności

Prezenterka nie epatuje swoim życiem prywatnym, ale wiadomo, że ma dwójkę dzieci z byłym mężem Jamiem Malcolmem – syna Tomasza i córkę Zofię. Kilka dni temu Zofia obchodziła 21. urodziny. Z tej okazji Richardson wrzuciła na Instagram zdjęcie dziewczyny. „Córka Zofia. Osoba empatyczna i sympatyczna. Mądra i pełna wdzięku. Artystycznie utalentowana i z wielkim poczuciem humoru. No i piękna też. Serce przepelnia mi miłość i wdzięczność za nią” – napisała.

DROBNE

Gazeta

WROCŁAWSKA

Jak zamieścić ogłoszenie drobne?

Telefonicznie: 800-472-852, 71/37-48-249

Przez internet: [ibo.polskapress.pl](#)

e-mail: ogloszenia.wroclawska@polskapress.pl

W Biurze Reklamy:

Biuro Ogłoszeń: **Wrocław**, ul. Świętego Antoniego 2/4

tel. 71/37-48-249, 71/37-48-132

Czekamy od poniedziałku do piątku w godz.: 8.00-16.00

BIURA W REGIONIE:

• Jelenia Góra, tel. 797 607 853 • Legnica, tel. 514 800 870 • Syców, tel. 514 800 969 • Lubin, tel. 514 800 969

• Wałbrzych, tel. 502 499 983 • Głogów, tel. 798 751 830 • Świdnica, tel. 502 499 983

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ garaż, mieszkanie, tel. 504-358-452.

KUPIĘ każde, got. w 24 h, 500-002-486

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

KUPIĘ udział w mieszkaniu 500185254.

MIESZKANIA - WYNAJME

POSZUKUJĘ do wynajęcia mieszkania, pokoju tel. 504-358-452.

Handlowe

ANTYKI

ANTYKI, stare obrazy, meble, starocie - kupię, 660-532-696.

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu i drewna. Tel.: 782-592-790.

MATERIAŁY BUDOWLANE

PRODUCENT cegły budowlanej pełnej kl. 20 i dziurawki kl. 5, 600-773-046, [www.cegielniasiedleszczany.pl](#)

Motoryzacja

CZĘŚCI WYPOSAŻENIE SPRZEDAM

SPRZĘGŁA-NAPRAWA Szczęki hamulcowe - wymiana okładzin. Świdnica. [www.metalowiec.com](#) Tel. 728-493-565.

Praca

ZATRUDNIĘ

Przyjmę osobę do prac budowlanych i do prac na terenie zewnętrznym - koszenie trawników i pielęgnacja terenu zewnętrznego. Tel. 500-252-711.

SPRZĄTANIE klatek schodowych oraz posesji, Wrocław, tel. 515-144-576.

Usługi

AGD RTV FOTO

Domowa naprawa telewizorów LED, LCD; 71/351-60-02, 502-175-735.

BUDOWLANO-REMONTOWE

A-Z remonty, itp. Tel. 781-734-796.

A-Z remonty. Tanio! 502-974-900.

DACHY, naprawy, itp.781-734-796.

ELEKTRYCZNE inst. Pomiary. 71/351-15-15, 603-867-128.

ELEKTRYCZNE Pogotowie 71/351-15-15, 603-867-128.

MALARSKIE, itp. Tel. 781-734-796.

MALARZ, gładzie bezpył. 730-325-737

OGRODZENIA + naprawy 781-734-796.

OKNA, drzwi, naprawy itp. 781734796.

PODŁOGI, naprawy itp. 781-734-796.

REMONT express! 576-843-659.

ROLETKI, żaluzje, moskitiery, okna, rolety, drzwi. Montaż, produkcja, naprawa, tel. 71/341-83-03.

INSTALACYJNE

ANTENA absolutnie profesjonalnie, tel. 603-867-128, 71/351-15-15.

Awarie - Hydraulik - 505-087-474.

HYDRAULICY taniej 694-724-672

HYDRAULIK 24h, awarie 505-982-689.

Hydraulik natychmiast 500323373

OGRODNICZE

OGRODY, drzewa, 576-843-659.

PORZĄDKOWE

ZWALCZANIE pluskwy, 660-811-020.

PRZEPROWADZKI

TANIO 508-287-106, 71/784-55-63.

STOLARSKIE

Tapicerstwo tanio 601-892-927.

TRANSPORTOWE

WYWÓZ starych mebli, 660-811-020.

ZABEZPIECZAJĄCE

AWARIE zamków, montaż, serwis drzwi antywłam. 501-104-158.

INNE

KUCHNIE junkersy piece 609-528-079.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 7 dni od 1050 zł z 30% dofin. dla emerytów/ rencistów, tel 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie wczasy z wyżywieniem dla Seniorów. 601-585-510 [www.danaustronie.pl](#)

Karwia, - wczasy i pokoje nad morzem, 602-474-929

USTKA - ośrodek wypoczynkowy. Promocje! Wczasy 604-486-413 [www.morski101.pl](#)

USTRONIE MORSKIE - pokoje z łazienkami, V-VI. PROMOCJA. Blisko morza - 7 min. Tel.: 503-936-581.

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

Towarzyskie

WANDY, 505-353-547.

REKLAMA

0011510716

Nadleśnictwo Sława Śląska

serdecznie zaprasza na wydarzenie pod nazwą

„Łowy w Puszczy Tarnowskiej”,

które odbędzie się

16 maja 2026 roku

na terenie Nadleśnictwa Sława Śląska,

w Leśnictwie Dąbrówno,

w Zespole przyrodniczo-krajobrazowym Gaj Wandy.

Gaj Wandy to urokliwe miejsce, niesamowite połączenie sosnowych lasów oraz alei kasztanowców, które w okresie maja zakwitają i przełamują swoją bielą zieleń otaczającej ich Puszczy Tarnowskiej!



Serdecznie zapraszamy!

Więcej informacji o Wydarzeniu na: FB Nadleśnictwo Sława Śląska, Lasy Państwowe

GAJ WANDY

NADLEŚNICTWO SŁAWA ŚLĄSKA

51°50'51,8"N 15°54'59,3"E

ŁOWY W PUSZCZY TARNOWSKIEJ

HISTORIA LASAMI ŚLĄSKIMI PISANA



ATRAKCJE
Osada Stowarzyszenie Rekonstrukcji Historycznej Dziadoszanie
Pokaz konny APOLINARSKI GROUP
Oprawa muzyczna: Azdaja
Leśna Osada Edukacyjna

GDZIE?
PUSZCZA TARNOWSKA
GAJ WANDY
LEŚNICTWO DĄBRÓWNO

KIEDY?
16 MAJA 2026 ROKU
12:00-16:00

ORGANIZATOR

Nadleśnictwo Sława Śląska

WSPÓLORGANIZATOR

Nadleśnictwo Nowa Sól



PARTNERZY

REKLAMA

0011518592

ZAWIADOMIENIE

BURMISTRZ ŚRODY ŚLĄSKIEJ

zawiadamia, że w okresie od 8.05.2026 roku do 29.05.2026 roku w siedzibie Urzędu Miejskiego w Środzie Śląskiej, pl. Wolności 5 na tablicy ogłoszeń przy pok. nr A-7 zostanie wywieszony wykaz nieruchomości przeznaczonych do sprzedaży w trybie bezprzetargowym na rzecz najemcy:
– lokal nr 8 przy ul. Malczyckiej 28 w Środzie Śląskiej wraz z udziałem w częściach wspólnych budynku i działce nr 51/1 AM-16 oraz pomieszczeniem przynależnym – komórką lokatorską.
Wykaz umieszczony jest na stronie internetowej Gminy Środa Śląska pod adresem: [www.srodaslaska.pl](#) oraz [bip.srodaslaska.pl](#)

AUTOREKLAMA

aktualne z całej Polski przetargi



nasze komunikaty.pl

REKLAMA

0011504893

Stacja demontażu pojazdów

ZŁOMUJGRATA.PL

KASACJA POJAZDÓW

64-100 Lasocice k. Leszna ul. Wschodnia 36A (przy S5)

500 545 500

REKLAMA

0011459132

ZŁOMOWANIE POJAZDÓW

tel. 600 609 606

Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem



Cenimy Twój czas!

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

eprasa.pl 8d75aac94d



OGŁOSZENIE WÓJTA GMINY SULIKÓW

**o podjęciu przez Radę Gminy Sulików uchwały
w sprawie przystąpienia do sporządzenia zmiany miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego
dla części działek 339/8 i 339/13, obręb Mikułowa**

Na podstawie art. 17 pkt 1 ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym (t.j. Dz. U. z 2026 r. poz. 538) w związku z art. 67 ust. 3 pkt 2 lit. a ustawy z dnia 7 lipca 2023 r. o zmianie ustawy o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym oraz niektórych innych ustaw (Dz. U. z 2023 r. poz. 1688) oraz na podstawie art. 39 pkt 1 i 3, art. 40, art. 41, art. 46 pkt 1 oraz art. 54 ust. 3 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (t.j. Dz. U. z 2024 r. poz. 1112 z późn. zm.)

zawiadamiam

o podjęciu przez Radę Gminy Sulików uchwały nr XXI/153/25 Rady Gminy Sulików z dnia 30 października 2025 r. w sprawie przystąpienia do sporządzenia zmiany miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego dla części działek 339/8 i 339/13 obręb Mikułowa oraz rozpoczęciu strategicznej oceny oddziaływania na środowisko dla obszaru objętego planem.

Treść uchwały dostępna jest pod adresem: <http://bip.sulikow.pl/procedury-planistyczne.html>

Osoby zainteresowane mogą składać wnioski do ww. uchwały w formie papierowej lub elektronicznej, w siedzibie Urzędu Gminy Sulików, pod adresem: ul. Dworcowa 5, 59-975 Sulików, w godzinach urzędowania oraz korespondencyjnie na ww. adres lub za pomocą środków komunikacji elektronicznej, tj. poczty elektronicznej na adres: ug@sulikow.pl, za pomocą skrzynki ePUAP: /60ajo67eok/skrytka lub adresu do e-Doręczeń: AE:PL-50724-15876-RBWFJ-17.

Wnioski należy składać na formularzu dostępnym na stronie Ministerstwa Rozwoju i Technologii <https://www.gov.pl/web/rozwoj-technologia/formularz-pisma-dotyczacego-aktu-planowania-przestrzennego>, w postaci papierowej lub w formie dokumentu elektronicznego. Wniosek musi zawierać imię i nazwisko albo nazwę oraz adres zamieszkania albo siedziby wnioskującego oraz adres poczty elektronicznej, jeśli posiada, przedmiot wniosku oraz oznaczenie nieruchomości, której dotyczy, a także wskazanie, czy wnioskujący jest właścicielem lub użytkownikiem wieczystym nieruchomości objętej wnioskiem. Wnioskujący może podać dodatkowe dane do kontaktu, takie jak adres korespondencyjny lub numer telefonu.

Jednocześnie, na podstawie art. 39 pkt 1 i 3, art. 40, art. 41, art. 46 pkt 1. oraz art. 54 ust. 3 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (t.j. Dz. U. z 2024 r. poz. 1112 z późn. zm.), zawiadamiam o przystąpieniu do opracowania prognozy oddziaływania na środowisko w celu przeprowadzenia strategicznej oceny oddziaływania na środowisko miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego.

Zgodnie z art. 40 ww. ustawy wnioski mogą być wnoszone:

- 1) w formie pisemnej na adres Urzędu Gminy Sulików, ul. Dworcowa 5, 59-975 Sulików,
- 2) ustnie do protokołu w Urzędzie Gminy Sulików, ul. Dworcowa 5, 59-975 Sulików, w pokoju nr 104,
- 3) za pomocą środków komunikacji elektronicznej bez konieczności opatrywania ich kwalifikowanym podpisem elektronicznym, na adres e-mail: ug@sulikow.pl za pomocą skrzynki ePUAP: /60ajo67eok/skrytka lub adresu do e-Doręczeń: AE:PL-50724-15876-RBWFJ-17.

Wnioski do ww. projektu planu miejscowego i jego strategicznej oceny oddziaływania na środowisko można składać w terminie do dnia **12 czerwca 2026 r.** Z niezbędną dokumentacją można się zapoznać w siedzibie Urzędu Gminy Sulików, ul. Dworcowa 5, 59-975 Sulików, pok. nr 104, w godzinach pracy urzędu. Informuję, że organem właściwym do rozpatrzenia wniosków jest Wójt Gminy Sulików.

WÓJT GMINY SULIKÓW

W związku z obowiązkiem, o którym mowa w art. 13 ust. 1 i 2 Rozporządzenia Parlamentu Europejskiego nr 2016/679 z dnia 27 kwietnia 2016 r. informuję, że:

- Administratorem Państwa danych osobowych jest: Wójt Gminy Sulików z siedzibą przy ul. Dworcowej 5, 59-975 Sulików, tel. **75 77 87 288**, adres e-mail: ug@sulikow.pl.
- Będziemy przetwarzać Państwa dane osobowe w celu realizacji procedur dotyczących ww. zmiany miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego na podstawie przepisów ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym (t.j. Dz. U. z 2026 r., poz. 538) oraz art. 39 ust. 1 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz o ocenach oddziaływania na środowisko (t.j. Dz. U. z 2024 r. poz. 1112 ze zm.).
- We wszystkich sprawach związanych z przetwarzaniem Państwa danych osobowych oraz realizacją przysługujących Państwu praw można skontaktować się z Inspektorem Danych Osobowych przez e-mail: iod@sulikow.pl.
- Pełen zakres informacji na temat przetwarzania danych osobowych znajduje się na stronie internetowej www.sulikow.pl w zakładce Klauzula informacyjna oraz w siedzibie Administratora.
- W przetwarzaniu Państwa danych osobowych stosuje się ograniczenia określone w art. 8a ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym (t.j. Dz. U. z 2026 r., poz. 538).



BURMISTRZ JAWORZYNY ŚLĄSKIEJ

ogłasza

I przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości niezabudowanej

- Pastuchów

Działka nr 221/2 o pow. 0,1500 ha. Cena wywoławcza: 117 000,00 zł
Godz. przetargu: 10.30

Księga wieczysta nr SW1S/00020949/6

Nieruchomość objęta przetargiem zgodnie z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego znajduje się na terenie zabudowy mieszkaniowej jednorodzinnej i wielorodzinnej.

Nieruchomość wolna jest od wszelkich obciążeń i roszczeń osób trzecich.

- Piotrowice Świdnickie

Działka nr 1158 o pow. 0,0907 ha. Cena wywoławcza: 103 400,00 zł
Godz. przetargu: 11.00

Księga wieczysta nr SW1S/00020188/3

Nieruchomość objęta przetargiem zgodnie z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego znajduje się na terenie zabudowy mieszanej - mieszkaniowej oraz usługowo-gospodarczej.

Nieruchomość wolna jest od wszelkich obciążeń i roszczeń osób trzecich.

Do wartości działki uzyskanej w wyniku przetargu zostanie doliczony podatek VAT w wysokości 23%.

Przetarg odbędzie się w dniu 9.06.2026 r. w Urzędzie Miejskim w Jaworzynie Śląskiej, ul. Powstańców 3, pokój nr 3.

Warunkiem przystąpienia do przetargu jest wpłacenie wadium w pieniądzu w wysokości 10% ceny wywoławczej w terminie do **3.06.2026 r.** na konto Urzędu Miejskiego w Jaworzynie Śląskiej PKO BANK POLSKI 81 1020 5226 0000 6102 0727 7645.

Pełną informację dotyczącą nieruchomości oraz przetargu zawiera ogłoszenie wywieszone na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Miejskiego w Jaworzynie Śląskiej, ul. Powstańców 3.

Ogłoszenia o przetargach dostępne są również na stronie internetowej pod adresem: www.bip.jaworzyna.net (w zakładce Sprzedaż nieruchomości).

Dodatkowe informacje można uzyskać w Urzędzie Miejskim w Jaworzynie Śląskiej, ul. Powstańców 3, pok. nr 109 - I piętro, pod nr telefonu: 74 84-89-236 w godzinach pracy Urzędu.

Jaworzyna Śląska, dnia 4.05.2026 r.

strefa
AGRO

Grunt to biznes.

strefaagro.pl



Starosta Powiatu Wrocławskiego

informuje

**o podaniu do publicznej wiadomości wykazu nieruchomości
stanowiącej własność Skarbu Państwa**

- niezabudowana nieruchomość oznaczona geodezyjnie jako działka nr 425 o pow. 0,0200 ha, obręb Jeszkowice, gmina Czernica, przeznaczona do sprzedaży w trybie bezprzetargowym na poprawienie warunków nieruchomości przyległej.

Wykaz podlega publikacji w dniach 8.05.2026 r. – 29.05.2026 r. w siedzibie Starostwa Powiatowego we Wrocławiu przy ul. Kościuszki 131, na stronie internetowej BIP Starostwa <https://bip.powiatwroclawski.pl/> oraz w siedzibie Urzędu Gminy Czernica. Osoby fizyczne i prawne, którym na mocy art. 34 ust. 1 pkt 1 i 2 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami przysługuje pierwszeństwo w nabyciu przedmiotowej nieruchomości, winny złożyć wniosek w terminie do 19.06.2026 r.

Dodatkowe informacje dotyczące sprzedaży można uzyskać w pok. 235 Starostwa Powiatowego we Wrocławiu lub pod nr tel. 71/ 72 21 781 w godz. 8.00-15.00.



Starosta Powiatu Wrocławskiego

informuje

**o podaniu do publicznej wiadomości wykazu nieruchomości
stanowiącej własność Skarbu Państwa,**

- zabudowana nieruchomość oznaczona geodezyjnie jako działka nr 217/3 o pow. 0,0014 ha obręb Pietrzykowice - Rybnica, gmina Katy Wrocławskie, przeznaczona do sprzedaży w trybie przetargu ustnego ograniczonego do właścicieli nieruchomości przyległych

Wykaz podlega publikacji w dniach 8.05.2026 r. – 29.05.2026 r. w siedzibie Starostwa Powiatowego we Wrocławiu, przy ul. Kościuszki 131, na stronie internetowej BIP Starostwa <https://bip.powiatwroclawski.pl/> oraz w siedzibie Urzędu Miasta i Gminy Katy Wrocławskie. Osoby fizyczne i prawne, którym na mocy art. 34 ust. 1 pkt 1 i 2 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami przysługuje pierwszeństwo w nabyciu przedmiotowej nieruchomości, powinny złożyć wniosek w terminie do 19.06.2026 r.

Dodatkowe informacje dotyczące sprzedaży można uzyskać w pok. 235 Starostwa Powiatowego we Wrocławiu lub tel. pod nr 71 72 21 781 w godz. 8.00-15.00.



OGŁOSZENIE Wójta Gminy Radwanice

stosownie do art. 35 ust. 1 i ust. 2 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz.U. 2026 poz. 339) informuję, iż w siedzibie Urzędu Gminy Radwanice przy ul. Przemysłowej 17, na stronie internetowej urzędu na okres 21 dni począwszy od dnia 4.05.2026 wywieszony został wykaz obejmujący nieruchomości przeznaczone do dzierżawy: dz. 58 obr. Nowy Dwór, dz. 331 obr. Radwanice oraz od dnia 6.05.2026 wykaz obejmujący dz. 351/3 obr. Radwanice przeznaczoną do sprzedaży.

**Wójt Gminy Radwanice
/-/ Paweł Piwko**

Wójt Gminy Lubin

informuje

o wywieszeniu na tablicy ogłoszeń Urzędu Gminy w Lubinie przy ul. Księcia Ludwika I nr 3 wykazu niżej wymienionych nieruchomości gruntowych przeznaczonych do dzierżawy:

1. Przeznaczyć do dzierżawy:

- 1) **część nieruchomości** oznaczonej numerem ewidencyjnym **449/23**, położonej w obrębie **Obora**, o powierzchni 100 m² **z przeznaczeniem na parkowanie pojazdów**, na okres do 3 lat;
- 2) **nieruchomość** oznaczoną numerem ewidencyjnym **148/2**, położonej w obrębie **Składowice**, o powierzchni 540 m² **z przeznaczeniem na plac zabaw**, na okres do 3 lat;
- 3) **nieruchomość** oznaczoną numerem ewidencyjnym **64/107**, położonej w obrębie **Osiek**, o powierzchni 1994 m² **z przeznaczeniem na utworzenie i prowadzenie Centrum Polygonowo-Szkoleniowego dla bezałogowych statków powietrznych**, na okres do 3 lat;

Pełna treść wykazu wywieszona została na tablicy ogłoszeń Urzędu Gminy w Lubinie, ponadto opublikowana jest na stronie www.bip.ug.lubin.pl



DYREKTOR ODDZIAŁU REGIONALNEGO AGENCJI MIENIA WOJSKOWEGO WE WROCŁAWIU

*działając zgodnie z art. 35 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r.
o gospodarce nieruchomościami,*

informuje, że

w siedzibie przy ul. Sztabowej 32 we Wrocławiu został wywieszony na okres 21 dni (od dnia 8.05.2026 roku do dnia 29.05.2026 roku) wykaz nr 40/2026 obejmujący najem boksu garażowego nr 12 o powierzchni 18,15 m², położonego przy ul. Pretlicza 37 we Wrocławiu, dz. nr 32/7, AM-17, obręb 0028-Grabiszyn, woj. dolnośląskie.

Dodatkowe informacje na temat nieruchomości można uzyskać w Agencji Mienia Wojskowego we Wrocławiu przy ul. Zwycięskiej 39, pok. nr 28 lub pod nr tel. 71/710 72 79.

ODDZIAŁ REGIONALNY AMW WE WROCŁAWIU
ul. Sztabowa 32, 50-984 Wrocław
tel. (71) 710 72 00, fax (71) 710 72 01
e-mail: wroclaw@amw.com.pl www.amw.com.pl

drugi pokos trawy	dział lingwistyki		dawny zagłowiec	filmowa Eva Perón	leczy zwierzęta	niemieckie województwo	sucha gałązka	wyznacza kurs statku	wywar z ziół	nauka o ciałach niebieskich	jądro + elektrony	ogrodowe łóżko	sklep z antykami	jony dodatnie	23
powieść Stanisława Lema	wylapuje buble	trzepot flagi			nietakt				zbierana przez skarbnika	stolica nad Nilem					
				ważna w historii		7	papier na ścianie				sportowa ekipa		8		
tytułowa książki np. Eminem		1		natarcie na wroga				13	szybka, cięta odpowiedź						
				lawendowy olejek gobelin			kamizelka ratunkowa				ludowy zwyczaj witania wiosny				
stan w USA			20			12	koń ze stadniny w Janowie Podlaskim	hrabia z „Balladyny”	największe miasto Moraw	miasto nad Mleczną		obwódka wokół czapki pułkownika			werwa, wigor
góralski gospodarz	grecki bóg wojny	nagana Celine, piosenkarka										dramat Witkacego			
				brak polysku	wigilijna ryba			przrząd gimnastyczny		jeden ze zmysłów	14			25	
elf z „Władcy Pierścieni”	egzotyczna jaszczurka		2	oficer w armii rupieciarnia			kita wieńcówki		odmiana esperanto			ocena, opinia			buduje kopce na działce
					może być na okaziciela	22		główna w sztuce		model Opla					
wyższa izba parlamentu					ssak z Tybetu	AUTOPROMOCJA 0011227967 Gazeta WROCLAWSKA w prenumeracie z Tele Magazynem 71 727 62 37 TELEMAGAZYN CELESTE BUNYCH PLUS VIDEO				anglosaska miara gruntu	tył jachtu	Piotr, skoczek narciarski	ostra krawędź		
kara za grzechy	arlekin, błazen	zieleń lub czerń	wyspa w Indonezji							„piłka” do hokeja		16	9		
harnaś z Tatr										posiada rozległą wiedzę	znak zodiaku	japońskie zapasy		bogini zwycięstwa	
Boeing lub Airbus	kuzyn arbuza	plyn do płukania tkanin	17	ku-chenna siekierka											
włoska bogini wegetacji i urodzajów	umowa międzynarodowa	materiał opatrunkowy		okrycie dla siwka											
stan atmosfery															
śpiewak w klatce					z trzciny lub buraka	drzewo z Afryki, drążnik	auto z Lublina	wsteczny w aucie mebel z półkami	interesuje speleologa	ślaska gra w karty	nie-winny flirtik	Fleming, twórca Bonga	wypełniony ziemniakami		
					krawędź żagla				góralska zadymka śnieżna	10					
nie-wielki kram	miękki metal	mieszkańcy Podhala		medykament koczownik			szal futrzany piec alchemika			żądzący owad imię Thurman			ustęp tekstu	27	cesarz rzymski, następca Nerwy
						5	odmiana chalcodonu		4	dawna katedra wulkaniczny		bystry w potoku			
twórca opery „Wolny strzelec”	futerał na naszyjnik	klasztór pustelników		statek marynarki wojennej		18	jasne piwo z pubu	młody student małpka z Azji	11	piątą miesiąc żywna gleba		oświetla pole walki	roztwory kolo-idowe		
			24		„Racławicka”, słynny cykloramiczny obraz				sultanat z Mas-katem		imię polskiego kosmonauty				15
albańska metropolia				sztuczny basen w porcie			agresywny stwór z książek Tolkiena		świętuje 1 wrześ-nia		21	M-1 zakon-nicy			
pies pokojowy	ptak śmieszka		28		... Biedrzyńska, aktorka					legendarny stwór morski					

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 28 utworzą rozwiązanie: aforyzm Adama Decowskiego.

ROZWIĄZANIE: POETKI TEZ UŻYWAJĄ MĘSKICH RYMOW.

Iga Świątek zaczyna turniej w Rzymie. Pozostali już odpadli

Zbigniew Czyż
redakcja@polskapress.pl

TENIS. **Iga Świątek zagra dzisiaj swój pierwszy mecz w turnieju WTA 1000 na kortach ziemnych w Rzymie. Jej rywalką będzie reprezentantka USA Caty McNally.**

Rozstawiona z numerem trzecim w turnieju Świątek w pierwszej rundzie miała wolny los. 24-letnia McNally w rankingu zajmuje 63. miejsce. To będzie ich trzecie spotkanie - Polka wygrała oba wcześniejsze, najpierw 6:4, 6:4 w ćwierćfinale Ostrava Open 2022 na kortach twardych, a potem 5:7, 6:2, 6:1 w drugiej rundzie Wimbledonu 2025 na kortach trawiastych. Tenistka z USA w swoim dorobku ma dwa wygrane turnieje WTA 125, a najwyższą w klasyfikacji zajmowała 54. pozycję.

Schody szybko się zaczynają

Jeśli Świątek pokona Amerykankę, w trzeciej rundzie na Ige czekać będzie Emma Navarro (USA, WTA 28) lub Elisabetta Cocciaretto (Włochy, WTA 41). W ewentualnym meczu 1/8 finału raszyniankę czeka prawdziwy sprawdzian. Jej rywalką może być trenowana przez byłego szkoleniowca Świątek Tomasza Wiktorowskiego Japonka Naomi Osaka, która może stanowić dla Polki nie lada wyzwanie.

O półfinał nasza reprezentantka może zagrać z rozstawioną z numerem 5 Amerykanką Jessicą Pegulą lub Czechką Karoliną Muchovą. W półfinale trzykrotnej królowej Rzymu stanąć może na drodze reprezentująca Kazachstan Rosjanka Jelena Rybakina lub zwyciężczyni nie-



FOT. JAKUB PIKULIK

Iga Świątek w tym roku nie zdołała awansować choćby do półfinału jakiegokolwiek turnieju WTA...

dawnego „tysięcznika” w Madrycie Ukrainka Marta Kostniuk. Dopiero o tytuł Świątek może zagrać z liderką rankingu Białorusinką Aryną Sabalenką. W tym roku raszynianka nie zdołała ani razu awansować chociażby do półfinału jakiegokolwiek turnieju, w którym brała udział.

Polka w stolicy Włoch pojawiła się już w poniedziałek. Razem z kanadyjskim tenisistą Felixem Auger-Aliassime wzięła udział jako tak zwana sierotka w losowaniu drabinek turnieju głównego zarówno u mężczyzn, jak i u kobiet. Uroczystość odbyła się na Piazza del Popolo. Przez ostatnie dni trenowała w Rzymie, m.in.

na specjalnym pokazowym korcie.

- Atmosfera była cudowna. Jestem szczęśliwa, że miałam szansę tam zagrać, bo to było świetne doświadczenie w tak ładnym otoczeniu. Przyszło wielu Polaków i Rzymian, byli bardzo podekscytowani - powiedziała Świątek.

Świątek oceniła nowego trenera

Podczas jednej z konferencji Świątek bardzo pozytywnie oceniła też swoją współpracę z nowym trenerem Hiszpanem Francisco Roigiem. Podkreśliła, że bardzo dobrze się rozumieją. - Mamy taką samą wizję tego, jak powinien grać, a on

pomaga mi to osiągnąć. Czuję, że rozumiemy się nawzajem bardzo dobrze. Mamy różne opcje podczas treningów, co jest wspaniałe, bo nie byłam zadowolona z tego, jak grałam parę miesięcy temu. Czasem wracam do starych przyzwyczajeń. Będę potrzebowała trochę czasu, by robić to, czego chce Francisco, ale idzie nam bardzo dobrze. To jest proces. Podczas każdego treningu uczę się czegoś nowego - wyjaśniła Iga.

Polka wygrała turniej na Foro Italico w Wiecznym Mieście w 2021, 2022 i 2024 roku. W ubiegłorocznej edycji dotarła do trzeciej rundy, w której przegrała z Amerykanką Danielle Collins. W tym roku tytułu będzie bronić Włoszka Jasmine Paolini.

Hurkacz, Fręch i Linette już odpadli

Z turniejem w Rzymie bardzo szybko pożegnały się pozostałe reprezentantki Polski. Już w 1. rundzie „Internazionali BNL d'Italia” (pula nagród: 8 312 293 dolarów) Magdalena Fręch nie sprostała Filipince Alexandrze Eali, ulegając 0:6, 6:3, 4:6, a Magda Linette przegrała z Niemką Tatjaną Marią 0:6, 3:6.

Formy wciąż nie może odnaleźć Hubert Hurkacz. Wrocławianin w 1. rundzie turnieju mężczyzn ATP 1000 w Rzymie o puli nagród 8 312 293 dolarów został ograny przez Niemca Yannicka Hanfmana 7:6(3), 6:7(2), 2:6. Spotkanie na „Campo Centrale” na obiektach Foro Italico trwało dwie godziny i 21 minut. Od ponad dwóch tygodni trenerem Wrocławianina jest Francuz Gilles Cervary - były szkoleniowiec m.in. Rosjanina Daniila Miedwediewa.

©©

Barcelona okrok od tytułu. Czyt to ostatnie El Clasico Roberta Lewandowskiego?

Damian Świderski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **FC Barcelona 10 maja może świętować kolejne mistrzostwo Hiszpanii. Do wywalczenia tytułu ekipie z Camp Nou brakuje zaledwie punktu, ale rywalem będzie teraz Real Madryt.**

Cztery kolejki przed końcem sezonu, Duma Katalonii ma 11 punktów przewagi nad Realem Madryt i tak naprawdę, podopiecznym Hansiego Flicka wystarczy remis, aby zagwarantować zdobycie tytułu.

W tym sezonie oba kluby mierzyły się dwukrotnie. Jesienią, w lidze górą był Real, wygrywając 2:1. Barcelona zdążyła już jednak wziąć rewanż, pokonała „Królewskich” w styczniowym finale Supercuparu 3:2, a jedną z bramek w tym starciu strzelił Robert Lewandowski.

W ostatnich tygodniach coraz częściej mówi się o jego przyszłości. Obecny kontrakt naszego rodaka wygasa wraz z końcem sezonu, ale wciąż nie wiadomo,

czy doświadczony napastnik zostanie na Camp Nou. Kataloński klub proponuje, aby przedłużyć umowę, tyle że na innych niż dotąd warunkach. Kapitan reprezentacji Polski nie ma jednak zamiaru - jak wszystko wskazuje - zgadzać się na drastyczną obniżkę pensji i przypisanie roli rezerwowego. Wydaje się więc, że to może być ostatnie El Clasico z udziałem Lewandowskiego.

Nie wiadomo oczywiście, czy Robert znajdzie się w wyjściowym składzie na El Clasico, czy jako dzoker usiądzie na ławce. Nie jest natomiast tajemnicą, że w Realu panuje burza wokół Kyliana Mbappe. Francuz walczył z czasem, aby wrócić do pełnej sprawności na ten mecz. Serwis „Cadena SER” podaje, że Mbappe nie zagra jednak w El Clasico, ale nie z powodu urazu, a przez... konflikt z trenerem.

El Clasico FC Barcelona - Real Madryt w niedzielę 10 maja o godzinie 21:00. Transmisja z Camp Nou w Canal + Sport 3 i Eleven Sports 1. ©©



FOT. GRZEGORZ WAJDA

Czy niedzielne El Clasico będzie ostatnim z udziałem Roberta Lewandowskiego jako piłkarza Barcelony?

Przed nami weekend awansów w 1. lidze? Miedź może pomóc Śląskowi

Piotr Janas
x.com: Piotr_K_Janas

PIŁKA NOŻNA. **Wszystko wskazuje na to, że dziś poznamy pierwszy zespół, który wywalczy bezpośredni awans do ekstraklasy. Jest szansa, że w poniedziałek to grono poszerzy Śląsk Wrocław.**

Granie o punkty w 32. kolejce Betclit 1 ligi rozpoczniemy dziś wieczorem w Krakowie. Przy Reymonta niemal pewna awansu Wisła podejmie Chrobrego Głogów. Gospodarzom

do zagwarantowania sobie bezpośredniej promocji brakuje już zaledwie 1 punktu. Jedno oczko sprawi, że „Biała Gwiazda” już na 100% nie zakończy sezonu 2025/2026 niżej, niż na 2. miejscu w tabeli.

Chrobry nie będzie dziś faworytem, ale także ma swoje cele. Matematycznie ciągle może zająć nawet 2. miejsce, aczkolwiek jest to bardzo mało prawdopodobne. Niemniej wciąż bije się o 3. miejsce z Wieczystą Kraków, a to zapewni potencjalnie dwa mecze w barażach na własnym stadionie.

Jeśli już o Wieczystej mowa, to abstrahując od plotek, czy po sezonie wycofa się z rozgrywek i zacznie od IV ligi, czy też nie, w sobotni wieczór podejmie innego dolnośląskiego pierwszoligowca - Miedź Legnica. Ten mecz ma ogromne znaczenie dla obu stron, bo Miedzianka ciągle walczy o miejsce w strefie barażowej, ale też dla... Śląska Wrocław. Jeśli Miedzianka sprawi niespodziankę w Sosnowcu, gdzie z powodów licencyjnych obecnie swoje mecze rozgrywa Wieczysta, to WKS stanie przed szansą zagwarantowania

sobie bezpośredniego awansu co najmniej z drugiego miejsca.

Aby tak się stało, Wieczysta musi z Miedzią przegrać, a Śląsk w poniedziałek musi wygrać z ŁKS-em Łódź na Tarczyński Arena Wrocław. Wówczas „Wojskowi” powiększą swoją przewagę nad Wieczystą do 7 punktów na dwie kolejki przed końcem sezonu. Nawet jeśli Chrobry wygra w Krakowie, to będzie tracił do Śląska 6 pkt. Teoretycznie może to w dwie kolejki odrobić i zrównać się punktami z WKS-em, ale ma z nim gorszy bilans me-

czów bezpośrednich. To może być prawdziwy weekend awansów w Betclit 1 lidze!

32. KOLEJKA BETCLIT 1 LIGI

Piątek: Wisła Kraków - Chrobry Głogów (godz. 21).
Sobota: Stal Mielec - Puszcza Niepołomice (g. 19:30), Wieczysta Kraków - Miedź Legnica (g. 19:30), Znicz Pruszków - Polonia Bytom (g. 19:30).
Niedziela: Polonia Warszawa - Górnik Łęczna (g. 12), GKS Tychy - Ruch Chorzów (g. 14:30), Pogórze Siedlce - Stal Rzeszów (g. 17).
Poniedziałek: Odra Opole - Pogórze Grodzisk Maz. (g. 18:30), Śląsk Wrocław - ŁKS Łódź (g. 18:30).

1. Wisła Kraków	31	62	67-32
2. Śląsk Wrocław	31	57	64-44

3. Wieczysta Kraków	31	53	64-44
4. Chrobry Głogów	31	51	44-31
5. ŁKS Łódź	30	47	48-42
6. Ruch Chorzów	31	47	46-42
7. Polonia Warszawa	31	47	48-46
8. Miedź Legnica	31	46	48-50
9. Puszcza Niepołomice	31	45	42-37
10. Polonia Bytom	31	44	50-42
11. Pogórze Grodzisk Maz.	30	43	48-48
12. Stal Rzeszów	31	39	43-51
13. Odra Opole	31	38	28-37
14. Pogórze Siedlce	31	36	31-36
15. Stal Mielec	31	29	43-59
16. Górnik Łęczna	31	27	37-55
17. Znicz Pruszków	31	25	34-59
18. GKS Tychy	31	21	37-67

©©

SPORT

www.sportowy24.pl

Betard Sparta Wrocław od trzech lat czeka na zwycięstwo w Lublinie

Dawid Foltyniewicz
dawid.foltyniewicz@polskapress.pl

ŻUŻEL. W niedzielę mecz na szczycie PGE Ekstraligi. Orlen Oil Motor podejmie Betard Spartę. Wrocławianie ostatni raz wygrali w Lublinie na początku sezonu 2023.

Betard Sparta od dekady regularnie melduje się na podium PGE Ekstraligi, ale w tym okresie tylko raz sięgnęła po złoto (2021). Był to „okres przejściowy” między dominacją Fogo Unii Leszno a Orlen Oil Motorem. W ostatnich latach to właśnie ten drugi wspomniany zespół napsuł Wrocławianom najwięcej krwi.

W sezonie 2025 PRES Grupa Deweloperska udowodniła, że „Koziołki” są do pokonania. Teraz za przykładem ekipy z Torunia chce pójść Betard Sparta, która przed startem tegorocznych rozgrywek przez wielu ekspertów była uważana za głównego faworyta do tytułu.

W składzie WTS-u obyło się bez większych zmian, za to Lublin opuścili Jack Holder i Dominik Kubera. Ich miejsce zajęli Martin Vaculík i Kacper Woryna. W teorii wydawało się, że Orlen Oil Motor się osłabił, ale stało się zgoła inaczej! Woryna jest w tym sezonie skuteczniejszy od Holdera w Gezet Stali Gorzów (średnia 2,400 vs

2,353), a Vaculík od Kubery w Stelmet Falubazie Zielona Góra (2,071 vs 1,826).

Niedzielny mecz w Lublinie rzecz jasna nie zadecyduje o mistrzostwie, ale dla którejś z drużyn może okazać się kółem zamachowym na resztę rundy zasadniczej. W ostatnich latach to właśnie tor w Lublinie sprawiał żużlowcom Betard Sparty najwięcej problemów. WTS po raz ostatni pokonał na wyjeździe Orlen Oil Motor w kwietniu 2023 roku (46:44). Po 10 punktów zdobyli wtedy Tai Woffinden, Artiom Łaguta i Maciej Janowski. Tego pierwszego we Wrocławiu już nie ma, ale Brady’ego Kurtza czy Daniela Bewleya bez wątpienia stać na wywalczenie takiego dorobku.

5. KOLEJKA PGE EKSTRALIGI

Piątek: PRES Grupa Deweloperska Toruń - Stelmet Falubaz Zielona Góra (godz. 18:00, Canal+ Sport), Bayersystem GKM Grudziądz - Fogo Unia Leszno (godz. 20:30, Canal+ Sport).
Niedziela: Krono-Plast Włókniarz Częstochowa - Gezet Stal Gorzów (godz. 17:00, Canal+ Sport), Orlen Oil Motor Lublin - **Betard Sparta Wrocław** (godz. 19:30, Canal+ Sport).

1. Motor Lublin	3	6	+66
2. Sparta Wrocław	4	6	+44
3. PRES Toruń	4	6	+2
4. GKM Grudziądz	4	5	+14
5. Unia Leszno	4	4	+26
6. Falubaz Zielona Góra	4	2	-36
7. Stal Gorzów	3	1	-12
8. Włókniarz Częstochowa	4	0	-104

©©



FOT. WOJCIECH SZUBARTOWSKI

Betard Sparta Wrocław liczy, że po kilku latach uda jej się zakończyć sezon wyżej niż Orlen Oil Motor Lublin

WYNIKI LOSOWAŃ LOTTO

ŚRODA, 6.05

Multi Multi – godz. 22:00
1, 2, 6, [7], 9, 10, 22, 26, 33, 35, 42, 44, 46, 51, 52, 57, 63, 66, 69, 79
Mini Lotto
8, 21, 30, 33, 42

Kaskada – godz. 22:00

4, 5, 6, 7, 10, 11, 14, 18, 19, 20, 23, 24
Ekstra Pensja
12, 17, 18, 32, 33 + 1
Ekstra Premia
1, 14, 20, 25, 26 + 4

CZWARTEK, 7.05

Multi Multi – godz. 14:00
3, 5, 11, 13, 14, 18, 19, 22, 28, 34, 36, 44, 49, [50], 51, 57, 64, 69, 72, 74
Kaskada – godz. 14:00
1, 4, 5, 10, 11, 13, 14, 17, 19, 20, 22, 24

KRÓTKO



FOT. MKS ZAGŁĘBIE LUBIN

PIŁKA RĘCZNA

Spadek po 35 latach

Szczypiorniści Zagłębia Lubin przegrali na wyjeździe z Lotto Puław 29:33 i tym samym stracili szansę na utrzymanie w Orlen Superlidze. Tym samym „Miedziowi” po 35 latach żegnają się z najwyższą klasą rozgrywkową, w której występowali nieprzerwanie od sezonu 1990/91. Męski zespół Zagłębia w swojej historii raz świętował mistrzostwo Polski (w 2007 roku), dzięki czemu zapewnił sobie awans do Ligi Mistrzów. W tych elitarnych rozgrywkach sprawił nie lada niespodziankę, pokonując na wyjeździe utytułowany niemiecki SG Flensburg-Handewitt 33:32. W ostatnich latach Zagłębie było klubem walczącym o utrzymanie, choć warto wspomnieć, że przez jego szeregi przewinęło się kilku zawodników, którzy rozwijali się w Lubinie, a następnie stali się istotnymi postaciami reprezentacji Polski, m.in. Arkadiusz Moryto, Jan Czuwara, Dawid Dawydzik czy Jakub Skrzyniarz. Zagłębie w przyszłym sezonie zagra w Lidze Centralnej, z której najprawdopodobniej awans do Orlen Superligi wywalczy Śląsk. Aby tak się stało, Wrocławianie w sobotę (godz. 15:00) muszą pokonać w Hali Orbita Juranda Ciechanów. (DF)

KOSZYKÓWKA

Śląsk Wrocław poznał rywala w ćwierćfinale ligi

Śląsk w 30. kolejce Orlen Basket Ligi pokonał na wyjeździe Miasto Szkła Krosno (88:66) i zakończył sezon zasadniczy na trzecim miejscu w tabeli. To oznacza, że rywalem WKS-u w ćwierćfinale serii będzie AMW Arka Gdynia. Dwa pierwsze mecze odbędą się we Wrocławiu 13 maja (godz. 18:00) i 15 maja (godz. 20:15). Rywalizacja trwa od trzech zwycięstw. W play-offach zabraknie z kolei Górnika Zamku Książ. Drużyna z Wałbrzycha przegrała z Tasomixem Rosiekiem Stalą Ostrów Wielkopolski 74:76 i zakończyli rozgrywki na 11. pozycji w tabeli. (DF)

Ostatni dzwonek, by wrócić do gry o Europeę



FOT. PAP

Zagłębie przed tygodniem tylko zremisowało z Cracovią, ale długo grało w dziesiątkę

Piotr Janas

x.com: Piotr_K_Janas

W sobotę o godz. 20:15

KGHM Zagłębie Lubin zagra na wyjeździe z Górnikiem Zabrze w 32. kolejce PKO Ekstraklasy. Zabrze wciąż są w grze o mistrzostwo Polski, a Zagłębie walczy o puchary.

KGHM Zagłębie Lubin przez większość obecnego sezonu notowało wyniki ponad stan. Lubinianie utrzymywali się w czołówce ligowej tabeli, rozbudzając apetyty, ale na dłuższym dystansie w końcu dopadła ich dość poważna zadyszka i to w najgorszym momencie, kiedy waga się losy gry w europejskich pucharach.

Miedziowi od połowy marca wygrali tylko jeden z siedmiu meczów (1:0 z Radomiakiem Radom). Pięciokrotnie schodzili z boiska pokonani w tym okresie i raz udało im się zremisować - z walczącą o utrzymanie Cracovią przed tygodniem. Ten ostatni rezultat jest o tyle pocieszający, że Lubinianie od 26. minuty grali w dziesiątkę, po tym jak czerwona kartkę zobaczył Igor Orlikowski. Gospodarze nie dość, że nie dali sobie strzelić gola, to jeszcze sami byli bliżej przechylenia szali zwycięstwa na swoją korzyść. Podkreślał to trener Leszek Ojrzyński, ale zarówno

on, jak i jego piłkarze wiedzą, że pora zacząć wygrywać, by nie stracić szansy na zapalanie się do europejskich pucharów.

Przypomnijmy: dzięki znacznej poprawie pozycji PKO Ekstraklasy w ligowym rankingu UEFA, od obecnego sezonu nie tylko mistrz, ale także wicemistrz Polski ma zagwarantowany start w el. Ligi Mistrzów. Drużyny z miejsc 3. i 4. grają w el. Ligi Konferencji, a zdobywca STS Pucharu Polski w el. Ligi Europy. Jeśli zespół, który sięgnął po krajowy puchar zajmie 1. lub 2. miejsce, to w el. Ligi Europy zagra 3. drużyna na koniec sezonu w PKO Ekstraklasie, a w el. Ligi Konferencji zagra drużyna nr. 4. i 5.

W obecnej kampanii to bardzo prawdopodobny scenariusz, ponieważ najpoważniejszym rywalem aktualnego mistrza Polski - Lecha Poznań - jest właśnie Górnik Zabrze. To oznacza, że Zagłębie wciąż ma o co grać i jest bardzo blisko zajęcia miejsca w pierwszej piątce, które może zapewnić miejsce w el. Ligi Konferencji. Trzeba jednak zacząć wygrywać, ale łatwo nie będzie.

Górnik Zabrze idzie jak burza, a teraz jest dodatkowo napędzony zdobyciem pierwszego trofeum po kilkudziesięcioletniej przerwie. Na papierze jest zdecydowanym faworytem sobotniej potyczki, ale

Zagłębie ma swoje ambicje i trener Ojrzyński zapowiada walkę o zwycięstwo. Pierwszy gwizdek o godz. 20:15. Transmisja w Canal+Sport 3. ©©

32. KOLEJKA BETCLIC1LIGI

Piątek: Raków Częstochowa - Korona Kielce (godz. 18, Canal+Sport 3), Lech Poznań - Arka Gdynia (g. 20:30, Canal+Sport, Canal+Sport 3).
Sobota: Widzew Łódź - Lechia Gdańsk (g. 14:45, Canal+Sport 3), Jagiellonia Białystok - Pogoń Szczecin (g. 17:30, Canal+Sport 3), Górnik Zabrze - KGHM Zagłębie Lubin (g. 20:15, Canal+Sport 3).
Niedziela: Piast Gliwice - GKS Katowice (g. 12:15, Canal+Sport 3), Wisła Płock - Motor Lublin (g. 14:45, Canal+Sport 3), Bruk-Bet Termalica Nieciecza - Legia Warszawa (g. 17:30, Canal+Sport Premium, Canal+Sport 3, TVP Sport).

Poniedziałek: Cracovia - Radomiak Radom (g. 19, Canal+Sport 3, Canal+Sport 5).

1. Lech Poznań	31	55	56-41
2. Górnik Zabrze	30	49	43-34
3. GKS Katowice	31	47	48-42
4. Jagiellonia Białystok	30	46	48-37
5. Raków Częstochowa	30	46	43-37
6. Zagłębie Lubin	31	45	43-36
7. Wisła Płock	31	45	32-31
8. Radomiak Radom	31	43	49-44
9. Pogoń Szczecin	31	41	43-45
10. Piast Gliwice	31	40	40-41
11. Legia Warszawa	31	40	35-36
12. Korona Kielce	31	39	38-37
13. Cracovia	31	39	35-38
14. Motor Lublin	31	39	39-46
15. Lechia Gdańsk	31	38	58-57
16. Widzew Łódź	31	36	36-38
17. Arka Gdynia	30	34	31-54
18. Termalica Nieciecza	31	28	37-60

tygodnik

GŁOGOWSKI

www.glogow.naszemiasto.pl

SPÓR

ZMIENIAĆ IM ŻYWA WIEŚ W SKANSSEN?

Ostaszów broni się przed ruchem konserwatora zabytków, bo życie stanie się trudniejsze **str. 4**

Nr ISSN 2353-6152
Nr indeksu 350206



JUBILEUSZ

**Przedszkole
„Promyk”**
ma już 25 lat i ponad
500 absolwentów
str. 3

EDUKACJA

Egzamin dojrzałości
w Głogowie
str. 9



FOT. GRAZYNA SZYSZKA

LUDZIE

**LENA
KUCZYŃSKA**
NASZA MŁODA
SKRZYPACZKA
PODBIŁA WIEDEŃ,
ZWYCIĘŻYŁA
W KONKURSIE
str. 6



FOT. SZKOŁA MUZYCZNA

REKLAMA

0011464646



DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECKA

Kompleksowa
DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECI:

- ▶ Videootoskopia
- ▶ Tympanometria
- ▶ otoemisja akustyczna
- ▶ ABR, ASSR
- ▶ Zaburzenia Przetwarzania Słuchowego



**ZBADAJ SWÓJ SŁUCH
I BEZPŁATNIE**

przetestuj aparat słuchowy
u siebie w domu

FONMED
APARATY SŁUCHOWE
od 1997



GŁOGÓW, ul. Kościuszki 15 F ☎ **76 835 05 01, 888 748 707** www.fonmed.pl
(budynek przy wjeździe do szpitala po byłej aptece)

TO JEST PRODUKT MEDYCZNY, UŻYWAJ GO ZGODNIE Z INSTRUKCJĄ I ETYKIETĄ

Janusz Michalczyk



Afera Zondacrypto? Śmiech na sali

Kryptowaluty są dla cwaniaków, ale potrzebnych jest też wielu frajerów. To moja lapidarna ocena afery rozgrzewającej internet i paradującej od kilku tygodni przez tradycyjne media pod hasłem: Zondacrypto. Właściwie najbardziej zdumiewające jest zaskoczenie, z jakim publiczność przyjmuje informacje o kryptowalutach. Przecież od momentu powstania 17 lat temu pierwszej z nich, czyli bitcoina, mieliśmy już wiele skandali, również z innymi kryptowalutami, bo powstało ich zatrzęsienie. Mechanizm jest prosty do bólu: skuszeni obietnicą wielkich zysków ludzie przestają trzeźwo myśleć i powierzają blagierom swoje pieniądze, a często też pożyczone. A potem bardzo się dziwią, że zostali bezczelnie oszukani.

Wokół kryptowalut roztoczono legendę, zgodnie z którą są one poza kontrolą jakichkolwiek struktur państwowych. To ma być raj dla tych, którzy cenią sobie nieograniczoną wolność. W istocie powstało środowisko, w którym najlepiej czują się handlarze narkotyków, sprzedawcy nielegalnej broni, a także specjaliści od łupienia naiwnych na ogromną skalę.

Chcesz zarobić na inwestycji w kryptowaluty? Najpierw postaw sobie pytanie: od czego zależy zmiana ich wartości? Jeśli nie znasz odpowiedzi, to lepiej kup los na loterię albo zagraj w kasynie. Legendarny inwestor amerykański Warren Buffett mawiał, że kupuje akcje tylko tych firm, których model biznesowy rozumie, czyli potrafi pojąć, w jaki sposób czerpią zyski. Ta zasada ma charakter uniwersalny.

Od 1989 r., gdy zmienił się w Polsce ustrój, mieliśmy sporo finansowych afer, więc przypomnę tylko najgłośniejsze: Lech Grobelny i jego Bezpieczna Kasa Oszczędności, Art-B, WGI, Amber Gold. Na ich tle Zondacrypto niczym specjalnym się nie wyróżnia. Za każdym razem pojawiają się pretensje, że przedstawiciele władz w porę nie ostrzegali ludzi, że będą okradzeni. To przejaw naiwności lub złej woli. Jeżeli mamy wolność gospodarczą, to nikomu nie można zabronić obywateli innym gruszek na wierzbie. Dopóki ktoś jawnie i bezdyskusyjnie nie złamie umowy z tymi, którzy świadomie przekazali mu pieniądze, to może bezkarnie ogłaszać dostarczenie gwiazdki z nieba.

Z kryptowalutą nie pójdziesz do sklepu po chleb i jajka. To mi wystarczy, by trzymać się od niej z daleka.

GŁOGÓW

Skok za burtę podczas rejsu po rzece

Niespokojny przebieg miał jeden z turystycznych rejsów Laguną po Odrze w Głogowie. W sobotę, 2 maja, po godz. 13 statek wyruszył z mariny na wycieczkę. W pobliżu mostu kolejowego okazało się, że jeden z pasażerów jest za burtą i pływa w rzece.

Jak informuje Natalia Szymańska, oficer prasowa KPP w Głogowie, śmiałkowi nic się nie stało i o własnych siłach dopłynął do brzegu. - Tam podjęli go policjanci i przebadali na zawartość alkoholu. Okazało się, że był nietrzeźwy - dodaje rzeczniczka policji.

Skoczek został zatrzymany na głogowskiej komendzie w celu wytrzeźwienia.

Grażyna Szyszka

Motokrew Głogów 2026 w sobotę

Grażyna Szyszka
Głogów

Na bulwar nad Odrą zjadą setki motocyklistów. Krew, koncerty, licytacje i parada motocykli - bądź na bulwarze i pomóż potrzebującym.

W sobotę, 9 maja, już po raz 16. odbędzie się akcja Motokrew. W tym roku Regionalne Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecnicstwa podstawą dwa specjalne autobusy dla dawców.

- Zapotrzebowanie na krew jest duże, a nasza impreza spełnia swoje zadanie - powiedział Marcin Pelc z klubu motocyklowego Gremium MC Radicals, który od początku organizuje wydarzenie.

Zbiórka . zaplanowana jest w godz. 11-15. W tym czasie na bulwarze odbędą się koncerty zespołów, pokazy ratownictwa medycznego oraz zbiórka pieniędzy. Zostaną one przekazane Szymonowi Borczowi. Głogowianin jest podopiecznym Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”.

W programie sobotniego wydarzenia przewidziano również

licytacje, m.in. pamiątek przekazanych przez mistrzynię Martynę Domińczak. Do wylicytowania będą także koszulki piłkarzy ręcznych i nożnych Chrobrego Głogów.

Po godz. 15 zaplanowano losowanie nagród dla krwiodawców. Następnie motocykliści przejadą w parady ulicami miasta pod kościół na starówce, gdzie odbędzie się poświęcenie jednośladów.

Atrakcje dla dzieci przygotowuje głogowski hufiec ZHP. Harcerze nauczą m.in. zasad pierwszej pomocy oraz rozpalania ogniska.

- Cieszymy się, że mogą być patronem wydarzenia. Zapraszamy mieszkańców nie tylko Głogowa, ale całego regionu, by w sobotę przyjechali oddać krew i wziąć udział w licytacjach - powiedział poseł Łukasz Horbowski.

Akcję wspierają także starosta Michał Wnuk oraz prezydent miasta Rafał Rokaszewicz.

- Bulwar wypełni się wspaniałymi maszynami, ale przede wszystkim wspaniałymi ludźmi, którzy oddadzą krew na rzecz potrzebujących - dodał prezydent.



FOT. MAT. PRASOWE

GŁOGÓW

W maju Chylińska i Golec Uorkiestra

Znamy gwiazdy tegorocznych Dni Głogowa. Na imprezie w ostatni weekend maja wystąpią m.in. Agnieszka Chylińska, Golec Uorkiestra, Loka, Magellan & Smon i Arka Noego.

Oprócz imprezy rozpoczynającej lato, miasto zapowiedziało też wydarzenie kończące wakacje. Na Festiwalu Pożegnanie Lata odbędzie się także na Placu Festynowym od 28 do 29 sierpnia. W piątek, 28 sierpnia zaprezentują się lokalni artyści, a potem wystąpią Sarius, Białas oraz ReTo. Dzień zakończy dysko-

teka. W sobotę, 29 sierpnia na scenie zobaczymy takich wykonawców, jak: Siles, Zeamsone, Dresscode oraz Guzior. Ten dzień także zakończy dyskoteka.

- Tak to przygotowujemy, by tort miał wiele smaków, żeby każdy znalazł coś w tym zestawie dla siebie. Dodam, że to nie są jeszcze ostatnie propozycje imprez pana prezydenta na ten rok. Planujemy jeszcze koncert rockowy w Fosie Miejskiej - zaznacza Bartłomiej Adamczak, dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury w Głogowie.

UROCZYSTOŚĆ POD POMNIKIEM W ROCZNICĘ UCHWALENIA KONSTYTUCJI



FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

Uroczystość patriotyczna w 234. rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Przy obelisku upamiętniającym to wydarzenie złożono kwiaty. W uroczystościach wzięli udział m.in. samorządowcy, przedstawiciele szkół, służb mundurowych, zakładów pracy oraz organizacji społecznych. Oprócz żołnierzy, wartę honorową przy pomniku wystawili też głogowscy harcerze. Gospodarzem uroczystości był powiat. Obchody święta Konstytucji 3 Maja uświetniła orkiestra zakładowa Huty Miedzi Głogów.

Grażyna Szyszka

EDUKACJA JUBILEUSZ PRZEDSZKOLA „PROMYK” W GŁOGOWIE

Pierwsze niepubliczne przedszkole ma 25 lat

Grażyna Szyszka
Głogów

Zaczynali w niełatwych czasach, dziś są symbolem jakości. Jubileuszowa uroczystość w sobotę.

Niepubliczne Przedszkole „Promyk” przy ul. Budowlanych świętuje 25-lecie działalności. To pierwsza taka placówka w Głogowie, która przecierała szlaki innym niepublicznym przedszkolom.

W sobotę, 9 maja, o godz. 10 w Teatrze Miejskim odbędzie się jubileuszowa uroczystość.

„Będzie trochę wspomnień, trochę śmiechu i - mamy nadzieję - dużo dobrej energii” - czytamy w zaproszeniu na wydarzenie.

Ewa Drozd: Podjęłam wyzwanie mimo obaw

„Promyk” to zawodowe „dziecko” Ewy Drozd. Jak przyznaje, decydując się na jego prowadzenie, miała wiele obaw, a czasy nie były łatwe. Z powodu małej liczby dzieci zamknięto wówczas kilka miejskich placówek.

- Gdy władze miasta zaproponowały mi utworzenie „Promyka”, byłam dyrektorką Publicznego Przedszkola nr 20 - jedynej placówki z oddziałami integracyjnymi. Było to świetnie prosperujące miejsce, w którym bardzo dobrze się czułam i miałam znakomity zespół. Jednak ówczesny wiceprezydent Mirosław Eder długo mnie przekonywał - aż w końcu uległam - wspomina Ewa Drozd.

Mimo wielu obaw podjęła nowe wyzwanie zawodowe. Pamięta, że gdy przejmowała budynek przy ul. Budowlanych, nie był on w najlepszym stanie. Ostatni weekend przed otwarciem spędziła razem z pracownikami, do późnych godzin nocnych, urządzając szatnię dla dzieci.

Praca z maluchami była i jest najważniejsza

Przez lata funkcjonowania „Promyk” przeszedł wiele remontów. Każde pomieszczenie - od piwnicy po strych - zostało odnowione i dostosowane do potrzeb dzieci oraz pracowników. Budynek odgrzybiono, docieplono i odnowiono jego elewację, a kameralne sale stały się kolorowe i przytulne.



Od 25 lat przedszkole rozwija zainteresowania dzieci. Ma pół tysiąca absolwentów



Ewa Drozd i Inez Marczyk-Bień, dyrektorka przedszkola

Jednak przedszkole to nie tylko mury. Najważniejsze było stworzenie miejsca, w którym dzieci czują się bezpiecznie i swobodnie. Dla Ewy Drozd kluczowa była praca z maluchami powierzonymi przez rodziców. Dziś, z perspektywy czasu, może powiedzieć, że mi się udało.

- „Promyk” to cudowne miejsce dla dzieci, które nie zawsze odnajdują się w dużych, publicznych przedszkolach. U nas mamy możliwość obserwować każde dziecko, odkrywać jego mocne strony, rozwijać je, a słabsze obszary wspierać. Robimy to już od 25 lat - podkreśla właścicielka. - Stworzyliśmy przestrzeń, w której dzieci czują się jak w domu, bo

tworzymy jedną rodzinę. O wysokim poziomie placówki świadczy również fakt, że przez lata jej działalności nie wpłynęła żadna skarga.

Bronili placówki przed zamknięciem

Ewa Drozd przypomina jednak, że jubileusz 25-lecia mógłby się nie odbyć, gdyby nie determinacja rodziców.

- Kilkanaście lat temu władze miasta planowały zamknąć „Promyk”. Trudno dziś powiedzieć dlaczego, ale wtedy rodzice stanęli w naszej obronie. Organizowali pikety przed ratuszem i spotkania z ówczesnym prezydentem miasta. Na szczęście, plany te nie zostały zrealizowane - wspomina.

25-letnia historia „Promyka” to ponad 500 absolwentów. Niektórzy z nich do dziś utrzymują kontakt z przedszkolem. Obecnie placówka ma 68 dzieci, a opiekę nad nimi sprawuje 16-osobowy zespół. Od 11 lat dyrektorką „Promyka” jest Inez Marczyk-Bień.

Placówka jako pierwsza w mieście wprowadziła wiele nietuzinkowych zajęć, takich jak: robotyka, joga, judo, kick-boxing, karate czy zumba. Przedszkolaki uczą się również gry w tenisa. „Promyk” znany jest także z organizacji pikników europejskich.

- Zapraszamy, szczególnie absolwentów nasz jubileusz do teatru. Będzie kilka niespodzianek - zachęca Ewa Drozd.

Idzie na 15 lat za kraty za śmiertelny wypadek

Grażyna Szyszka
Głogów

Skradzionym Audi wracał z Niemiec do Polski, pod Polkowicami zabił pracownika drogowego i uciekł. Sąd wymierzył mu 15 lat więzienia.

Lubiński sąd skazał na 15 lat pozbawienia wolności Łukasza K. z Wrocławia, który skradzionym w Niemczech autem śmiertelnie potrafił pracownika drogowego w okolicach Polkowic i uciekł z miejsca zdarzenia.

Potrącenie koło Polkowic

Do tragedii doszło w listopadzie 2021 roku. Oskarżony wracał z Niemiec skradzionym Audi SQ7 o wartości ponad 350 tys. zł. Na drodze między Parchowem a Polkowicami, gdzie obowiązuje ograniczenie prędkości do 40 km/h rozpędził pojazd do około 90 km/h, zjechał na przeciwny pas ruchu, a następnie na pobocze, gdzie potrącił stojącego tam pracownika drogowego. Mężczyzna zginął na miejscu.

Po uderzeniu samochód wjechał w drzewo, a kierowca zbiegł z miejsca zdarzenia. Kilka dni później został zatrzymany przez policję we Wrocławiu, gdzie się ukrywał.

Jak ustaliła prokuratura, Łukasz K. w chwili zdarzenia miał sądowy zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych.

Dodatkowo był powiązany z obrotem narkotykami i środkami psychotropowymi.

W sprawie oskarżony był również Dominik B., który miał pomagać w kradzieży auta i pilotować pojazd podczas jego wywozu z Niemiec. Został on skazany na 6 lat pozbawienia wolności.

Prawniczka skazana

Aktem oskarżenia objęto też dwie inne osoby mające powiązania z oskarżonymi. Jedną z nich to Andrzej L., którego prokurator oskarżył o posiadanie amfetaminy oraz podrobienie umowy sprzedaży samochodu - oskarżony ten zmarł, więc postępowanie wobec niego umorzono.

Druga osoba to 32-letnia obecnie prawniczka Ewelina S., którą prokurator oskarżył o utrudnianie postępowania karnego oraz składanie fałszywych zeznań.

Kobieta została skazana na 1 rok pozbawienia wolności: 8 miesięcy za poplecznictwo i 6 miesięcy za składanie fałszywych zeznań. Sąd warunkowo zawiesił ww. wykonanie kary na okres 3 lat. Wyrok zapadł 30 kwietnia br.

Samochód zjechał na przeciwny pas ruchu, a następnie na pobocze, gdzie potrącił stojącego tam pracownika drogowego



GŁOGÓW

Powiat kupił nowy pojazd z windą

Do Zespołu Placówek Szkolno-Wychowawczych w Głogowie trafił nowy, specjalistyczny bus dostosowany do przewożenia uczniów z niepełnosprawnościami. To 9-osobowy Renault Trafic wyposażony w windę dla osób poruszających się na wózkach inwalidzkich, co zwiększy komfort i bezpieczeństwo transportu. Zakup został sfinansowany w ramach rządowego programu „Program wyrównywania różnic między regionami III”. To już trzeci pojazd przekazany placówce - wcześniej otrzymała ona 19-osobowy autobus marki Mercedes-Benz oraz Renault Trafic.

Grażyna Szyszka

Zmienią im żywą wieś w skansen?

Grażyna Szyszka
Głogów

Ostaszów - historyczna wieś na Dolnym Śląsku wstrzymuje oddech. Nie jest „martwym skansenem”, lecz żywą wsią - mówią mieszkańcy.

Ciąg dalszy ze str. 1

W gminie Przemków znajduje się wyjątkowa na skalę kraju wieś - Ostaszów. To rozległa miejscowość o unikalnym układzie ruralistycznym, w której podobne do siebie zagrody skupione są wokół kilku rozdroży. Otoczona parkiem krajobrazowym, pełnym stawów i bagien, została zaprojektowana i zbudowana przez Niemców w 1936 roku. Na osuszonych mokradłach powstała modelowa osada składająca się z 42 gospodarstw utrzymanych w jednolitym stylu. Domy budowano jako duże, szachulcowe obiekty, pokryte czerwoną dachówką typu karpiówka, łączące część mieszkalką z gospodarczą.

Historyczna nazwa to Hierlshagen. Osadę zasiedlili wówczas rolnicy pochodzący m.in. ze Śląska, Turynii, Hesji i Westfalii. Do dziś zachowało się ok. 40 niemal stuletnich domów. Wieś jest niezwykle zadbana i liczy obecnie ok. 200 mieszkańców. Dla wielu z nich szachulcowe domy były wcześniej własnością ich rodziców i dziadków, którzy trafili tu zaraz po wojnie.

- To moje miejsce na ziemi. Tu się wychowałam - przyznaje Sylwia Mazur, sołtys wsi. Po wielu latach życia za granicą półtora roku temu wróciła z mężem i córką do rodzinnego domu. - Planowaliśmy wyremontować dom tak, by było nam w nim wygodnie. W środku już sporo zrobiliśmy. Chcieliśmy jeszcze odnowić elewację, docieplić budynek, wymienić okna i dobudować taras. Niestety, nasze plany zatrzymało pismo, które gmina wywiesiła 29 stycznia - opowiada.

W piśmie tym gmina Przemków poinformowała mieszkańców, że Dolnośląski Wojewódzki Konserwator Zabytków wszczął postępowanie administracyjne w sprawie wpisania całej wsi - wraz z układem dróg, rozłogami pól i elementami przyrody - do rejestru zabytków. Pozytywną opinię w tej sprawie miał wydać Narodowy Instytut Dziedzictwa.

Warto zaznaczyć, że 28 zagród znajduje się już w gminnej ewidencji zabytków od blisko 30 lat. Dziś już nikt we wsi nie pamięta, dlaczego nie wpisano wszystkich. Mieszkańcy są jednak świadomi konieczności zachowania białej elewacji oraz czerwonej dachówki. Wiedzą



Anna Muszyńska: - Niedawno wymieniliśmy ogrodzenie i drzwi wejściowe. Boimy się teraz, że trzeba będzie wszystko przywracać do wcześniejszego wyglądu

również, że nowe budynki muszą uzyskać zgodę konserwatora i nawiązywać stylistycznie do przedwojennej zabudowy.

Strach o przyszłość

Mogłoby się wydawać, że decyzja wojewódzkiego konserwatora, którego intencją jest ochrona zabytkowej wsi, będzie błogosławieństwem dla wyjątkowego Ostaszowa. Jednak większość mieszkańców odebrała ją zupełnie inaczej. Rozpoczęcie procedury spowodowało wstrzymanie inwestycji we wsi, nawet tych już trwających, a to wywołało niepokój.

- Ludzie remontują swoje domy w takim zakresie, na jaki ich stać. Tak było tu od lat, a efekty widać, bo jest czysto, a budynki są zadbane. Trudno nam sobie wyobrazić, że teraz każdą naprawę trzeba będzie konsultować z konserwatorem. To wydłuży procedury i znacząco podniesie koszty - mówi Sylwia Mazur. - Pojawia się też problemy ze sprzedażą nieruchomości. Zamiast się rozwijać, wieś może się zatrzymać.

Swojej przyszłości w Ostaszowie obawia się również Marta Goch z Lubina, która zajmuje się fotografią dzieci w plenerze. Cztery lata temu kupiła z mężem jedną z szachulcowych zagród.

- Zakochałam się w tym domu od pierwszego wejrzenia. Jesteśmy tu szczęśliwi. Wkładamy w to miejsce wszystkie nasze środki i... wciąż spłacamy kredyt - opowiada.

Ostatnio marzyła o zadaszeniu tarasu, które nie zaburzałoby historycznego charakteru budynku. Zakupiła nawet starą karpiówkę na daszek i materiały z odzysku.

- Mąż z moim tatą chcieli wykonać to sami, żeby ograniczyć

koszty. Jednak konserwator zabronił. Teraz potrzebny jest projektant, projekt musi zostać zatwierdzony, a wykonawca również wymaga zgody. Koszt wzrasta z około 10 tysięcy do nawet 30 tysięcy złotych - mówi. - Już się boję co będzie z wymianą okien, a mam ich w sumie 13. Jeśli konserwator się uprze na drewniane, jak były kiedyś, to nie wiem co zrobimy. Jedno takie okno kosztuje 3,5 tysiąca - przyznaje zatroskana.

Podobne obawy wyraża Anna Muszyńska. W Ostaszowie mieszka od urodzenia. - W tym domu mieszkała moja babcia, potem rodzice. Zostałam z mamą i synem. Niedawno wymieniliśmy ogrodzenie i drzwi wejściowe. Boimy się teraz, że trzeba będzie wszystko przywracać

do wcześniejszego wyglądu - mówi. - Gdy w kwietniu konserwator odwiedził naszą wieś to go zapytaliśmy o ewentualne wsparcie finansowe, ale usłyszeliśmy, że koszty ponoszą wyłącznie mieszkańcy. A co z fotowoltaiką na dachach? - pyta.

Wysłali petycję

W odpowiedzi na działania konserwatora mieszkańcy wysłali petycję, w której sprzeciwiają się wpisaniu całej wsi do rejestru zabytków. Podpisało ją ponad 80 osób. Podkreślają w niej, że taka forma ochrony znacząco ograniczy codzienne funkcjonowanie oraz rozwój miejscowości. Zwracają uwagę, że Ostaszów nie jest „martwym skansenem”, lecz żywą wsią, w której toczy się normalne życie, wymagające



Wieś jest niezwykle zadbana i liczy obecnie około 200 mieszkańców

bieżących remontów i inwestycji.

Od decyzji konserwatora dystansuje się również burmistrz Przemkowa, Jerzy Szczupak. Podkreśla, że gmina nie była inicjatorem postępowania i apeluje o uwzględnienie interesów mieszkańców. Zaproponował alternatywne rozwiązanie - ochronę układu wsi poprzez zapisy w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego, co pozwoliłoby uniknąć rygorystycznych ograniczeń wynikających z wpisu do rejestru zabytków.

Kolejną petycję do konserwatora wysłało 10 radnych gminy Przemków. Apelują o wycofanie się z tego zamiaru podkreślając, że wpisanie całej wsi do rejestru zabytków w sposób nadmierny

i niezasadny ingeruje w prawo własności oraz blokuje możliwość rozwoju miejscowości.

- Ochrona dziedzictwa kulturowego nie może prowadzić do paraliżu inwestycyjnego ani do przerzucania całego ciężaru finansowego na mieszkańców - twierdzą radni.

Analizuje dokumenty

Na razie nie ma jeszcze decyzji Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków i nie wiadomo kiedy zapadnie. Jak nas poinformowała Katarzyna Milka-Maszewska, st. inspektor ds. rejestru i dokumentacji Wydział Rejestru i Dokumentacji Zabytków WUOZ Wrocław, trwa analiza zgromadzonej do tej pory dokumentacji pod kątem dopuszczenia materiałów jako dowody w postępowaniu.

Na nasze pytanie o to, jakie konsekwencje niesie taki wpis dla mieszkańców wsi, odpowiedziała: - W przypadku prowadzenia prac budowlanych, w tym także przy zieleni, np. przy usunięciu drzew, wymagane będzie pozwolenie konserwatora zabytków na prowadzenie prac i określenie ich zakresu - informuje Katarzyna Milka-Maszewska dodając, że układ ruralistyczny figuruje w gminnej ewidencji zabytków i znane są postulaty konserwatorskie odnosnie wprowadzania nowej zabudowy, wytyczne co do form kształtowania zabudowy wsi.

Pani inspektor zaznaczyła też, że petycja mieszkańców w sprawie sprzeciwu wobec wpisania układu ruralistycznego miejscowości Ostaszów jest analizowana pod względem formalnym w odniesieniu do ustawy o petycjach i zapewne będzie stanowiła również element aktu sprawy.



Sylwia Mazur, sołtys wsi: - W środku już sporo zrobiliśmy. Chcieliśmy jeszcze odnowić elewację, docieplić budynek, wymienić okna i dobudować taras



FOT. GRAZYNA SZYSZKA

Na trzonie wieży widnieje potężna, żelbetowa konstrukcja w formie walca z sześcioma prostokątnymi oknami

PKP chcą sprzedać ponad 100-letnią wieżę

Grażyna Szyszka
Głogów

Zabytkowa wieża ciśnieni w Głogowie, która jeszcze dekadę temu miała zostać zburzona, trafi na przetarg.

Charakterystyczny obiekt z 1909 r., stoi na ponad 5-arowej działce przy ulicy Towarowej i od lat popada w ruinę. PKP S.A. Oddział Gospodarowania Nieruchomościami we Wrocławiu przygotowuje ją do przetargu. Na razie nie podaje ani terminu, ani ceny. - Zostaną one ustalone po oszacowaniu wartości tej nieruchomości - poinformowano nas w PKP.

Około 20-metrowa wieża stoi w bezpośredniej bliskości torów oraz linii kolejowej relacji Wrocław Główny - Szczecin Główny. Jak informuje PKP, nieruchomość jest objęta miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego i znajduje się na terenie przeznaczonym pod usługi komercyjne z zakresu handlu, gastronomii i rzemiosła usługowego. Istnieje także możliwość zmiany sposobu jej użytkowania.

Dziesięć lat temu losy głogowskiej wieży ciśnieni były zagrożone. Kolej, chcąc pozbyć się starych budynków, umieściła ją

na liście obiektów do wyburzenia.

- Interweniowałem wówczas w tej sprawie w Urzędzie Ochrony Zabytków a społeczny upór poskutkował tym, że konserwator nie wydał na zgodę na wyburzenie. Niestety od tego czasu stan obiektu tylko się pogorszył - wspomina Dariusz Czaja, głogowski radny i działacz Towarzystwa Ziemi Głogowskiej. Jego zdaniem, trzeba mieć konkretny pomysł na ten piękny obiekt.

Wieża została wybudowana według zasad niemieckiego profesora inżynierii wodnej Otto Intze. Służyła do zaopatrywania w wodę parowozów oraz osiedla mieszkaniowego kolejarzy. Wodę czerpano z pobliskiej Odry poprzez przepompownię zlokalizowaną na terenie stacji kolejowej.

Główny trzon w kształcie ściętego stożka wykonano z cegły. Dziś prawie niewidoczne w elewacji są wstawki z ciemniejszej, zielonej cegły glazowanej. Od strony północnej znajduje się wejście zwieńczone dwuspadowym daszkiem. W połowie wysokości trzonu wieży znajdują się cztery pojedyncze okna, rozmieszczone symetrycznie względem stron świata.

który doznał złamania nogi. Strażacy udzielili mu pierwszej pomocy, a następnie przetransportowali łodzią na brzeg, gdzie czekał już zespół ratownictwa medycznego.

Kolejowy most na Odrze od lat bywa wykorzystywany przez mieszkańców jako „droga na skrót”. Przeprawa jest jednak bardzo niebezpieczna - zwłaszcza nocą, gdy trudno dostrzec prześwity i ubytki w konstrukcji. W tym przypadku mężczyzna może mówić o dużym szczęściu.

W nocy spadł z kolejowego mostu. Złamał nogę i wezwał pomoc

Grażyna Szyszka
Głogów

W nocy mężczyzna spadł z kolejowego mostu nad Odrą w Głogowie. Na ratunek ruszyli strażacy.

W nocy z niedzieli na poniedziałek (3/4 maja) doszło do groźnego zdarzenia na kolejowym moście nad Odrą w Głogowie. Przechodzący przeprawą mężczyzna spadł z konstrukcji na nasyp. Poszkodowanym okazał się około 40-latek,

Mieszkańcy ulicy 10 Maja na biesiadzie wspomnień

Grażyna Szyszka
Głogów

Podczas 9. edycji imienin ulicy będzie wspólne biesiadowanie, poczęstunek i rozmowy przy stołach na środku ulicy.

Mieszkańcy ulicy 10 Maja w Głogowie szykują się do kolejnej, 9. imprezy. W niedzielę 10 maja rozstawią stoły, przy których zasiądą z sąsiadami do wspólnej biesiady.

- Zachęcamy do wspólnego spędzania czasu, integracji, dzielenia się opowieściami oraz wspomnieniami o naszej ulicy. Na gości czeka poczęstunek i ciepła atmosfera - czytamy w zaproszeniu.

Warto zaznaczyć, że na czas imienin (w godz. 13-19) uliczka zostanie zamknięta dla ruchu.

10 Maja ma zaledwie 232 metry długości i liczy 18 numerów. To miejsce na ziemi dla blisko 50 osób. Po jednej i drugiej stronie stoją domy pamiętające czasy przedwojennego Głogau. Przed wojną mieszkali w nich lekarze z pobliskiego szpitala.

W tym roku organizacją imienin zajął się Grzegorz Laszczowski. Przejął pałeczkę po Bogumile Szlifierz, która wymyśliła sąsiedzkie spotkanie i organizowała wcześniejsze edycje, ale wyprowadziła się na inne głogowskie osiedle.

- Ale na pewno przyjdzie na imieniny - zapewnia pan Grzegorz, który od ponad pięciu lat mieszka z żoną i córką pod numerem 12, w domu z pięknym i dużym ogrodem na tyłach. - Bogusia wszystko mi przekazała, a pomaga mi między innymi sąsiadka, pani Ania. Państwo Walicy mieszkają tu od lat i dzięki nim do-



Organizacją spotkania zajmuje się Grzegorz Laszczowski

wiedziałem się sporo o innych mieszkańcach - dodaje.

Portugalskie przekąski

Nowy organizator zapowiada, że nad stołami ustawionymi na środku ulicy staną namioty chroniące przed deszczem.

- Chcemy być bezpieczni w razie niepogody i spokojnie biesiadować. Ostatnio padało i doszliśmy do wniosku, że byłoby szkoda, żeby w tym roku impreza nam przepadła - wyjaśnia.

Na stołach też będą zmiany - do tradycyjnych słodkości dołączą przekąski kuchni portugalskiej.

W tym roku organizacją imienin zajął się Grzegorz Laszczowski. Przejął pałeczkę po Bogumile Szlifierz, która wymyśliła imprezę

- Dzięki temu ludzie dłużej posiedzą i porozmawiają. Zresztą przygotowania trochę trwają i są na tyle wymagające, że szkoda się rozchodzić po trzech godzinach. Dlatego po imprezie przeniesiemy się z ulicy do naszego ogrodu - mówi organizator.

Tu ludzie do siebie zaglądają

Grzegorz Laszczowski przyznaje, że dom przy ulicy 10 Maja to ich wymarzone miejsce do życia. To centrum miasta, skąd wszędzie jest blisko, a jednocześnie jest tu cicho i spokojnie, jak na wsi. No i są wyjątkowi ludzie.

- W bloku często nie wiemy, kto mieszka na naszym piętrze. A my znamy się niemal wszyscy. Oczywiście z niektórymi tylko się mijamy, a do innych jest nam bliżej - zaznacza pan Grzegorz. - Tu ludzie do siebie zaglądają, pomagają sobie, wymieniają się nowalijkami. Cza-

sem na płotach wiszą w siatkach pomidory, bo komuś obrodziły. No i pilnujemy sobie domów nawzajem.

Na imieniny ulicy zaproszono prezydenta miasta i starostę. Będą też radne oraz przyjaciele ulicy.

- Ale żadnego ubierania w politykę - zaznacza z uśmiechem pan Grzegorz. - To ma być miłe, sąsiedzkie spotkanie.

Skąd nazwa?

Nazwę wyjaśnił w swojej książce „Mieszkam koło szpitala... Wspomnienia głogowian” Wiesław Maciuszczak, historyk, a także były mieszkaniec tej ulicy.

Napisał: „Zaproponował ją w 1945 roku Adam Królak, jeden z nowych mieszkańców Głogowa, ponieważ tego dnia niemiecki Głogau stał się polskim Głogowem. Nazwa jest więc na pamiątkę przekazania władzy cywilnej w mieście polskiemu burmistrzowi.”

REKLAMA

0011519772



OGŁOSZENIE Wójta Gminy Radwanice

stosownie do art. 35 ust. 1 i ust. 2 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz.U. 2026 poz. 339) informuję, iż w siedzibie Urzędu Gminy Radwanice przy ul. Przemysłowej 17, na stronie internetowej urzędu na okres 21 dni począwszy od dnia 4.05.2026 wywieszony został wykaz obejmujący nieruchomości przeznaczone do dzierżawy: dz. 58 obr. Nowy Dwór, dz. 331 obr. Radwanice oraz od dnia 6.05.2026 wykaz obejmujący dz. 351/3 obr. Radwanice przeznaczoną do sprzedaży.

Wójt Gminy Radwanice
/-/ Paweł Piwko

REKLAMA

0011459123

**ZŁOMOWANIE
POJAZDÓW**
tel. 600 609 606

Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem

Cenimy Twój czas!

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

AUTOREKLAMA

REKLAMA

0011504919

aktualne
z całej Polski
przetargi

nasze
komunikaty.pl

Stacja demontażu pojazdów
ZŁOMUJGRATA.PL

**KASACJA
POJAZDÓW**

64-100 Lasocice k. Leszna
ul. Wschodnia 36A (przy S5)

500 545 500

ŁUDZIE GŁOGOWIANKA Z NAJWYŻSZĄ NAGRODĄ W MIĘDZYNARODOWYM KONKURSIE

Młoda skrzypaczka podbiła Wiedeń

Grażyna Szyszka
Głogów

Lena Kuczyńska, młoda skrzypaczka z Głogowa, sięgnęła po najwyższe laury w prestiżowym konkursie muzycznym.

Uczennica Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia im. Franciszka Liszta w Głogowie odniosła wspaniały sukces, zdobywając I nagrodę oraz nagrodę specjalną za wybitną muzykalność podczas VI Międzynarodowego Konkursu Muzycznego w Wiedniu (International Gloria Artis Music Competition).

Konkurs miał charakter międzynarodowy i odbywał się w formule online. Uczestnicy z różnych krajów nadsyłali swoje zgłoszenia – nagrania utworów, które oceniało międzynarodowe jury, w skład którego weszli wybitni pedagodzy i muzycy: prof. Patricia Shih (Kanada), prof. Zdzisław Łapiński (Polska), prof. Andrzej Ślęzak (Polska), prof. Mirosław Ha-

naćek (Słowacja) oraz prof. Martin Opona.

Uczestnicy rywalizowali w różnych kategoriach instrumentalnych i wiekowych, prezentując wysoki poziom przygotowania oraz dużą wrażliwość muzyczną. Nasza uczennica uczestniczyła w konkursie w kategorii A sekcji III – dla młodych skrzypków. Wyniki konkursowych zmagania ogłoszono w marcu – poinformowała Agnieszka Berest, dyrektorka głogowskiej szkoły.

Nagrodą za osiągnięcie Leny był występ na koncercie laureatów, który odbył się 27 kwietnia 2026 r. podczas festiwalu Gloria Artis w Wiedniu. Wydarzenie miało miejsce w pięknej zabytkowej sali koncertowej Barocksaal den Alten Rathaus, położonej w samym centrum Wiednia.

Podczas koncertu laureatów Lena wystąpiła wraz z akompaniатorem Michałem Malcem i fantastycznie zaprezentowała swoje umiejętności i muzykalność przed międzynarodową publicznością.



Wiedeń. Lena z akompaniатorem Michałem Malcem

Lena jest uczennicą czwartej klasy Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia. Kształci się w klasie skrzypiec, którą prowadzi jej mama – pani Katarzyna Kuczyńska. Na co dzień Lena

godzi naukę w dwóch szkołach – jest również uczennicą Szkoły Podstawowej im. Henryka Sienkiewicza w Jaczowie.

Warto podkreślić, że nie jest to pierwszy sukces konkur-

sowy Leny w tym roku szkolnym. Może pochwalić się następującymi osiągnięciami:

- I nagroda w IV Ogólnopolskim Konkursie „Mistrzowie Kłasyki” w Poznaniu,

- I miejsce w III Konkursie „Skrzypcowa Przygoda” we Wrocławiu,

- II nagroda w I Ogólnopolskim Konkursie Młodych Wirtuozów w Poznaniu,

- wyróżnienie w V Ogólnopolskim Konkursie Smyczkowym im. Wandy i Kazimierza Wiłkomirskich w Międzyrzeczcu.

- Również w poprzednich latach szkolnych Lena zdobywała nagrody i wyróżnienia na wielu konkursach skrzypcowych – na swoim koncie ma już osiągnięcia w ponad 30 konkursach – mówi Agnieszka Berest.

I wyjaśnia: - Nie jest to także jej pierwszy sukces międzynarodowy – w ubiegłym roku szkolnym zdobyła III nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Skrzypcowym im. Josefa Micki w Pradze.

Dodajmy, że obecnie Lena przygotowuje się do udziału w Muzycznych Prezentacjach Młodych Skrzypków, które odbędą się 16 maja w Bystrzycy Kłodzkiej.

FOT. SZKOŁA MUZYCZNA W GŁOGOWIE

Strażacy z Przedmościa już w krajowym systemie



OSP ma też Młodzieżową Drużynę Pożarniczą

Grażyna Szyszka
Przedmoście

Druhowie z Ochotniczej Straży Pożarnej w Przedmościu podzielili się ważną dla nich wiadomością. 1 maja zostali włączeni do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego.

Ważny dzień dla OSP Przedmoście. Z dniem 1 maja, decyzją Komendanta Głównego Państwowej Straży Pożarnej jednostka zo-

stała oficjalnie włączona do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego.

- To dla nas ogromny prestiż, wyróżnienie i powód do dumy, ale także nowe wymagania, wyższe standardy oraz jeszcze większa odpowiedzialność za bezpieczeństwo mieszkańców. Wiemy, że nie będzie łatwo, ale wiemy też, że warto było. To efekt wielu lat pracy, zaangażowania, poświęcenia i konsekwentnego budowania jednostki – informują strażacy. OSP podziękowała też

wszystkim, którzy przez lata wspierali jednostkę w drodze do tego celu, czyli druhom i druhom, mieszkańcom, samorządowi, Państwowej Straży Pożarnej oraz wszystkim osobom, które dołożyły swoją cegiełkę do tego sukcesu.

Jednostka OSP Przedmoście, której prezesem jest Marcin Kuchnicki liczy w sumie ponad 100 członków. W jej ramach działa m.in. Młodzieżowa Drużyna Pożarnicza. Od 2024 roku strażacy mają nową remizę.

FOT. OSP PRZEDMOŚCIE

KRÓTKO

GŁOGÓW Pobili Ukraińca

W piątek, 1 maja, o godz. 23 policja otrzymała zgłoszenie o pobiciu mężczyzny na Placu Festynowym nad Odrą w Głogowie. Na miejscu funkcjonariusze zastali leżącego na ziemi 28-letniego mężczyznę. Udzieli mu pierwszej pomocy i wezwali pogotowie ratunkowe. Poszkodowany trafił do szpitala. W toku podjętych czynności policjanci zatrzymali cztery osoby mogące mieć związek ze sprawą. Pobity mężczyzna to obywatel Ukrainy. Jego stan jest dobry, po badaniach oraz udzieleniu pomocy opuścił szpital.

SŁAWA

Odwierty

Kanadyjska firma Lumina Metals rozpoczęła pierwszy z serii czterech odwiertów w 2026 r. w pobliżu Sławy. Zamierza otworzyć kopalnię miedzi i srebra „Nowa Sól”. Oprócz odwiertów firma równolegle prowadzi badania środowiskowe. Liczy na uzyskanie koncesji w 2030 r. Kanadyjczycy chcą współpracować z KGHM.

„Głogów dla Litewki” - dwa busy karmy

Grażyna Szyszka
Głogów

Mieszkańcy Głogowa pokazali wielkie serca – w zaledwie dwie godziny zebrano dary, które wypełniły dwa busy. Karma trafi do potrzebujących zwierząt.

Mieszkańcy nie zawiedli i licznie odpowiedzieli na akcję „Głogów dla Litewki”. W poniedziałkowe popołudnie, 4 maja, przynieśli na Rynek tyle karmy i akcesoriów dla bezdomnych zwierząt, że po brzegi wypełniły dwa spore busy.

Wszystkie dary trafiły do Azylu przy ul. Portowej oraz do schroniska dla bezdomnych zwierząt we Wróblinie Głogowskim.

- Jak na pierwszy raz frekwencja dopisała. Przez dwie godziny akcji pojawiło się wiele osób. W ciągu dnia kilka osób przyniosło też karmę do biura poselskiego – mówi poseł Łukasz Horbatowski, który wraz z Fundacją Rozbieg zorganizował akcję.

Zbiórka była hołdem dla tragicznie zmarłego posła Łukasza Litewki, społecznika znanego z działalności charytatywnej.

- To nie jest polityczny wymysł, lecz potrzeba serca. Po śmierci posła Litewki ludzie sami do mnie pisali i pytali, czy jesteśmy w stanie zorganizować taką zbiórkę w mieście – podkreśla Łukasz Horbatowski.

Jak zapowiada organizator, to na pewno nie ostatnia inicjatywa upamiętniająca posła z Sosnowca.

- Ta zbiórka pokazała, że takie oddolne działania są potrzebne. Schronisko we Wróblinie jest daleko i nie każdy może tam dojechać, dlatego gdy zbierzemy dary w jednym miejscu, łatwiej je dostarczyć potrzebującym – dodaje poseł.

Wszystkie dary trafiły do Azylu przy ul. Portowej oraz do schroniska dla bezdomnych zwierząt we Wróblinie Głogowskim

MATERIAŁ INFORMACYJNY GMINY GRĘBOCICE

0011509925

Majówka na Sportowo i Wolf Race 2026 w Obiszowie. Biegacze z całej Polski rywalizowali o puchar wójta gminy



Malownicza polana w Obiszowie po raz kolejny stała się areną sportowych zmagania. Wolf Race i Majówka na Sportowo przyciągnęły zarówno zawodników, jak i całe rodziny.

Obiszów. Bieg Szlakiem Dziadoszan o puchar wójta gminy Grębocice

Malownicze plenery obiszowskiej polany bardzo podobały się uczestnikom biegów. W tegorocznej, trzeciej edycji biegu Wolf Race wystartowało ponad 160 uczestników z całej Polski.

Impreza jest organizowana w ramach Majówki na Sportowo – Biegu Szlakiem Dziadoszan o puchar wójta gminy Grębocice. W sobotę, 2 maja, była sportowa rywalizacja, ale też rodzinna atmosfera na łonie natury.

Uczestników witała Renata Chrzan, dyrektorka Centrum Kultury i Sportu w Grębocicach, a także organizator biegu Marcin Ćwirzeń – jeden z najlepszych biegaczy na świecie i twórca Wolf Race.

Wymagający bieg Wolf Race z przeszkodami

Sporą grupą zjawili się w Obiszowie mieszkańcy Legnicy. Była też para z Poznania, którą urzekły piękne tereny i atmosfera.

– Trasa nie jest łatwa, sporo przeszkód, więc będzie ciekawie – mówili przed biegiem Zosia i Tomek, którzy od trzech lat startują w podobnych imprezach. – Pierwszy raz jesteśmy na Wolf Race, bo chcieliśmy porównać go z innymi biegami. Wolf Race to niezwykle wymagający bieg z przeszkodami, przygotowany dla wyjątkowo wytrzymałych uczestników. Na trasę 7 km kobiety i mężczyźni pobiegli oddzielnie. Zanim dotarli do mety morderczego biegu, czekało na nich ponad 40 przeszkód.

W Obiszowie przygotowano także m.in. trasę dla nordic walking oraz biegi dla dzieci.

Obiszowska polana gościnna dla amatorów wypoczynku

Region słynie również z tego, że przed wiekami znajdowała się tam osada Dziadoszan – stąd właśnie wzięta się nazwa biegu. Niedaleko Obiszowa stoi nawet niewielka replika grodu.

Na zakończenie sobotniej imprezy na polanie w Obiszowie przygotowano afterparty. Sportową majówkę zorganizowali: Centrum Kultury i Sportu w Grębocicach, Gmina Grębocice, Wolf Race oraz Związek Ochotniczych Straży Pożarnych.





Ponad 800 głogowskich przedszkolaków uczciło Dzień Flagi. Było wspólne śpiewanie hymnu i uroczysty przemarsz przez Rynek. W wydarzeniu wzięło udział ponad 800 dzieci z 15 placówek

Radosne obchody Dnia Flagi w Głogowie. Setki przedszkolaków w Rynku



Przedszkolaki przyniosły plakaty i rysunki związane ze świętem obchodzonym 2 maja



Od prezydenta dzieci otrzymały biało-czerwone flagi, które mogły wywiesić na swoich budynkach

Egzamin dojrzałości po głogowsku



W poniedziałek w I LO do egzaminu z języka polskiego przystąpiło 184 uczniów



Jak zwykle najbardziej stresujący dla większości uczniów był egzamin z matematyki



W Aslanie, jedynej niepublicznej placówce w Głogowie, egzamin dojrzałości zdają 32 osób

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie przez
Internetowe Biuro Ogłoszeń.
Bez wychodzenia z domu.

ibo.polskapress.pl



PLOTKI

KAROLINA GILON

Ulubiona waga

W styczniu zeszłego roku prezydentka urodziła pierwsze dziecko. Od razu po porodzie postanowiła wrócić do formy sprzed ciąży. I udało jej się. Kilka dni temu zamieściła na Instagramie swoje zdjęcia w bikini, odsłaniając jej wyrzeźbioną sylwetkę. Okazało się, że schudła 12 kilogramów, stawiając nie tylko na regularną aktywność fizyczną, ale i zmieniając podejście do odżywiania. Fani byli dociekliwi i chwilę potem Gilon zdradziła jeszcze więcej. Okazało się, że waży obecnie 66 kg przy wzroście 181 cm. „Aktualnie mam swoją ulubioną wagę” - stwierdziła z dumą. Ale uspokoiła swe wielbicielki: „Nie sugerujcie się tym, proszę, bo każda z nas ma inną budowę. To bardzo indywidualne kwestie”.

KRZYSZTOF GOJDŹ

Standardy

Specjalista od medycyny estetycznej wiedzy luksusowe życie w USA. Już kilka lat temu powiedział, że ma tyle pieniędzy, iż mógłby nie pracować do końca życia. Podczas niedawnej wizyty w ojczyźnie reporter Plotka spytał go o ceny życia w Polsce. - Bardzo drogo jest. To są praktycznie te same ceny, które mamy w Nowym Jorku czy w Los Angeles, ale zarobki są oczywiście inne - stwierdził. Dziennikarz postanowił dopytać, ile trzeba zarabiać, by godnie żyć nad Wisłą. Gojdz wyliczył: - Jeśli zarabiasz 15-20 tys. zł, to możesz faktycznie godnie żyć. Kiedyś mówiłem, jeszcze rok temu, że 10 tys. zł, ale to już nie dziś.

DOMINIKA TAJNER

Złośliwości

Celebrytka i jej były mąż Michał Wiśniewski byli gośćmi programu „Pytanie na Śniadanie”, gdzie opowiedzieli, jak dziś wyglądają ich relacje. Małżeństwo pary nie należało niegdyś do najłatwiejszych - Dominika przyznała, że w pewnym momencie bardziej funkcjonowała jako menedżerka zespołu Ich Troje niż żona jego wokalisty. Dodatkowo różnice w podejściu do życia rodzinnego i kwestii posiadania dzieci stały się jedną z głównych przyczyn ich rozstania. Mimo to dziś oboje podkreślają, że potrafią utrzymać przyjacielskie relacje. - Byliśmy ognistym małżeństwem i dalej ogniste wymieniamy się zdaniem. Też sobie czasami nie żałujemy złośliwości, ale chcemy dla siebie dobrze i to jest najważniejsze - powiedziała Tajner.



FOT. GRAZYNA SZYSZKA

Majówkowy jarmark w Sławie. Smakołyki i rękodzieło

Stary Rynek w Sławie zamienił się w plac jarmarku produktu lokalnego. Dwudniowa impreza przyciągnęła bogactwem rękodzieła, smacznych wyrobów i piękną pogodą.

Swoje wyroby wystawiło kilkudziesięciu wystawców z różnych stron Polski i z zagranicy. Na jarmarku można też zjeść smakołyki przygotowane przez koła gospodyń wiejskich.

INFORMATOR: TELEFONY, MAILE

KOMENDA POWIATOWA POLICJI

- OFICER DYŻURNY

tel. 47 8742200
lub 47 8742201

KOMENDA POWIATOWA STRAŻY POŻARNEJ

tel. (76) 8357714, email
kpglogow@kwpsp.wroc.pl

GŁOGOWSKI SZPITAL POWIATOWY

tel. (76) 8373211, email
sekretariat@szpital.glogow.pl

POWIATOWA STACJA SANITARNO-EPIDEMIOLOGICZNA

tel. (76) 7272594, email
psse.glogow@pis.gov.pl

POWIATOWY LEKARZ WETERYNARI

tel. (76) 7276590, email
glogow@wroc.wiw.gov.pl

URZĄD MIEJSKI W GŁOGOWIE

tel. (76) 7265400, email
sekretariat@glogow.um.gov.pl

STAROSTWO POWIATOWE W GŁOGOWIE

tel. (76) 7282800, email
starostwo@powiat.glogow.pl

URZĄD GMINY KOTLA

tel. (76) 8318361, email
gmina@kotla.pl

URZĄD GMINY GŁOGÓW

tel. (76) 8365555, email
gmina@gminaglogow.pl

URZĄD GMINY GRĘBOCICE

tel. (76) 8325300, email
sekretariat@grebocice.com.pl

URZĄD GMINY PĘCŁAW

tel. (76) 8317126, email
gmina@peclaw.eu

URZĄD GMINY JERZMANOWA

tel. (76) 8312121, email
sekretariat@jermanno-wa.com.pl

URZĄD GMINY GAWORZYCE

tel. (76) 8316285, email
ug@gaworzyce.com.pl

URZĄD GMINY ŻUKOWICE

tel. (76) 8314241, email
gmina@zukunft.pl

URZĄD GMINY RADWANICE

tel. (76) 8311478, email
sekretariat@radwanice.pl

POGOTOWIE GAZOWE

tel. 992

POGOTOWIE CIEPŁOWNICZE

tel. 993, (76) 8568200

POGOTOWIE WODOCIĄGOWE

tel. (76) 8342131

POGOTOWIE AWARYJNE

tel. 994

URZĄD SKARBOWY

tel. (76) 7272400

SPÓŁDZIELNIA MIESZKANIOWA „NADODRZE”

tel. (76) 8520700, email
sekretariat@smnadodrze.pl

ZAKŁAD GOSPODARKI MIESZKANIOWEJ

tel. (76) 8531102, email
sekretariat@zgm.glogow.pl

HUMOR

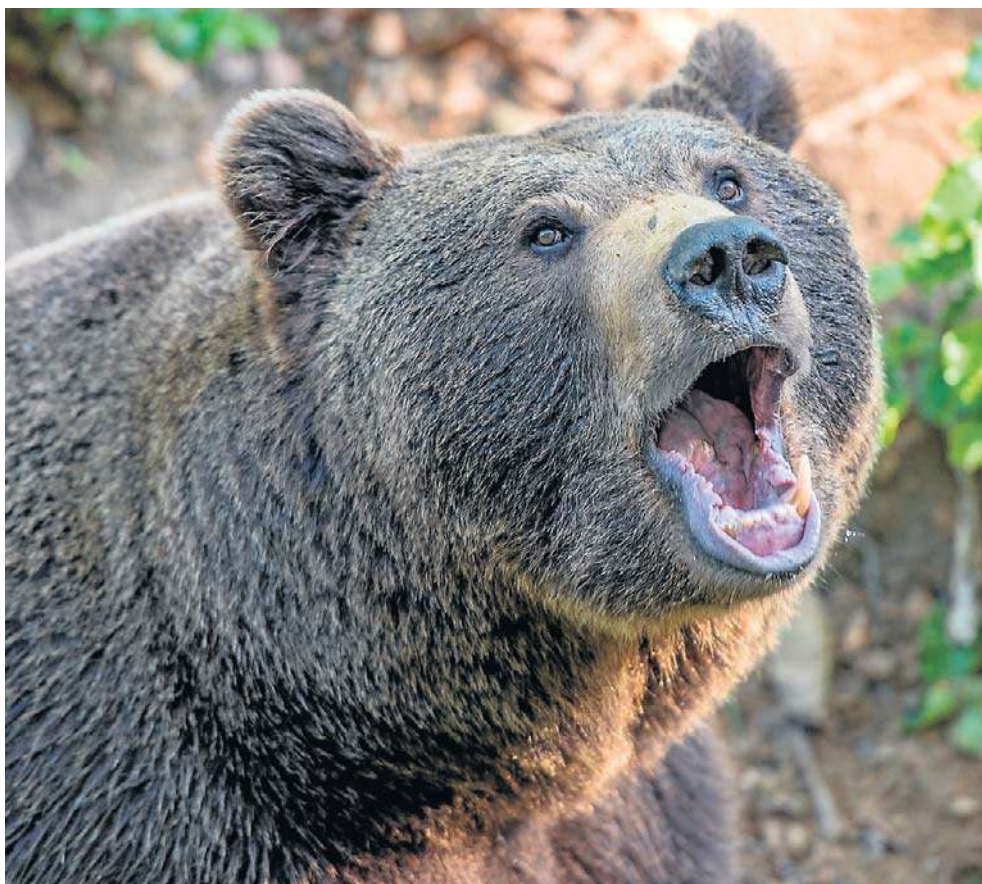
- Dlaczego się spóźniłeś? - pyta szef.
- Zapomniałem, że jadłem wczoraj kurczaka.
- Co ma kurczak do rzeczy?
- On mnie zawsze budził.

- Kobieto, jak nazwałabyś swojego kochanka, gdyby wydał całą pensję na kwiaty i szampa? -
- Romantyk!
- A gdyby twój mąż tak zrobił?
- Idiota!

Wraca Marian z pracy, a małżonka zboliała w łóżku:
- Zjedz sobie, Manius, póki co trochę pierogów z patelni!
- A mogę wszystkie?
- Możesz, możesz...
Po jakimś czasie:
- No i co?
- Co „co”? - zdziwił się Marian.
- Dobrze się czujesz?
- Dobrze...
- Znaczący to nie pierogi mi zaszkodziły.

- Pojedźmy tego lata na wakacje do ciepłych krajów!
- Na to są dwie opcje: albo ja znajdę drugą pracę, albo ty - pierwszą.
- To ja mam trzecią: pojedą sama i nikt niczego szukać nie będzie.

- Jaka jest różnica między politykami a ekspertami?
- Politycy przedstawiają własne pomysły jako mądre, a eksperci przedstawiają mądre pomysły jako własne.



FOT. PIXABAY

Wojciech Jankowski, rzecznik Nadleśnictwa Lesko: – Z dużą dozą prawdopodobieństwa wiemy, że był to pojedynczy, duży samiec, który był widywany na tamtym terenie

NIE KRZYCZAŁA. NIEDŹWIEDŹ MUSIAŁ JĄ SZYBKO ZABIĆ

Przy ofierze nie znaleziono butli z gazem, służącej do obrony przed niedźwiedziami, choć niedługo przed śmiercią, na szkoleniu z pierwszej pomocy, miała powiedzieć, że takową posiada

Dorota Mękarska

Edyta K. miał 58 lat. Pochodziła z Komańczy, ale jako młoda dziewczyna wyjechała do Mokrego w gminie Zagórz. Urodziła troje dzieci. Pracowała na kolei, ale gdy kolej na linii 108 padła, 4pozostała bez roboty. Wraz z mężem udała się na emigrację i przez wiele lat mieszkała w Grecji. Przed kilkunastoma latami wróciła do Polski, na stare śmieci. Imała się różnych zajęć, pracowała przy sadzeniu lasów, przy zabezpieczaniu sadzonek przez zwierzyną, aż wreszcie na stałe znalazła zatrudnienie w MOPS. Pomagała seniorom i chorym.

Nie miała łatwego życia. Małżeństwo nie było jak z bajki i w domu nie przelewało się, ale starała się dbać o rodzinę. Do-

rabiała do domowego budżetu, zbierając grzyby i poroże.

Zbieranie zrzutów ma długą tradycję. Kiedyś było to hobby i współzawodnictwo.

– Z biegiem czasu to się zmieniło – mówi Mirek Piela, przewodnik bieszczadzki. – Przede wszystkim z powodu wilków, ale także człowieka zmniejszyła się znacznie populacja jelenia i zrodziła się nowa forma zbieractwa. W tej chwili, oprócz kolekcjonerów za zrzutami chodzą ludzie niezamierzający, którzy chcą zarobić dodatkowy grosz, bo las jest często ich jedynym źródłem utrzymania, oprócz zasiłków. To wynika z potężnej desperacji. Ludzie mają świadomość, że w lesie jest obecnie niebezpiecznie, ale idą i zbierają zrzuty, bo co mają robić? Kraść? Na tym tere-

nie jest duże bezrobocie i ta grupa społeczna jest niejako życiowo zmuszona do zbierania.

Miejsce

W zeszły czwartek Edyta ostatni raz poszła do lasu. Razem z synem zapuścili się w okolice leżącej po sąsiedzku Płonnej. To sołectwo położone na pograniczu Beskidu Niskiego i Pogórza Bukowskiego. Przed II wojną światową była to duża i zamożna wieś – liczyła ponad 1000 mieszkańców. Po akcji „Wisła” w 1947 r. niemal przestała istnieć. W PRL na jej terenach utworzono Państwowe Gospodarstwo Rolne. Dzisiaj mieszka w niej 7 mieszkańców.

Asp. sztab. Anna Oleniacz, rzecznik prasowy policji w Sanku, określiła teren, w którym doszło do ataku jako trudny,

i tak jest w istocie, ale w wielu przekazach zrobiono z tego miejsca „królestwo zwierząt”, choć leży ono zaledwie 2 km od najbliższych zabudowań.

Do ataku doszło w lesie użytkowanym gospodarczo. Jest to teren Nadleśnictwa Lesko, leśnictwo Mokre. Oddział leśny ma numer 151 i leży w kompleksie leśnym zwanym Żurawinka. Jak tłumaczy Wojciech Jankowski, rzecznik prasowy Nadleśnictwa Lesko, tamtejszy las stanowi drzewostan na gruntach porolnych, czyli założony na dawnych polach.

– Wspominanie o „rzadkich wizytach, w miejscu, gdzie znajdują się wieże nadajnikowe, składowiska drewna, tereny rolnicze oraz liczne szlaki turystyczne i pielgrzymkowe, jest zwyczajnie niepoważne. To miejsce stałej aktywności ludzi – pracowników, rolników i turystów. Ten las ma ograniczoną powierzchnię. Dla niedźwiedzia przejście z jednego końca tego „kompleksu” na drugi to krótki spacer, a nie wyprawa w dzicz. Fakt, że las można dosłownie objechać główną drogą, najciekawsze świadczy o jego skali. Nazwanie tego obszaru „miejscem stałego występowania niedźwiedzi” i sugerowanie, że człowiek jest tam intruzem, brzmi jak próba zrzucenia odpowiedzialności na ofiarę i mieszkanców – zauważa autor listu, który trafił do redakcji „Nowin”.

W mediach społecznościowych pojawiły się natychmiast informacje, że kobieta weszła na teren młodnika, że jest to młody niedźwiedź i ostoja zwierzęcy.

Zaprzecza temu Wojciech Jankowski.

– Nie ma żadnych przeciwwskazań, ani żadnych zakazów zabraniających ludziom wchodzić do lasu, czy to na spacer, czy w celu zbierania grzybów, poroży czy jagód – podkreśla.

Wszystko też wskazuje na to, że do ataku doszło poza terenem młodnika.

– Wiemy, że niedźwiedź zaatakował ofiarę i wciągnął ją do młodnika. Świadczy o tym, że byli na miejscu, mówili, że widzieli buty wystające poza jego obszar – podkreśla rzecznik Nadleśnictwa Lesko.

Z kolei dr Wojciech Śmietana, badacz drapieżników, prezes Fundacji Przyroda i Nauka, który był na miejscu tragedii, nie stwierdził śladów walki, ani wleczenia ofiary. Jak zaznacza, obecne były natomiast ślady silnego krowotoku. Ze względu na suche podłoże nie znalazł tropów bezpośrednio w miejscu zdarzenia. Około 15 m dalej znalazł miejsce mogące stanowić legowisko niedźwiedzia.

Drapieżnik

Pierwsze informacje, które dotarły do mediów, mówiły, że ataku mogła dokonać niedźwiedzica z trójką młodych. Tym opinia publiczna zaczęła

tłumaczyć agresję zwierzęcia. Późniejsze ustalenia wskazują raczej na samotnego osobnika.

Dr Śmietana pojedyncze odziski łap odnalazł w odległości około 0,5 km.

– Ich wielkość wskazuje na młodocianego samca lub dorosłą samicę – uważa badacz.

28 kwietnia w Zakładzie Patomorfologii Szpitala Wojewódzkiego w Przemyślu przeprowadzono oględziny oraz sekcję zwłok 58-letniej kobiety.

– Szczegółowe oględziny ran wykazały ponad wszelką wątpliwość, że kobieta padła ofiarą ataku niedźwiedzia. Świadczy o tym zarówno ślady pazurów, jak i zębów. Na podstawie rozstawu kłów należy stwierdzić, że ataku dokonał dorosły samiec – informuje dr Śmietana. – W związku z tym tropy odnaleziono około 0,5 km od miejsca zdarzenia prawdopodobnie należały do innego, mniejszego osobnika.

Atak

– Mam nadzieję, że siostra długo się nie męczyła, ale wszystko wskazuje na to, że niedźwiedź musiał ją szybko zabić, dlatego że nie krzyczała. Gdyby nie telefon do syna, to Dawid by nawet nie wiedział, gdzie jest mama – mówi Paweł Winkowski, brat ofiary.

Edyta i Dawid rozdzielili się w lesie. Każde poszło inną ścieżką, ale nie dzielił ich szmat drogi. Z relacji rodziny wynika, że kobieta zauważyła młode zwierzę – prawdopodobnie jelenia – i chwilę później doszło do dramatycznych wydarzeń. Akurat w tym czasie rozmawiała przez telefon z synem, który usłyszał tylko krzyk: „Niedźwiedź!”. Następnego telefonu kobieta już nie odebrała.

Brat odpiera pogłoski, że siostra musiała zachowywać się beczłonie. Nie należała do takich.

– Ona nigdy nie była cicho – mówi Paweł. – Mówiłem nawet na nią „rozwrzeszczana Jadzia”.

Po dramatycznym krzyku matki Dawid natychmiast rozpoczął poszukiwania. Po krótkim czasie odnalazł ją. Miała rozległe obrażenia i nie dawała już oznak życia.

Przy ofierze nie znaleziono butli z gazem, służącej do obrony przed niedźwiedziami, choć niedługo przed śmiercią, na szkoleniu z pierwszej pomocy, Edyta miała powiedzieć, że takową posiada. Trudno jednak dzisiaj dywagować, czy gaz uchroniłby ją przed tragicznym końcem.

– To jest taki moment i taka siła, że człowiek nawet nie wie, co ma ze sobą zrobić. Sam byłem w takiej sytuacji, i gdyby nie koleś, może już by mnie nie było na świecie – przyznaje się Paweł.

W zeszły czwartek mężczyzna pracował, jak zwykle, na składzie drewna. Pierwsza zadzwoniła siostra. Paweł usłyszał płacz. Potem zobaczył, że

dobija się do niego Dawid. Młody mężczyzna przekazał bratu straszny komunikat.

Paweł wsiadł w auto i razem z kolegą pojechał do Płonnej.

– Na ciele były ewidentne ślady ataku niedźwiedzia – nie kryje strasznych szczegółów. – Przede wszystkim na głowie. Gdy niedźwiedź obalił ją na ziemię, stanął na jej plecach, gryzł i szarpał pazurami czaszkę.

Informacja o śmierci kobiety lotem o błyskawicy obiegła krajowe i zagraniczne media. Do tragedii odniósł się Związek Leśników Polskich RP.

– Musimy to sobie powiedzieć otwarcie – pogłowie niedźwiedzi, wilków, żubrów czy łosi w Polsce wymknie się spod jakiegokolwiek kontroli. Niestety, każde bicie na alarm w tej sprawie od lat spotyka się z histerią i agresją. To właśnie ta ideologia, blokująca racjonalną regulację populacji dzikich zwierząt, jest pośrednią przyczyną tragicznej śmierci kobiety w Płonnej. Tyle jeśli chodzi o brutalną prawdę.

System

Do redakcji „Nowin” dotarło pismo, którego autor wskazuje ma wysokie prawdopodobieństwo niedopełnienia obowiązków oraz narażenie na niebezpieczeństwo przez funkcjonariuszy publicznych odpowiedzialnych za bezpieczeństwo publiczne oraz ochronę przyrody w regionie Pogórza Bukowskiego.

– Tragedia w Płonnej nie była „lekcją pokory wobec natury”, lecz skutkiem urzędniczego zaniechania – czytamy. – Instytucje ochrony przyrody przedłożyły ideologię ochrony drapieżnika nad konstytucyjny obowiązek ochrony życia ludzkiego. Brak realnych działań, odłowów, płoszenia, eliminacji osobników konfliktowych, w sytuacji lawinowo rosnącej liczby incydentów medialnych jest dowodem na paraliż decyzyjny i brak profesjonalizmu. Mieszkańcy Pogórza zostali de facto wykluczeni z systemu bezpieczeństwa państwa, stając się zakładnikami we własnych domach. Domagamy się pełnego wyjaśnienia, dlaczego głosy społeczności i dowody medialne były ignorowane aż do momentu, gdy doszło do rozlewu krwi.

Bieszczadnik Mirek Piela zwraca uwagę na ograniczenie praw mieszkańców Bieszczad i Pogórza. Formalnie są to co prawda tylko zalecenia i rekomendacje, ale presja społeczna nie pozostawia złudzeń.

– Nie chcę być złośliwy, ale w rezerwacie Indianie mieli większe prawa niż my obecnie – uważa radny gminy Lutowska. – Nie możemy chodzić do lasu, bo zaraz podnosi się krzyk. Mieszkamy więc wśród lasów, ale z powodu drapieżników mamy siedzieć uwięzieni w domach.

Poznaliśmy się w ogólniaku, ale na szkolnym korytarzu nie zakiszyło - wspominają. Inaczej już było na jednym z harcerskich rajdów. Okazało się, że nadają na tych samych falach i nie tylko harcerstwo ich łączy.

Na studia pojechali na Ziemię Lubuską. Ona do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze, bo jak mówi, bardzo podoba się jej miasto. On? Jako że jest rok starszy, wcześniej już rozpoczął studia w Gorzowie, wybrał wychowanie fizyczne. Z czasem okazało się, że rozłąka im nie służy. - Powiedziałam mu, że jeśli znajdzie w Gorzowie studia polonistyczne, to się wtedy przeniosę na północ - opowiada (w tamtym czasie w północnej stolicy województwa nie było kierunku filologia polska).

Nie było rady. Pan Paweł przeniósł się do Zielonej Góry, gdzie oprócz wcześniej obranego kierunku, zaczął studiować także zarządzanie i marketing.

Itak od 28 lat mieszkają w Zielonej Górze. I choć po jakimś czasie kupili mieszkanie w Zawadzie i stali się mieszkańcami wsi, to od 2015 - dzięki połączeniu miasta z gminą - znów ich adres to Zielona Góra.

To może mieć związek z ciążą

Oboje bardzo chcieli mieć dzieci. Ile? Tu były zdania podzielone. Pan Paweł bardzo chciał mieć syna, więc kiedy pierwsza urodziła się córka, wiadomo było, że nie może zostać jedynaczką. Przecież oni oboje także mają rodzeństwo. Jako drugi urodził się syn. A potem jeszcze na świat przyszła kolejna córka. - Byłam w pierwszej ciąży, kiedy w badaniu pojawiło się białko w moczu. Ale zbagatelizowałam to, bo lekarz mówił, że to może mieć związek właśnie z ciążą. Nikt nie uczulał na to, że trzeba temu się bliżej przyjrzeć - mówi nauczycielka. - Przy drugiej ciąży trafiłam już do nefrologa. On mnie wystraszył. Usłyszałam, że chcę zabić swoje dziecko, że umrę itd. Ale nic mnie nie bolało, to odpuściłam.

Jedyną niedogodnością, jaką odczuwała, było to, że szybciej się męczyła. Ale kto by tam na to zwracał uwagę? Przecież lat przybywa, więc energii ubywa. Praca, dom, dzieci. Ciągłe na pełnych obrotach, to można czuć zmęczenie.

- Pewnej niedzieli jak zawsze przygotowywałam obiad. Nalewałam rosół i nagle nie byłam w stanie podnieść łyżki. Byłam przerażona. Wpadłam w panikę. Duszności, kołatanie serca. Myślałam wtedy, że umieram - wspomina.

Przyjechało pogotowie. Dostała serię zastrzyków. I lepiej się poczuła. Ale następnego dnia poszła do lekarza rodzinnego.

- Pani doktor od razu dała mi skierowanie do poradni nefrologicznej, skąd wysłano mnie

ODDAŁ ŻONIE NERKĘ. NIE BYŁA NA NIEGO UCZULONA

Katarzynę i Pawła Konsurów łączy wiele. Nie tylko małżeński węzeł. Chodzili do tego samego ogólniaka, działali w harcerstwie, dziś są nauczycielami. Mają trójkę dzieci, które są dla nich największym szczęściem. I wspólne przeżycia. Te radosne i te trudne, zakończone przeszczepem

Leszek Kalinowski



Nie tylko mąż chciał oddać nerkę. Także i dzieci od razu stwierdziły, że pomogą mamie. I tata pani Katarzyny, choć jego, z powodu chorób współistniejących, wykluczono na wstępie

na oddział szpitalny. Po wykonanej biopsji wyszło kłębuszkowe zapalenie nerek - wyjaśnia. - Kłębuszki umierają i nie ma na to lekarstwa. Dziś słychać, że istnieją jakieś programy lekowe, które spowalniają chorobę. Wtedy na ten temat nie było wiadomo. Dowiedziałam się, że trzeba obserwować. Że może długo będę w remisji, ale w końcu i tak trzeba będzie wykonać przeszczep. Dostałam leki na zmniejszenie ciśnienia, żeby nerki miały ulgę w nocy...

Ważna jest zgodność

Najgorzej było w pandemii koronawirusa. Wszyscy dobrze pamiętamy, jak było ciężko dostać się do lekarza. Wizyty odbywały się on-line. Tymczasem właśnie wtedy parametry zaczęły się pogarszać.

- W 2023 pani doktor powiedziała, że musimy powoli szykować się do dializy. Proponowała, żeby to była dializa otrzewnowa - opowiada Zielonogórzanka.

To domowa metoda leczenia nerkozastępczego, która oczyszcza krew z toksyn i nadmiaru wody przy użyciu naturalnej błony otrzewnej, a nie sztucznego dializatora. Płyn dializacyjny jest wprowadzany do jamy brzusznej przez cewnik, gdzie następuje wymiana substancji, a następnie usuwany (wymiana).

Pani Katarzyna przeszła specjalny kurs, zorganizowany przez Stowarzyszenie Nerka. Trzeba też było przeprowadzić zmiany w domu. Bo konieczne jest tu zachowanie pewnych rygorów higienicznych.

- Wtedy też po raz pierwszy dowiedzieliśmy się o możliwości przeszczepu wyprzedzającego. Przeczytaliśmy o tym w internecie - podkreśla pan Paweł. - Wiedzieliśmy, że mamy tę samą grupę krwi, ale musi też być zgodność tkankowa. To nam ułatwiło nieco sprawę. Im większa zgodność, tym większa szansa, że przeszczep się uda i będzie służył długie lata.

Wyprzedzająca transplantacja nerki, czyli przeszczepienie nerki przed rozpoczęciem leczenia powtarzanymi dializami, jest obecnie uznawane za najlepszą metodę leczenia nerkozastępczego.

W rodzinie nie tylko mąż chciał oddać nerkę. Także i dzieci od razu stwierdziły, że pomogą mamie. I tata pani Katarzyny, choć jego, z powodu chorób współistniejących, wykluczono na wstępie.

Z medycznego punktu widzenia pan Paweł rodziną pani Katarzyny nie jest.

- Po badaniach okazało się, że - jak to mówią w świecie medycznym - nie jestem uczulona na męża - zauważa z uśmiechem kobieta.

To nie Leśna Góra

Zaproponowano im dwa ośrodki: Wrocław i Bydgoszcz. Wybrali stolicę Dolnego Śląska, bo bliżej i mają tam rodzinę.

- Ja jako dawca miałem mieć badania we Wrocławiu, a żona

w Zielonej Górze - opowiada pan Paweł, a pani Kasia dodaje: - Wszystko zaczyna się od telefonu koordynatora przeszczepu. To nie jest lekarz, a pracownik medyczny. Ale podopiecznym koordynatora był Paweł, ja natomiast pozostałam pod opieką naszej poradni. I miały to być działania równoległe. Niestety tak się nie stało. Paweł jako dawca był przygotowany, ja nie. Z powodu opóźnień trzeba było wykonywać ponowne badania. A to wszystko trwa. Polska rzeczywistość to nie serial „Na dobre i na złe”. To nie szpital w Leśnej Górze, gdzie jest zdrowy dawca, biorca i od razu wykonuje się przeszczep.

Przyszedł więc czas na dializy. I one skomplikowały sprawę.

- Do dializ miałam założony cewnik w klatkę piersiową, w sercu. Są pacjenci, którzy mają to obce ciało nawet kilka lat. W moim przypadku organizm próbował je zwalczać. Zrobiły się skrzepy, które się zrosły. Krew

nie była oczyszczana. Wyniki były kiepskie - opowiada nauczycielka. - Wylewy krwi, siniaki i migreny... A ja w tym czasie normalnie pracowałam. Bywało, że dializa trwała od godziny 20 do północy, potem powrót do domu w stanie rozdygotania, a rano do pracy, do szkoły.

Rodzina dziwiła się, jak pani Katarzyna to wytrzymuje. Przecież praca w szkole dla zdrowej osoby bywa stresująca i męcząca. Znajomi mówili: Ty w ogóle nie wyglądasz na chorą.

Aż po rezonansie magnetycznym usłyszeli od lekarza: Przeszczepiamy, bo potem okno nam się zamknie.

17 marca 2025 roku

Pani Katarzyna: - Idziemy oboje na stół. Paweł jako pierwszy, a ja kilka godzin później. Obie operacje odbyły się bez żadnych komplikacji. Teraz tylko mnóstwo leków, które też mają skutki uboczne. Kontrole, konsultacje... I pełna izolacja. Rodzice na rok zabrali psa.

Pan Paweł: - Muszę pilnować gospodarki wodnej, dużo pić, żeby ta nerkę posłużyła mi jak najdłużej. Muszę unikać sportów kontaktowych, bo ryzyko kontuzji jest duże. Przez co najmniej rok nie mogę jako honorowy dawca krwi dzielić się tym, co najcenniejsze. Brakuje mi tych wizyt w Regionalnym Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa.

- Dobrze, że jesteśmy nauczycielami, bo mogliśmy wziąć roczne urlopy dla poratowania zdrowia. Nie przedłużaliśmy tego, we wrześniu stawialiśmy się do szkoły, by rozpocząć nowy rok - zauważają i z uśmiechem dodają: - Nerki współpracują. Budziliśmy się w nocy o tej samej porze, żeby skorzystać z toalety...

Podkreślają, że podczas tego stresującego czasu bardzo potrzebna byłaby pomoc psychologiczna. Przecież to ciągłe czekanie na badania, wyniki dla psychiki jest bardzo trudne. Tymczasem ta pomoc pozostawia u nas wiele do życzenia.

Szukali diety, który ustaliłby odpowiedni jadłospis. Znaleźli dopiero w Gdańsku. Przez internet. Brakuje takich specjalistów, a przecież co czwarty Polak ma problemy z nerkami.

Rekordowa liczba

Przeszczepy nerek od żywych dawców stanowią w Polsce około 5-6 procent wszystkich transplantacji nerek. Choć liczba ta jest niższa niż w wielu krajach zachodnich, rok 2025 był rekordowy dla polskiej transplantologii z łączną liczbą 2404 przeszczepień narządów.

Dawcą może być osoba bliska (spokrewniona lub związana emocjonalnie). Dopuszczalne są również przeszczepy krzyżowe (wymiana nerek między dwiema parami) oraz łańcuchowe, gdy dawca i biorca nie mogą być leczeni w ramach własnej pary z powodu niezgodności grup krwi lub tkanek.

FOT. MARIUSZ KAPALA

Panie profesorze, mamy dobrą konstytucję?

Moim zdaniem, niestety, w wielu punktach ona jest nie-dobra. Najgorsza oczywiście jest kwestia konstrukcji władzy wykonawczej, dlatego że mamy permanentne konflikty kolejnych rządów i premierów z kolejnymi prezydentami. W tej chwili obserwujemy kolejną burzliwą kohabitację i nie zapowiada się, że ona złagodnieje w przyszłości; raczej się zaostrzy. Poza tym jest wiele innych dość nieprecyzyjnych zapisów. Moim ulubionym przykładem jest ten, który dotyczy Trybunału Konstytucyjnego, bo tam ma pani bardzo słuszny zapis, że Trybunał Konstytucyjny jest całkowicie niezawisły od innych organów władzy państwowej. I gdyby konstytucja na tym się kończyła w sprawie Trybunału, byłoby dobrze. Tylko że zaraz potem jest artykuł, który mówi, że szczególne działania Trybunału określa ustawa uchwalana przez Sejm. Ten artykuł posłużył PiS-owi do, że tak powiem, włamania się do Trybunału i rozważenia go od środka. Jeżeli jest niezawisły, to sam sobie powinien określać zasady swojego działania. To jest przykład całego szeregu nie-konsekwencji w konstytucji, stworzenia takich furtek, które później były forsowane przez różnych polityków, bo duch konstytucji nie był przestrzegany.

Na tamte czasy, kiedy powstała, to było wszystko, co można było stworzyć?

To była konstytucja, która była dziełem kompromisu ugrupowań centro-lewicowych, bo to był Sejm wybrany w 1993 roku, gdzie prawica – zresztą na własne życzenie, bo się tak podzieliła, że padła ofiarą progów wyborczych. W praktyce to cztery partie uchwaliły tę konstytucję: SLD, PSL, Unia Wolności i Unia Pracy. Od biedy można PSL i Unię Wolności uznać za partie centrowe. Natomiast Unia Pracy i SLD były ewidentnie lewicowe. Prawicy tam nie było i to było powodem ataków, bo konstytucja właściwie od początku była obiektem bardzo ostrej krytyki. W referendum cała prawica wzywała do jej odrzucenia. Ona wprawdzie przeszła, jak wiemy, w referendum w 1997 roku, ale krytycy podnoszą, że to jest kolejny paradoks konstytucji.

Dlaczego?

W referendum w maju 1997 roku brało udział czterdzieści kilka procent uprawnionych. Tymczasem ta konstytucja mówi, że za wiążące uważa się tylko te referenda, w których bierze udział co najmniej połowa uprawnionych. Czyli paradoks konstytucji polega

– Są ustroje mniej czy bardziej funkcjonalne. W Polsce ten system, który mamy, system mieszany: ni to prezydencki, ni to parlamentarno-gabinetowy, jest coraz mniej funkcjonalny i w którymś momencie, moim zdaniem, załamie się i zostanie zastąpiony, obawiam się, że przez system prezydencki – mówi prof. Antoni Dudek, politolog

Dorota Kowalska



Prof. Dudek: W polskich realiach system prezydencki może pójść w złym kierunku

PROF. DUDEK: SYSTEMY PREZYDENCCKIE PROWADZĄ DO RZĄDÓW AUTORYTARNYCH

na tym, że przyjęto ją w referendum, które nie spełnia warunków referendalnego określonego przez tę konstytucję, co też jest przedmiotem krytyki.

Więc ta konstytucja od początku miała problemy!

Dokładnie. Natomiast, żeby była jasność, ja dzisiaj jestem i tak o niej lepszego zdania niż byłem pod koniec lat 90., bo wtedy wydawało mi się, że

Polska może sobie zafundować lepszą ustawę zasadniczą. Ale dziś widzę, że to było maksimum tego, na co nas było wtedy stać. Bo gdyby układ sił w tamtym Sejmie był inny, czyli była tam silniejsza prawica, to prawdopodobnie w ogóle żadnej konstytucji byśmy nie mieli. Mielibyśmy konstytucję z 1952 roku, z kolejnymi poprawkami. Przecież widać wyraźnie, że konflikt polityczny od tamtego czasu

tylko się nasila i niezdolność do jakiegokolwiek porozumienia jest coraz głębsza.

Prezydent chciałby zmiany konstytucji. To chyba w tym momencie jest niemożliwe, prawda?

W tej chwili nie. I to mnie bardzo cieszy. Nie kryję, że ten kierunek zmian, który chciałby Karol Nawrocki, zmartwiłby mnie, bo to byłaby próba ustanowienia

w Polsce systemu prezydenckiego. Natomiast nie wiemy, jak się dalej sytuacja potoczy. Jeśli dojdzie do wyraźnej zmiany w nastrojach społecznych na przykład wskutek pogorszenia sytuacji gospodarczej, to wtedy ugrupowania prawicowe mogą zyskać większość bliską konstytucyjnej, co przy pewnych chwytach, które już dzisiaj zostały zastosowane na małą skalę, a w następnym Sejmie mogą zostać

zastosowane przez większość na dużo większą skalę, to wszystko jest możliwe. Po-wiem, o co chodzi. Dziś mamy dwóch posłów na trwałe poza granicami Polski, obaj uciekli z obawy przed uwięzieniem. Gdyby ich zamiast dwóch było na przykład dwudziestu kilku albo trzydziestu kilku, to wtedy większość niezbędna do uchwalenia zmiany konstytucji znacząco się obniża. A przecież nie wiemy, jak się zachowa następna hipotetyczna prawicowa większość w Sejmie. Kiedy słucha się polityków PiS-u, to oni właśnie cały czas grożą członkom rządu Tuska, potencjalnym przyszłym posłom opozycji, że ci będą siedzieć. Tym bardziej że ta konstytucja – i to jest jej kolejna wada – do pewnego stopnia jest słabo zabezpieczona przed zmianą.

To znaczy?

Mianowicie ta konstytucja jest podzielona, jeśli chodzi o zmiany, na dwie części. To znaczy na te części, które można zmienić wyłącznie z udziałem parlamentu, i na tę część, do której, żeby ją zmienić, potrzebne jest referendum. Ale jeśli chodzi o tę część konstytucji, do której nie trzeba referendum, to jest powiedziane, że musi być to większość dwóch trzecich. I wszyscy o tych dwóch trzecich mówią, ale zapominają, od jakiej liczby posłów to się liczy. Otóż jest to większość dwóch trzecich od dwustu trzydziestu jeden posłów. Czyli na sali nie musi być czterystu sześćdziesięciu posłów, żeby zmieniać konstytucję, wystarczy dwustu trzydziestu jeden. I jak z tych dwustu trzydziestu jeden będzie się miało dwie trzecie, to można konstytucję w znaczącym stopniu zmienić. Nie w całości. Więc reasumując: sprawa jest dość skomplikowana i może pójść w kierunku takim jak powiedziałem, czyli przy pewnym wahnięciu nastrojów i pewnej jeszcze większej brutalizacji polityki niż ta, z którą mamy dzisiaj do czynienia, to taka zmiana w kierunku systemu prezydenckiego jest możliwa. PiS kiedyś otwarcie mówił, że jest za systemem prezydenckim, później zamilkł w tej kwestii. I właściwie nie ma jasnego stanowiska PiS-u w sprawie ustroju politycznego, bo PiS usunął swój projekt konstytucji, który miał jeszcze do 2015 roku na stronie internetowej. Prezes Kaczyński w tej sprawie, delikatnie mówiąc, niejasno zaczął się wyrażać. Natomiast obie Konfederacje, czyli Konfederacja Mientzena i Bosaka, i Korona, są wyraźnie zwolennikami systemu prezydenckiego.

Panu się system prezydencki nie podoba?

Tak, mnie się nie podoba. Uważam, że w realiach większości krajów systemy prezydenckie szybko prowadzą do rządów autorytarnych. Doświadczyły tego liczne kraje Ameryki Południowej czy Łacińskiej, także Afryki czy Azji. W Europie to może nie było tak oczywiste, ale też w Europie nie ma w ogóle klasycznego systemu prezydenckiego. Najbardziej znany model francuski to tak zwany model półprezydencki, gdzie władza prezydenta jest mniej-sza niż w klasycznym systemie prezydenckim, za jakiego ojczyznę uchodzą Stany Zjednoczone. Tam władza prezydenta jest większa. Myśmy zresztą mieli system prezydencki już raz w Polsce, tylko on się nie zdołał w pełni rozwinąć. Ustanowiła go konstytucja kwietniowa z 1935 roku. To był system ultraprezydencki, bo tam władza prezydenta była jeszcze większa niż w systemie amerykańskim. Było jasno powiedziane, że prezydent stoi ponad wszystkimi rodzajami władzy, a więc także ponad parlamentem. W systemie amerykańskim, tym klasycznym prezydenckim, jest równoważenie się trzech rodzajów władzy, równoważenie i separacja, czyli władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej. Natomiast w polskich realiach system prezydencki może pójść w złym kierunku, co do wodzi ewolucja ustrojów choćby w sąsiedniej Białorusi, gdzie bardzo szybko system prezydencki Łukaszenko zamienił w swoją dyktaturę. Takie próby były też podejmowane w Ukrainie. I de facto kolejne rewolucje w Ukrainie, poczynając od pomarańczowej, miały także i ten kontekst. Już nie chcę mówić o Rosji, bo to jest klasyczny przykład pozornego systemu prezydenckiego, który w praktyce jest dyktaturą jednego człowieka - Putina.

Właśnie, ten system jest o tyle niebezpieczny, że prezydentem może zostać po prostu szaleniec. I co wtedy?

Wie pani, szaleniec jak szaleniec, ale przede wszystkim może nim zostać jakiś człowiek o dyktatorskich skłonnościach. I tu jest główny problem. Jeśli mamy przypadek szaleńca, czyli osoby stuprocentowo chorej psychicznie, to są różne procedury umożliwiającej usunięcie jej z urzędu. Chociaż pojęcie choroby psychicznej też jest, delikatnie mówiąc, mocno nieostre. To jest oczywiście kazus obecnego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wszyscy się zastanawiają, czy on jest człowiekiem w pełni władz umysłowych, czy nie jest. Zdania są w tej kwestii podzielone. Natomiast na razie sytuacja w Kongresie jest dla niego ko-

rzystna. Zobaczmy, jaka będzie po półmetkowych wyborach, które odbędą się w listopadzie. Być może republika nie straci większości w obu izbach Kongresu i wtedy może się rozpocząć próba usunięcia prezydenta Trumpa z urzędu. Ale to może nie być proste, dlatego że tam trzeba mieć określoną kwalifikowaną większość w Izbie Reprezentantów i w Senacie.

System parlamentarno-gabinetowy, jaki obowiązują u nas, też nie jest dobry, bo - wspomniał Pan o tym - nie ma żadnej współpracy między parlamentem a prezydentem, jeżeli reprezentują inne środowiska polityczne.

Tak, to prawda, ale to wynika z tego, że my nie mamy klasycznego systemu parlamentarnego w wyborach powszechnych, co mu daje ogromne uprawnienia politycznie, po-zakonstytucyjnie - to jest niezwykle silny mandat. Po drugie, mamy cały szereg sformułowani w konstytucji, które są niejednoznaczne i które już były przedmiotem sporów i rozstrzygnięć przez Trybunał Konstytucyjny. Klasyczna ko-habitacja Lecha Kaczyńskiego z Donaldem Tuskiem i spór o to, kto ma reprezentować Polskę na szczytach Rady Europejskiej. Kaczyński chciał jechać zamiast Tuska, a Tusk się na to nie zgadzał i oddał sprawę do TK. I Trybunał Konstytucyjny, który jeszcze wtedy nie był tak kontrowersyjny, jak obecnie, czyli uznawały go zasadniczo obie strony, wydał wyrok, który jest dla mnie kwintesencją problemu, który mamy. Powiedział tak, że ilekroć pan prezydent chce jechać na szczyt Rady Europejskiej, ma prawo tam jechać, bo jest najwyższym reprezentantem, zgodnie z Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej za granicą, ale ma przedstawiać stanowisko, które mu przygotowuje rząd, bo to rząd kieruje polityką zagraniczną. A w ogóle, stwierdził Trybunał, obie strony powinny ze sobą współpracować. Finał tego orzeczenia jest taki oto, że prezydent teoretycznie może jechać, ale ma mówić to, co mu rząd każe, a jak prezydent nie chce tego mówić, to właściwie nie powinien jechać, ale on i tak może pojechać i mówić różne rzeczy. W efekcie mamy de facto dwie polityki zagraniczne. I moim zdaniem na to niestety w tym układzie sił nie ma rady. Natomiast prawda jest taka, że gdyby prezydent był wybierany w systemie niemieckim, zwanym kanclerskim, przez rodzaj zgromadzenia narodowego, to nie byłoby tego sformułowania, że jest najwyższym reprezentan-

tem. Wtedy pozycja prezydenta byłaby de facto czysto symboliczna. Trochę tak jak jest w Wielkiej Brytanii, w krajach skandynawskich, bo o tym warto wspomnieć, jak sobie mądrzy Skandynawowie tę sprawę rozwiązali.

Właśnie, jak?

Oni mają monarchię. Właściwie wszystkie kraje skandynawskie, a więc mówię o Szwecji, mówię o Norwegii, mówię o Danii, ale też przy okazji Holandii. To wszystko są kraje, które są monarchiami i mają problem głowy państwa rozwiązany, bo ten monarcha jest tam dziedziczny, nie ma żadnej realnej władzy. To są klasyczne systemy parlamentarno-gabinetowe. Naród sobie wybiera parlament, parlament wybiera rząd i ten rząd ma pełną władzę, jeśli ma poparcie w parlamencie. Głowa państwa, czyli monarcha, nie może odmówić podpisania ustawy, bo byłby złożony z urzędu na mocy konstytucji. Natomiast my mamy prezydenta z prawem weta, które paraliżuje bardzo często pracę rządu, co dzisiaj widzimy w wielu obszarach. I mamy permanentny konflikt polityczny. Nie mówię, że powinniśmy wrócić do monarchii, bo jestem republikaninem, ale mamy postępujący paraliż państwa; mówiąc szczerze, nie widzę szans na wyjście z tej sytuacji. Zwłaszcza od momentu, jak wymontowaliśmy teoretycznie organ, który mógłby być, hipotetycznie, arbitrem, czyli Trybunał Konstytucyjny. Bo w założeniu autorów obecnej konstytucji wszystkie spory między innymi organami władzy ma rozstrzygać Trybunał Konstytucyjny. I to, co do zasady, jest fajna reguła, tylko pod jednym warunkiem: mianowicie wszystkie strony liczące się w polskiej polityce muszą uznawać wyroki tego Trybunału i przy nim nie grzebać.

A tak nie jest!

Nie mamy tego bezpiecznika. Wszystko koroduje i próchnie coraz bardziej. Pozostaje pytanie, jak się to wszystko potoczy w sytuacji krytycznej, której na szczęście ciągle nie mamy, bo nie mamy na przykład Putina najjeżdżającego Polskę, ani nie mamy czegoś, co nam grozi przy okazji kolejnych wyborów, a mianowicie sytuacji, w której ktoś musi rozstrzygnąć, czy wybory były rzetelne, czy nie. Teoretycznie jest Państwowa Komisja Wyborcza, ale ona też jest dzisiaj coraz bardziej atakowana, tym razem przez PiS, które zresztą zreformowało PKW, które było kiedyś złożone wyłącznie z sędziów. PiS uznało, że to jest przejaw sędziokracji, więc zmienił sposób wybierania PKW i de facto

dzisiaj PKW jest odzwierciedleniem większości parlamentarnej. Niby są tam prawnicy, ale wybierani już z klucza nie sędziowskiego, tylko politycznego. I przewagę ma dzisiaj w PKW koalicja rządząca. Natomiast co będzie się działo po wyborach w przyszłym roku, czas pokaże. Myślę, że jeśli w ogóle dojdzie do uznania wyników wyborów, to nowa większość, jeśli się taka uformuje, natychmiast tę PKW wymieni na taką, która będzie odzwierciedlała jej interesy.

Ale mówi Pan tak, jakby był pewny, że w przyszłym roku władza przejdzie w ręce prawnicy.

Nie, nie jestem pewny, bo widać wyraźnie, że efekt Nawrockiego, którego się spodziewałem w postaci jakichś bardzo wysokich notowań PiS-u, się nie sprawdził. Paradoksalnie głównymi beneficjentami zwycięstwa Nawrockiego okazali się, z jednej strony Korona Brauna, a z drugiej strony Donald Tusk, który teoretycznie powinien być w tarapatkach, a przeciwnie, ze strachu cała antyprawicowa część wyborców skupiła się wokół Koalicji Obywatelskiej, która ma rekordowo wysokie poparcie. Pamiętajmy jednak, że świat dzisiaj wisi na krawędzi recesji. Jeżeli ta awantura, którą Trump rozpętał na Bliskim Wschodzie, będzie trwała dłużej, to po prostu dojdzie do recesji, ale w każdym bądź razie do bardzo dużego załamania gospodarczego, które tym razem już Polski na pewno nie ominie. Nam się udało wskutek splotu okoliczności w 2008 roku uniknąć skutków ostatniego wielkiego kryzysu finansowego na świecie. Ale tym razem nam się już nie uda. I siłą rzeczy może dojść do znaczącego pogorszenia sytuacji gospodarczej na przestrzeni najbliższego półtora roku, co oczywiście głównie odczuje rząd. Dlatego że w Polsce, co do zasady wszystkie wybory, nie tylko parlamentarne, także i prezydenckie, co pokazał los Trzaskowskiego w ubiegłym roku, są w dużym stopniu sposobem oceny rządu. Jak rząd jest dobry, to kandydat rządowy wygrywa, jak ludzie są niezadowoleni, bo jak im się sytuacja materialna pogarsza, to głosują przeciw rządowi. I w tym momencie wkracza prawica. Jak pani spojrzy dzisiaj na sondaże, to z większości z nich wynika sytuacja, która przypomina nam trochę rok 2023. PiS wygrało wybory, ale nie miał, z kim zrobić koalicji. Więc Koalicja Obywatelska może wygrać wybory, tylko nie będzie miała z kim zrobić koalicji i w efekcie będziemy mieli koalicję trzech formacji prawicowych. Więc w tym

sensie to jest bardziej prawdopodobne, ale na pewno nie jest przesądzone.

A wracając do systemów politycznych - który jest najlepszy?

Jestem zwolennikiem systemu zbliżonego do systemu niemieckiego, czyli tak zwanego systemu parlamentarno-gabinetowego, ale w tej wersji bardzo wyraziście wzmacniającej szefa rządu, czyli systemu kanclerskiego, w którym prezydent jest człowiekiem o bardzo słabym mandacie politycznym, bo nie pochodzi z wyborów powszechnych. Natomiast jest zarazem politykiem, który jest wybierany na przykład przez rodzaj zgromadzenia narodowego poszerzonego o przedstawicieli samorządów. Wyobraźmy sobie, że dzisiaj zgromadzenie narodowe to czterystu sześćdziesięciu posłów, stu senatorów i podwajamy to o pięćset sześćdziesiąt przedstawicieli sejmików i ta ponad tysiącso-bowa grupa wybiera trzema piątymi prezydenta. To człowiek, który musi być w efekcie postacią kompromisową, bo szansa, żeby jedna partia polityczna zdominowała tak bardzo sejmiki, Sejm i Senat, jest znikoma. Więc jest to kandydatura kompromisowa. Ten polityk konstytucyjnie nie ma istotniejszych uprawnień, nie ma prawa weta. Natomiast może być mediatorem, to znaczy z racji tego, że ma pozycję głowy państwa, a zarazem jest osobą wybraną na zasadzie kompromisu w wypadku jakichś ostrych konfliktów politycznych między opozycją a większością rządową, staje się mediatorem, prawda? Taki ustrój, moim zdaniem, miałby sens. Tylko że większość Polaków go nie chce, bo stale słyszę, jak o tym mówię, że to będzie mniej demokratyczne, bo naród nie będzie sobie wybierał głowy państwa. Rzeczywiście, w tym sensie to będzie mniej demokratyczne. Tyle tylko, że dzisiaj demokracja przedstawicielska i tak jest kulawa. Natomiast ja mówię o systemie bardziej funkcjonalnym, a nie o systemie idealnym. Ludzie wierzą, że demokracja może działać jako ustrój idealny. Nie ma ustrojów idealnych, są po prostu ustroje mniej czy bardziej funkcjonalne. W Polsce ten system, który mamy, system mieszany: ni to prezydencki, ni to parlamentarno-gabinetowy, jest coraz mniej funkcjonalny i w którymś momencie, moim zdaniem, załamie się i zostanie zastąpiony, obawiam się, że przez system prezydencki, a nie ten, o którym ja mówię.

Co Pana zdaniem może doprowadzić do takiego załamania?

Dojście do sytuacji totalnego konfliktu między prezydentem a rządem, dlatego że to wszystko coraz bardziej wzbiera. Natomiast jeszcze nie przybrało form, powiedziałbym, ostatecznych w rodzaju prezydenta, który udaje się - jak to kiedyś próbował robić de Gaulle - do jednostki wojskowej i mówi, że właściwie nie uznaje już tego rządu i wzywa armię, żeby położyła kres. To jest trochę to, co robił Piłsudski. Tylko on nie był urzędującym prezydentem. Dzisiaj mamy do czynienia z sytuacją postępującego konfliktu, możliwe są różne scenariusze. Najprostszy to weto permanentne. Prezydent w pewnym momencie powie, że uważa ten rząd za nielegalny, antypaństwowy, działający na szkodę Rzeczypospolitej i w związku z tym nie poprze żadnej ustawy. Można sobie wyobrazić takie zachowanie. To byłoby oczywiście złamanie przez prezydenta konstytucji, ale w parlamencie nie ma większości dwóch trzecich w Zgromadzeniu Narodowym, żeby prezydenta usunąć z urzędu. I mamy de facto sytuację, w której pewnie rząd uznałby wtedy, że skoro prezydent odmawia pełnienia tej roli, to się de facto sam pozbawia urzędu. I w jego miejsce wchodzi zgodnie z konstytucją marszałek Sejmu. Tyle tylko, że to jest absurdalne, bo tak naprawdę powinno się wtedy zorganizować nowe wybory prezydenckie. Ilość scenariuszy jest bardzo różna. Natomiast generalnie widzę, że system funkcjonuje mimo postępującego paraliżu. Przypominamy państwo, w którym ten paraliż nie jest gwałtowny. Tak stopniowo, miesiąc po miesiącu, rok po roku widzimy coraz większy bezwład w różnych obszarach, stan permanentnego chaosu. Więc w którymś momencie, zakładam, dojdzie do przesilenia, bo nie jest możliwe, żeby taki postępujący paraliż trwał w nieskończoność. Natomiast kiedy to będzie, jak się to odbędzie, nie mam pojęcia.

Prezydent idzie do wojskowych i każe im obalić rząd? Nie wierzę, że to się wydarzy w XXI wieku!

Wielu ludzi uważało, że nie jest możliwa pełnoskalowa wojna w Europie w XXI wieku i ma pani tą wojnę, prawda? Wierzyła pani, że taki człowiek jak Donald Trump ponownie zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych? Żyjemy w rzeczywistości coraz bardziej nieprzewidywalnej. Nie twierdę, że moje prognozy muszą się zrealizować, natomiast nie widzę powodów, dla których miałbym je uznać za wykluczone.

TO NIE KOSMICI. TO ZŁUDZENIE OPTYCZNE

Samochody na jałowym biegu i butelki toczące się pod górę, fatamorgana, obraz, na którym jedni widzą dwie czarne twarze, a inni biały wazon – to nie cuda czy działanie sił nadprzyrodzonych. To nasz mózg stara się przewidzieć, co zobaczymy za chwilę, i „dorysowuje” sobie odpowiedni obraz, bazując na własnym doświadczeniu i percepcji otaczającego świata

Dorota Kowalska

Jedni nazywają ją diabelską albo piekielną górą, inni – magiczną górką. Ale też na Górze Żar dzieje się coś, co trudno pojąć. To szczyt Beskidu Małego nad Jeziorem Międzybrodzkim, jakieś 12 kilometrów od Żywca.

Z Markiem i Julią, znajomymi znajomych, Bielszczanami, a oprócz tego miłośnikami Beskidów, spotykamy się u podnóża góry. Od 1979 roku można na nią wjechać asfaltową drogą, od 2004 roku koleją linowo-terenową z Międzybrodzia Żywieckiego, zimą działają tu dwa wyciągi i trasy narciarskie. Na szczycie góry znajduje się potężny zbiornik wodny elektrowni szczytowo-pompowej, u podnóża lotnisko szybowcowe – ale nie to, albo nie tylko to przyciąga na Górę Żar turystów.

O dziwnych zjawiskach, które dzieją się w tym miejscu, mówi się nie tylko w Polsce, ale na całym świecie – tłumaczy Marek, informatyk, który o Górze Żar wie wszystko. Maszerujemy asfaltową drogą na jej szczyt.

– Bo samochody same jadą tu pod górę, tak? – dopytuję.

– Zaraz to zobaczysz, na pewnym odcinku drogi wydaje się, że siła grawitacji działa dokładnie w przeciwnym kierunku i, rzeczywiście, butelki, różne przedmioty, także samochody same przesuwały się w stronę szczytu – wchodzi mu w słowo Julia, umysł ścisły, księgowa.

– Ludzie różnie to sobie tłumaczyli: mówiło się o anomalii magnetycznej, silnym cieku wodnym, mniejszym przyciąganiu ziemskim, byli i tacy, którzy sugerowali działanie sił nadprzyrodzonych albo kosmitów – wybuchła śmiechem Marek.

– Wszystko po to, by przyciągnąć turystów – dodaje Julia.

Powoli wspinamy się na szczyt. Ale dziwne historie, które dzieją się na Górze Żar, to jedna sprawa, bo legend związanych z tym szczytem jest więcej.

– Podobno po lasach, które okalają górę, przechadzają się

duchy górników, którzy kiedyś wydobywali ruchy żelaza w pobliskich kopalniach. Ciężko pracowali, często ginęli w tragicznych wypadkach. Ponoć teraz przemykają nocami wśród drzew, szukając spokoju – opowiada Julia.

Kolejna historia mówi o dzwonie, który jest ukryty gdzieś na zboczach Góry Żar. Miejscomi mieli zakopać go w czasie najazdów tatarskich, bali się, że ci dzwon ukradną. W ciche noce można usłyszeć jego dźwięk, tak przynajmniej głosi legenda. To, według górali z Beskidu Małego, zwiastuje nieszczęście lub zmianę pogody.

– Kiedyś tymi drogami po Górze Żar wędrowali drobni handlarze i podróżnicy. Niektórzy z nich zaginęli bez śladu, oni też gdzieś tu krążą – to Marek.

Rzeczywiście, na Górze Żar pełno kapliczek i krzyży. Mają chronić przed złymi mocami, duchami, które czają się w ciemności.

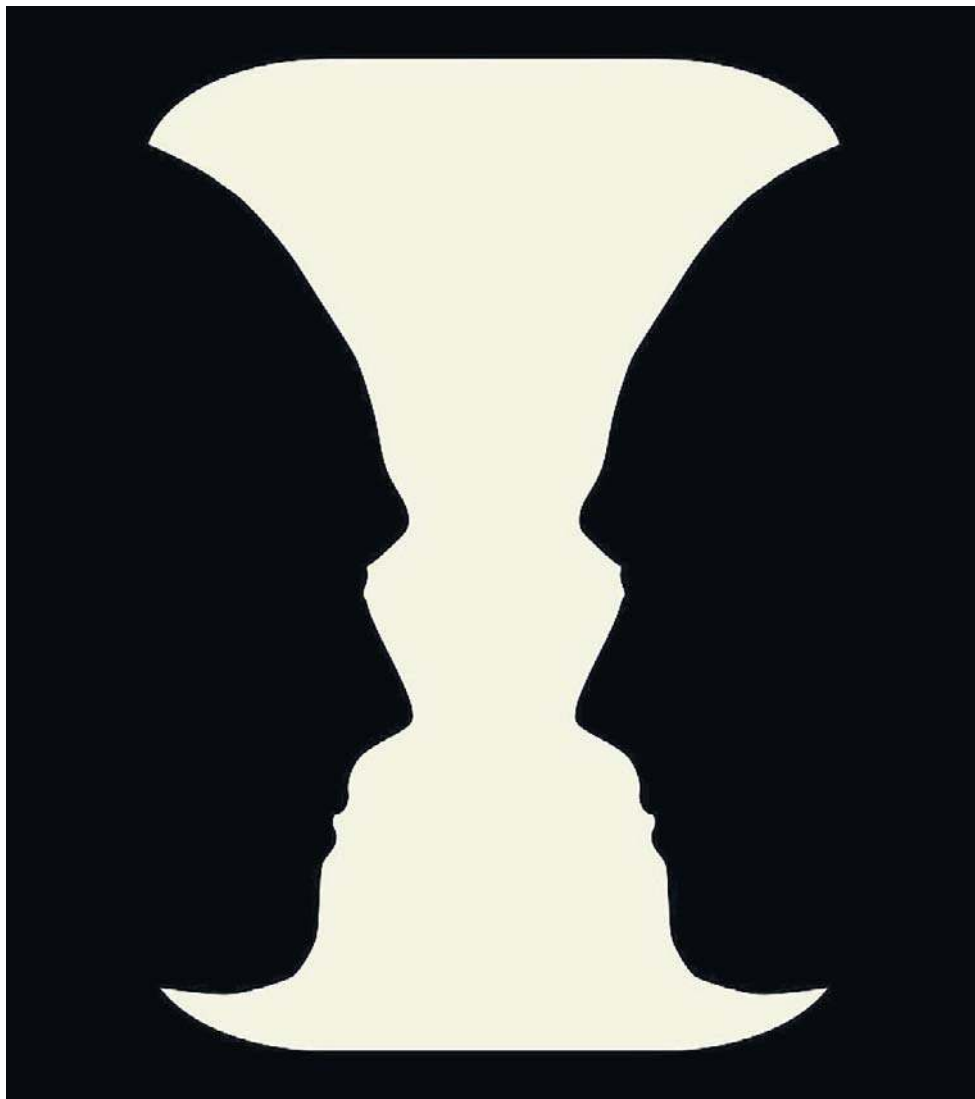
Prawdziwe czary

Idziemy w górę. W pewnym miejscu dwóch mężczyzn pokazuje coś grupce dzieci. Jeden kładzie plastikową butelkę na asfalcie i wyraźnie widać, że ta sama toczy się pod górę. Dzieciaki szeroko otwierają buzie.

– Zobaczcie teraz na samochód! – instruuje drugi z mężczyzn. Wsiada do wozu, wyłącza silnik. I znowu: samochód sam jedzie pod górę!

– Czary! – rzuca Marek.

Ludzie przez lata wierzyli, że to magiczne miejsce. Samochody nie było, że to jedynie złudzenie optyczne. Brak punktów odniesienia na horyzoncie, drzewa pochylone nieco ku ziemi sprawiają, że człowiek postrzega



Słynny rysunek psychologa Edgara Rubina z 1915 roku. Niektórzy widzą na nim dwie czarne, patrzące na siebie głowy, inni – biały wazon

drogę jako idącą pod górę, choć w rzeczywistości ta nieznacznie opada w dół.

– Nie jest to kwestia magnetyzmu wzgórza, bo przecież plastikowe butelki także toczą się tam pod górę. Nie jest to też kwestia zmiany grawitacji, choć technicznie byłoby to możliwe. To kwestia złudzenia optycznego, a wszystko zależy od tego, jak z perspektywy człowieka układa się horyzont. Dopiero precyzyjne pomiary naukowe pokazują, że widzimy go inaczej niż wygląda on w rzeczywistości – tłumaczył kilka lat temu

na antenie radiowej „Czwórki” w audycji „Stacja Nauka” Piotr Stanisławski, dziennikarz naukowy, i przekonywał, że „całe nasze widzenie jest jednym wielkim oszustwem”.

To prawda. Okazuje się zresztą, że takich magicznych gór jest w Polsce znacznie więcej. Weźmy wieś Strączno w gminie Wałcz. Jadąc stąd w kierunku Rutwicy, trafimy na kolejny diabelski szczyt. Jak na Górze Żar, woda nie spływa w dół, a płynie w górę. O tym, że dzieje się tu coś dziwnego, przekonał się już ponad 30 lat temu

pewien turysta, który upuścił butelkę z wodą i zauważył, że ta porusza się nie tak jak powinna.

Tyle tylko, że – jak zauważają naukowcy – także w tym miejscu na horyzoncie nie ma punktów odniesienia. Wydaje nam się, że droga biegnie w górę. W rzeczywistości opada w dół. Potwierdzają to pomiary przeprowadzone w tym miejscu. Wynika z nich, że szczyt wzniesienia jest w rzeczywistości położony niżej niż punkt brany za jego podnóże.

Podobnie jest w Karpaczu na ulicy Strażackiej.

„Według przeprowadzonych w tym miejscu badań istnieje strefa anomalii, w której grawitacja jest mniejsza o 4 proc.” – możemy przeczytać na stronie Karpacz.pl, oficjalnej stronie miasta.

Miasto zrobi wszystko, żeby ściągnąć turystów. Na tablicy postawionej w miejscu dziwnych „anomalii” pisze dokładnie to samo. Włodarze zachęcają kierowców, żeby zatrzymali samochód, wrzucili jałowy bieg i obserwowali, co dzieje się z pojazdem. Cuda!

Niestety, kiedy przeczytać badania naukowców z Instytutu Badań Grawitacyjnych w niemieckim Waldaschaff, wszystko wydaje się banalnie rzeczywiste. Byli w Karpaczu, robili pomiary i wyszło im, że to nic innego jak właśnie złudzenie optyczne. Po prostu – mózg, kiedy asfaltowa, wyrównana droga znajduje się na linii naszego wzroku, mylnie interpretuje to, co widzi. Tracimy punkt odniesienia i zaczynamy mylić wznoszenie z opadaniem.

I tak mamy magiczną górkę w Zubowicach w gminie Komarów w województwie lubelskim, „dziwne miejsce” na drodze w kierunku Starych Działoszyc w województwie lubuskim, piekielną górkę w Otominie niedaleko Gdańska.

Magiczne górki są zresztą nie tylko w naszym kraju. Jest góra Argac w Armenii, droga Spook Hill w Lake Wales na Florydzie czy wzgórze Electric Brae w Szkocji. Magiczne miejsca znajdują się też w Indiach, Australii i w Kanadzie.

Szybowiec na furmance

Wchodzimy dalej na Górę Żar. Miejscomi różnie tłumaczą sobie jej nazwę.

Jedni mówią, że pochodzi od słowa „żarzyć się”, bo zachody słońca są tu fascynujące; inni, że od lat wypalano na zboczach góry lasy, aby wypasać bydło, więc od zawsze było tu jasno od ognia.



Widok zbiornika na Górze Żar. W oddali widać Jezioro Żywieckie, pasmo Magurki Wilkowskiej i Hrobaczą Łąkę

W górę razem z nami ciągną inni turyści.

- Pod koniec lat 20. przez szczyt góry wytyczono zielony szlak, który prowadził od Międzybrodzia Bialskiego, przechodził przez drewniany most, wspinał się ostro w górę, potem skręcał w prawo, przecinał Żar, biegł poniżej stoku Kiczery i kierował się na przełęcz Kocierską - opowiada Marek.

I tak to się zaczęło. W 1927 roku, nieco poniżej szczytu, powstała mała stacja turystyczna. Tak naprawdę powiększono troszkę dom Magdaleny Pszczółkowskiej. Biednie było, czy raczej surowo, turyści spali na gołej ziemi. Rok później w stacji postawiono pięć łóżek, stół z krzesłami, wieszak i umywalkę. W schronisku można było zjeść ciepły posiłek. Członkowie PTT płacili za nocleg 1,50 zł, osoby niezrzeszone w PTT 2 złote. Stacja przetrwała II wojnę światową, działa w ramach PTT, potem PTTK. Nowym właścicielem domu została Franciszka Lotek, ale budynek stacji turystycznej rozebrano w latach 70., by postawić tu zbiornik elektrowni - sporą atrakcję dla turystów. Podobnie jak szybowce latające nad głowami.

- W latach 30. pasjonaci szybownictwa szukali miejsca, na którym mogliby wybudować lotnisko, i padło na Górę Żar. W 1935 roku z Lipnika przywieziono tu nawet na furmance szybowiec i ściągnięto pilota Piotra Młynarskiego, który cztery godziny latał szybowcem nad Beskidami - opowiada Julia.

Dwa lata później wystartowała tu słynna Szkoła Szybowcowa. I tak Góra Żar stała się jednym z głównych ośrodków szybownictwa w Polsce. Po wojnie szybownictwem zainteresowali się harcerze, u podnóża szczytu powstał Centralny Ośrodek Szy-

bowcowy Harcerstwa Polskiego. W czerwcu 1949 zorganizowano nawet w Beskidzie Małym Międzynarodowe Zawody Szybowcowe Państw Demokracji Ludowej. Nie wiedzieć czemu, dwa lata później zapada decyzja o zamknięciu szkoły. Ale w 1954 roku na Górę Żar znowu wróciły szybowce, lotnisko działa pod skrzydłami Ligi Przyjaciół Żołnierza.

- W latach 50. na Górze Żar pojawili się filmowcy, kręcili tu film „Pierwszy start” ze Stanisławem Mikulskim i Teresą Lipowską, potem robili tu zdjęcia do „Przygody na Mariensztacie”, latem 1990 na Górze Żar pojawili się aktorzy z filmu „Latające Maszyny kontra Pan Samochodzik” - wylicza Marek.

Dochodzimy na szczyt. Widok powala. W oddali widać Jezioro Żywieckie, pasmo Magurki Wilkowskiej i Hrobaczą Łąkę.

Mowy nie ma o złudzeniu optycznym!

Kultura i środowisko

Właśnie, wróćmy do czarów, a raczej do naszego mózgu.

Złudzenie optyczne, bo z nim mamy do czynienia w różnych magicznych miejscach na świecie, to błędna interpretacja obrazu przez mózg pod wpływem kontrastu, cieni, użycia kolorów, które automatycznie wprowadzają mózg w błędny tok myślenia.

Wszystko za sprawą opóźnienia w przetwarzaniu bodźców, które trwa około jednej dziesiątej sekundy - w tym czasie nasz mózg stara się przewidzieć, co zobaczymy za chwilę, „dorysowuje” sobie odpowiedni obraz. Bazuje przy tym na swoim własnym doświadczeniu i podstawowych zasadach percepcji otaczającego świata.

I tak mamy złudzenia deformujące kształt, wielkość i długość. Jest ich wiele, ale zatrzymajmy się przy złudzeniu Mullera-Lyera. Wyobraźmy sobie dwie linie tej samej długości zakończone strzałkami do wewnątrz lub na zewnątrz linii. Kiedy na nie spojrzymy, wydaje nam się, że linia ze strzałkami do wewnątrz jest dłuższa, ale to tylko złudzenie. Linie są dokładnie takie same.

Są złudzenia powodowane fizjologią układu wzrokowego, choćby znikanie przedmiotów spowodowane istnieniem tak zwanej plamki ślepej. Kiedy zamknijemy jedno oko, obraz widziany drugim okiem jest niekompletny.

Mamy złudzenia jasności i barwy, złudzenia percepcji, mamy figury dwuznaczne.

O co w nich chodzi? W pewnych przypadkach mózg zmuszony jest do zinterpretowania sceny czy ruchu, którego nie można postrzegać jednoznacznie. Takim przykładem może być obraz, w którym ukryte są tak naprawdę dwa obrazy. Jedni z nas zobaczą jeden, inni drugi.

I tu można przywołać słynny rysunek psychologa Edgara Rubina z 1915 roku. Podczas gdy niektórzy widzą na nim dwie czarne, patrzące na siebie głowy, inni - biały wazon.

Tak, ludzie odbierają świat różnie. Naukowcy od lat zastanawiali się, dlaczego tak się dzieje. Myśleli, że największy wpływ na to odmienne postrzeganie tego, co wokół nas mają kultura i środowisko, w którym dorastaliśmy. Najnowsze badania wskazują, że sytuacja jest dużo bardziej złożona.

Wróćmy więc do złudzenia Mullera-Lyera i jego innej iluzji, iluzji kasetonów. Na czym ona polega? Otóż obraz składa

się z serii pionowych i poziomych linii. Nasz mózg może interpretować kształty jako serie wklęsłych prostokątów, kasetonów właśnie, albo jako szesnastce kół.

Ivan Kroupin z London School of Economics przeprowadził ostatnio badanie, które wykazało, że większość badanych osób z Wielkiej Brytanii i USA widziała w tym złudzeniu prostokąty, ale już ankietowani mieszkańcy wiejskich obszarów Namibii dostrzegali w obrazie koła.

Kroupin doszedł więc do wniosku, że powodem takiego stanu rzeczy może być fakt, iż obywatele Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych żyją w zindustrializowanym świecie pełnym linii i kątów prostych - poruszają się przecież wśród biurów i bloków. Mieszkańców Namibii otacza zupełnie inna architektura, przede wszystkim chaty o okrągłych kształtach.

Badacze Dorsa Amir i Chaz Firestone, którzy analizowali złudzenie Mullera-Lyera, doszli jednak do innych wniosków, w każdym razie nie zgadzają się w pełni z Ivanem Kroupinem.

Skupili się na iluzji, o której już było - mowa o liniach prostych zakończonych strzałkami do wewnątrz i na zewnątrz. Dowiedli, że temu złudzeniu ulegają nawet zwierzęta, w tym gołębie, gupiki czy agamy brodate, ale też dzieci z wrodzoną ślepotą, którym, w wyniku operacji, przywrócono wzrok. Amir i Firestone dowiedli, że w przypadku tej iluzji żadne czynniki kulturalne ani wcześniejszy kontakt z geometrycznym otoczeniem nie miał w ogóle znaczenia.

- Trudno powiedzieć definitywnie, skąd się biorą te różnice - zauważył profesor nauk ko-

gnitywnych i neuronauk Anil Seth na łamach „The Guardian”.

Seth nie wyklucza oczywiście, że otoczenie może mieć w pewnym stopniu wpływ. Uważa jednak, że potrzeba w tym temacie więcej badań. Pracuje więc nad projektem Perception Census z grupą badawczą Uniwersytetu Sussex z profesorem Fioną Macpherson z uniwersytetu w Glasgow. Ich badanie to projekt na ogromną skalę. Naukowcy prześledzą reakcje ponad 40 tysięcy osób z ponad 100 krajów na ponad 50 eksperymentów związanych z badaniem postrzegania wizualnego.

Kwestia neuronów

Za to dzięki badaniom prowadzonym na muszkach owocówkach naukowcy z Uniwersytetu Yale odkryli podstawy neuronalne postrzegania iluzji optycznych. Okazuje się, że muchy równie łatwo ulegają złudzeniom optycznym, co ludzie.

Dzięki małym rozmiarom mózgu owadów łatwiej jest śledzić aktywność neuronów w ich układzie wzrokowym. W ramach eksperymentów badacze zaprezentowali muchom ilustracje wywołujące iluzje optyczne - statyczne koła dające złudzenie kręcenia się. Następnie obserwowali zachowanie much, aby sprawdzić, czy owady postrzegają ruch w tej iluzji optycznej.

Muchy instynktownie zwracają swoje ciała w kierunku każdego postrzeganego ruchu. Gdy przedstawiono im złudzenie optyczne, obróciły się w tym samym kierunku, co ruch, który dostrzegały we wzorze. Tak więc owady, podobnie jak ludzie, ulegają złudzeniom optycznym.

W czasie gdy prezentowano muchom owocówkom obrazy wywołujące złudzenie ruchu, naukowcy skupili się na zbadaniu i obserwacji określonych typów neuronów odpowiedzialnych za wykrywanie ruchu. Obserwacje przyniosły zamierzony efekt - odkryto, w jaki sposób odbierana jest iluzja. Aktywując lub dezaktywując te same neurony, badacze byli w stanie zmienić postrzeganie iluzorycznego ruchu przez owady. Wyłączając dwa typy neuronów wykrywających ruch, całkowicie wyeliminowano postrzeganie iluzji. Gdy wyłączono tylko jeden z badanych dwóch typów neuronów, muchy dostrzegały złudzenie ruchu w przeciwnym kierunku niż przy aktywności obu neuronów. Na podstawie tych danych naukowcy wysunuli teorię, że złudzenie optyczne jest wynikiem niewielkich zaburzeń równowagi w działaniu różnych typów detektorów ruchu. Te z kolei przyczyniają się do tego, jak muchy reagują lub nie reagują na złudzenia.

Ponieważ przetwarzanie wzrokowe u much i ludzi jest podobne, naukowcy zdecydo-

wali się na przeprowadzenie podobnego eksperymentu na ludziach. Poproszono 11 chętnych, aby opowiedzieli, co widzą na prezentowanych ilustracjach. Zaprezentowano im statyczne obrazy, które wywoływały iluzję poruszania się. Ludzki układ wzrokowy jest bardziej skomplikowany od układu wzrokowego owadów, ale obserwacje potwierdziły, że mechanizm odpowiadający za widzenie iluzji ruchu jest podobny.

- Ostatni wspólny przodek much i ludzi żył pół miliarda lat temu, ale oba gatunki rozwinęły podobne strategie postrzegania ruchu - skomentował prof. Damon Clark z Uniwersytetu Yale. - Zrozumienie tych wspólnych strategii może pomóc nam w pełniejszym zrozumieniu ludzkiego układu wzrokowego - dodał.

Zjawiska i przesady

Schodzimy w dół. W miejscu, w którym na Górze Żar samochody same jadą na szczyt, ktoś znowu kręci filmik telefonem komórkowym. Ale tak naprawdę złudzeń optycznych natura funduje nam znacznie więcej. Kiedy gorące powietrze tuż nad powierzchnią ziemi, zwłaszcza na pustyniach, odbija światło, może nam się wydawać, że widzimy nie piasek, a wodę. Czasami promienie światła załamują się w warstwach powietrza o różnej temperaturze i gęstości. Wówczas dostrzegamy w oddali pozorne, zniekształcone obrazy, choćby statki albo oazy. To fotomorgana.

- No i w górach, skoro w nich jesteśmy, mamy zjawisko Brockenu - zauważa Julia.

- A co to takiego? - dopytuje.

- Mówi się też o nim widmo Brockenu albo mami dło górskie. Musisz stać między słońcem, które będzie za tobą, a warstwą chmur lub mgły, która znajduje się niżej, przed tobą. Promienie słoneczne rzucają wtedy twój cień na chmury. Wydaje się ogromny i często otoczony barwnymi pierścieniami zwany glorią, która powstaje w wyniku załamania i rozproszenia światła na kropkach wody w chmurach - tłumaczy Julia.

To zjawisko po raz pierwszy opisał w 1780 roku Johann Esaias Silberschlag, niemiecki przyrodnik i pastor. Zaobserwował je na najwyższym szczycie Gór Harzu - Brockenie. Tajemnicza góra, czarownice miały tu organizować swoje sabbaty - w „Fauście” wspominał o niej Goethe.

Wśród tatarników istnieje przesąd, że człowiek, który zobaczył widmo Brockenu, umrze w górach, ale jeśli zobaczy je po raz trzeci, urok zostanie odczarowany. Na szczęście mami dło górskie można zaobserwować w górach wysokich, a my jesteśmy w Beskidach. Uff.

BARBARA KURDEJ-SZATAN: AKTORSTWO SPRAWIA, ŻE MOGĘ INACZEJ SPOJRZEĆ NA ŚWIAT I LUDZI

Po nieco trudniejszym okresie w karierze Barbara Kurdej-Szatan znów często gości w naszych domach na małym ekranie. Nie odpuszcza również teatru i ostatnio zagrała aż w trzech nowych spektaklach. Nam aktorka opowiedziała o swym pierwszym spotkaniu na scenie z...
rodzoną siostrą

Parwel Gzyl

W zeszłym roku „Szpital św. Anny” zdobył prestiżową nagrodę Telekamery. Jak trafiłaś do tego serialu?

Po prostu zostałam zaproszona przez TVN. Szukano aktorki do roli Ilony Soboń i agentka zadzwoniła do mnie, że jest propozycja zagrania w serialu, który jest kręcony w Krakowie i czy chciałabym tam jeździć na zdjęcia. A dla mnie, ponieważ gram w tamtejszym Teatrze Variete od dziesięciu lat, te podróże nie są straszne, więc się zgodziłam. Ilona Soboń to nowa postać, na razie miałam zaledwie kilka dni zdjęciowych. Zobaczymy, jak to się rozwinie. Mam nadzieję, że scenarzyści stworzą dla tej postaci jakieś ciekawe historie.

Wcielasz się w piękną bizneswoman, która „udowadnia, że sukces w biznesie i empatia mogą iść w parze”. To wdzięczna postać do zagrania?

Zdecydowanie. Ja też pozostałam tą samą dziewczyną z Opola i wszelka popularność czy to, że stałam się osobą publiczną, w ogóle mnie nie zmieniły. Podobnie jest z Iloną, która jest menedżerką kliniki medycyny estetycznej, ale nadal ważne są dla niej te wartości, które wpojono jej za dzieciaka. Kiedy spotyka koleżankę Martę ze szkoły z dawnej swej miejscowości, to nie zachowuje się wyniośle, tylko cieszy się, że ją widzi i jest jej pomocna.

Trudno jest wejść w tak popularny serial w trakcie jego trwania - jak ty w trzecim sezonie?

Mam tam swój wątek, więc skupiam się na razie na nim. Ponieważ w tytułowym szpitalu jeszcze mnie nie było, losy mojej bohaterki nie łączą się ściśle z tamtejszymi po-

staciami. Na razie po prostu gram swoje.

Po dwóch sezonach „Szpitala św. Anny” na planie była już pewnie zgrana ekipa. Jak cię przyjęło?

Bardzo fajnie. Pracuję tam świetni ludzie. Zarówno aktorzy, jak i cały pion techniczny czy charakterystyczny. Dlatego na planie jest bardzo przyjemnie, panuje tam dobra atmosfera.

Jak wspominałaś, dzięki „Szpitalowi św. Anny” jeszcze częściej bywasz w Krakowie. Czujesz się tu teraz trochę jak u siebie w domu?

Tak. Kocham Kraków, cieszę się, że mogę tam wracać i bywać regularnie. Z teatru akurat blisko jest na Kazimierz, więc czasem tam odpoczyłam. Ostatnio moim ulubionym miejscem jest restauracja Woosabi z azjatyckim menu. Generalnie jednak po prostu idę tam, gdzie mam akurat ochotę coś zjeść czy czegoś się napić.

Od początku występujesz z kolei w serialu „Zaraz wracam” w TVP. Recepcjonistka Ewa to zupełnie inna postać niż Ilona Soboń. Jak się odnajdujesz w tej roli?

Ewa jest delikatną romantyczką z małej miejscowości. Ubiera się trochę jak Ania z Zielonego Wzgórza. (Śmiech) Ma łukową fryzurę, nosi kwieciste stroje. Zaliczyła już ciężkie przejścia emocjonalne: uwikłała się w romans z ubóstwianym przez siebie pisarzem, który najpierw rozkochał ją w sobie, potem zmusił, aby usunęła ciążę, a teraz okazał się tyranem.

Początkowo w postać tę wcielał się Piotr Nowakowski, który niespodziewanie zmarł we wrześniu ubiegłego roku. Trudno było ci się prze-

stawić na pracę z innym aktorem?

Początkowo postać Marka Bielskiego miała nie istnieć w drugim sezonie „Zaraz wracam”. Po prostu miał zostawić moją bohaterkę i ulotnić się. Produkcja zdecydowała jednak, że stanie się inaczej. Początkowo miałam mieszane uczucia. Reżyser jednak wytłumaczył mi to – że zmarł nasz kolega z planu, a postać w serialu może dalej funkcjonować. Nieraz się przecież tak dzieje, że danego bohatera grają czasem różni aktorzy. I okazało się, że to bardzo dobra decyzja. Szukano szeroko, wielu moich kolegów wzięło udział w castingu na tę rolę. Ostatecznie wybrano Pawła Ciołkosza, który jest genialnym aktorem. Idealnie odgrywa przemocowego narcyza. I teraz wątek ten został rozbudowany, dużo się wokół niego dzieje. Jest bardzo emocjonalnie i dynamicznie. A ja trochę podchodzę do tego, jakbym miała do czynienia z inną postacią. Bo jest inny aktor i inna energia. Mam nadzieję, że widzowie to zaakceptowali i dobrze im się nas ogląda.

„Zaraz wracam” daje ci możliwość zagrania skrajnie odmiennych emocji. Lubisz takie role?

Zdecydowanie. Na tym polega nasz zawód, żeby szukać w sobie różnych uczuć i mieć do zagrania postaci w różnych kolorach. Tak właśnie dzieje się z Ewą – ta delikatna i romantyczna dziewczyna musiała nagle spoważnieć i dorosnąć. Wcześniej chodziła z głową w chmurach i była naiwna, ale los kazał jej stanąć mocno na ziemi. Życie ją przeskoliło i doświadczyło, w efekcie czego postać ta nabrała trochę innych barw. I to jest dla mnie bardzo ciekawe.

Media od pierwszego sezonu pisały, że Ewa z miejsca „skradła serca widzów”. Jak to się robi?

Nie wiem. (Śmiech) Dla mnie każda rola jest bardzo ważna i w każdą postać wcielam się najmocniej jak mogę. Początkowo miałam dużo scen z Dawidem Dziarkowskim i prowadziliśmy ten nasz wątek trochę komediowo. Bardzo dobrze się to grało. Potem doszły trudniejsze emocje i wciąż wcielam się w postać Ewy z wielką przyjemnością. Na tym to chyba polega – trzeba się zaprzyjaźnić ze swoim bohaterem i wtedy naturalnie wkłada się w jego zagranie dużo serca. A widzowie to doceniają.

Realizacja takiego serialu jak „Zaraz wracam” wymaga od ciebie na pewno systematycznego i częstego pojawiania się na planie. Jak sobie z tym radzisz?

W tym serialu jest bardzo dużo wątków, więc nie muszę być codziennie na planie. W sumie to zaledwie kilka dni w miesiącu. To nie jest więc wcale męczące. Bardziej mogą na to narzekać członkowie ekipy technicznej, bo to dla nich codzienna praca od rana do wieczora. Tymczasem aktorzy nieustannie się wymieniają. Ostatnio choćby dołączyła Małgosia Pieczyńska, wcielając się w postać prawdziwej żony, dzięki czemu może wyżyć się aktorsko po swoich wcześniejszych rolach. Jest więc super. Serial jest wspaniały i mam nadzieję, że TVP zdecyduje, że powstanie czwarty sezon. Bo póki co nie mamy takiej informacji.

Wielu widzów pamięta cię jeszcze jako Joannę Chodakowską z „M jak miłość”. Grałaś tę postać aż siedem lat. Teoretycznie mogłabyś wrócić do tej telenoweli. Chciałabyś?

Nie było takiego tematu, ani z mojej strony, ani ze strony produkcji. Nie ma więc o czym mówić. Teraz jestem skupiona na „Zaraz wracam” i na razie gościnnie na „Szpitalu św. Anny”.

Choć przez pewien czas było cię mniej w telewizji, stale występujesz w teatrze. Kiedyś powiedziałaś: „Scena daje mi siłę i jest też formą terapii”. Na czym to polega?

Choć czasem dzieje się w moim życiu coś złego, kiedy wchodzę na scenę, zbieram się w sobie i oddaję się swej roli na tysiąc procent. I to, że pomimo różnych przeciwności losu, zawsze miałam i mam w sobie siłę, aby wyjść na scenę i zagrać na te tysiąc procent, uświadamia mi, że mam też taką siłę do życia. Poza tym, będąc na scenie, głową jestem zupełnie gdzie indziej. Wchodzę w inne światy i w inne życia. To jest też terapeutyczne. Mogę nagle z innej perspektywy spojrzeć na świat i na ludzi. To daje dystans do własnych problemów.

Grasz na różnych scenach i w różnych miastach. Nie brakuje ci stałej bazy w postaci etatu w jednym teatrze?

Nie. Liznęłam tego i wiem, jak to jest być na etacie. Było wspaniale, ale teraz cieszę się z wolności, jaką daję bycie freelancerem. Lubię grać w różnych miejscach i z różnymi ludźmi. Wtedy praca jest dynamiczna, dużo się dzieje, stykam się z wieloma zespołami artystycznymi. Bardzo mi odpowiada taka zmienność energii i to, że sama sobie pilnuję kalendarza.

Twoim sztandarowym spektaklem był w ostatnich latach „Kalina nie chce spać” w stołecznym Teatrze Komedia. Odnajdujesz siebie i swoje

doświadczenia w postaci Kaliny Jędrusik?

Tak. Przede wszystkim, jeśli chodzi o próby zasznuflowania mnie czy o opinie ze strony ludzi, którzy mnie kompletnie nie znają. Kalina się z tym bardzo zmagала i ja też mam podobne problemy. Ona była niesamowicie zdolną artystką, pełną talentu, seksapilu i wdzięku. Kochała śpiewać – a nigdy nie nagrała swojej płyty, bo była zależna od innych. Tak to jest z aktorami i aktorkami. Często jesteśmy zależni od innych i poddajemy się temu. Historia Kaliny uczy mnie, że warto o siebie zawalczyć.

I jak to robisz?

Razem z moją siostrą Kasią Kurdej-Manią zrobiliśmy spektakl „Ina. Wolisz, kiedy się śmieje”, inspirowany życiem polskiej przedwojennej aktorki Iny Benity.

Co cię zafascynowało w tej postaci?

Jej tajemnica. Ina Benita była w Polsce wielką gwiazdą kina przed wojną. Grała w popularnych filmach, pojawiała się na okładce magazynu „Kino”, jej kariera rozwijała się fenomenalnie. Wszystko to przerwała wojna. Brała udział w powstaniu warszawskim i wszyscy myśleli, że zginęła w kanałach. Dopiero siedem lat temu okazało się, że uciekła na Zachód i dożyła późnej starości w USA. Wtedy też jej rodzina, którą założyła z oceanem, dowiedziała się, że ich mama i babcia była niegdyś w Polsce wielką gwiazdą kina. Fakt, że zachowała to kolorowe i szczęśliwe życie sprzed wojny tylko dla siebie i zabrała je ze sobą do grobu, jest niesamowicie smutny, ale też intrygujący i fascynujący. Postanowiliśmy więc z siostrą przypomnieć tej historii i tę postać. Bo nawet ludzie z branży nie mają pojęcia,

kim była Ina Benita. Chcemy przywrócić jej pamięć, bo była niesamowicie zdolną i pełną wdzięku artystką.

Twoja siostra jest też aktorką, związaną na stałe z Teatrem Muzycznym w Gdyni. To chyba pierwszy raz, kiedy razem wystąpiliście na scenie?

Tak. To nasza pierwsza wspólna praca i przyznam, że to było wspaniałe siostrzane spotkanie. Całą swoją drogę artystyczną od dziecka tak naprawdę goniłam Kasię. Ona jest pięć lat starsza ode mnie, więc była pierwsza w dziecięcym chórze Legenda w Opolu, potem w Studiu Piosenki, później wyjechała do Gdyni. Ja też pojechałam po maturze najpierw do Gdyni, byłam tam rok w szkole musicalowej, dopiero potem przeniosłam się do Krakowa, aby studiować w Akademii Teatralnej. Wtedy nasze drogi się rozeszły. Kasia do tej pory pracuje na etacie w Gdyni, a ja poszłam trochę w inną stronę. Dlatego nigdy nie występowałyśmy na scenie razem. Aż w zeszłym roku przygotowaliśmy spektakl „Ina. Wolisz, kiedy się śmieję”.

I jak było?

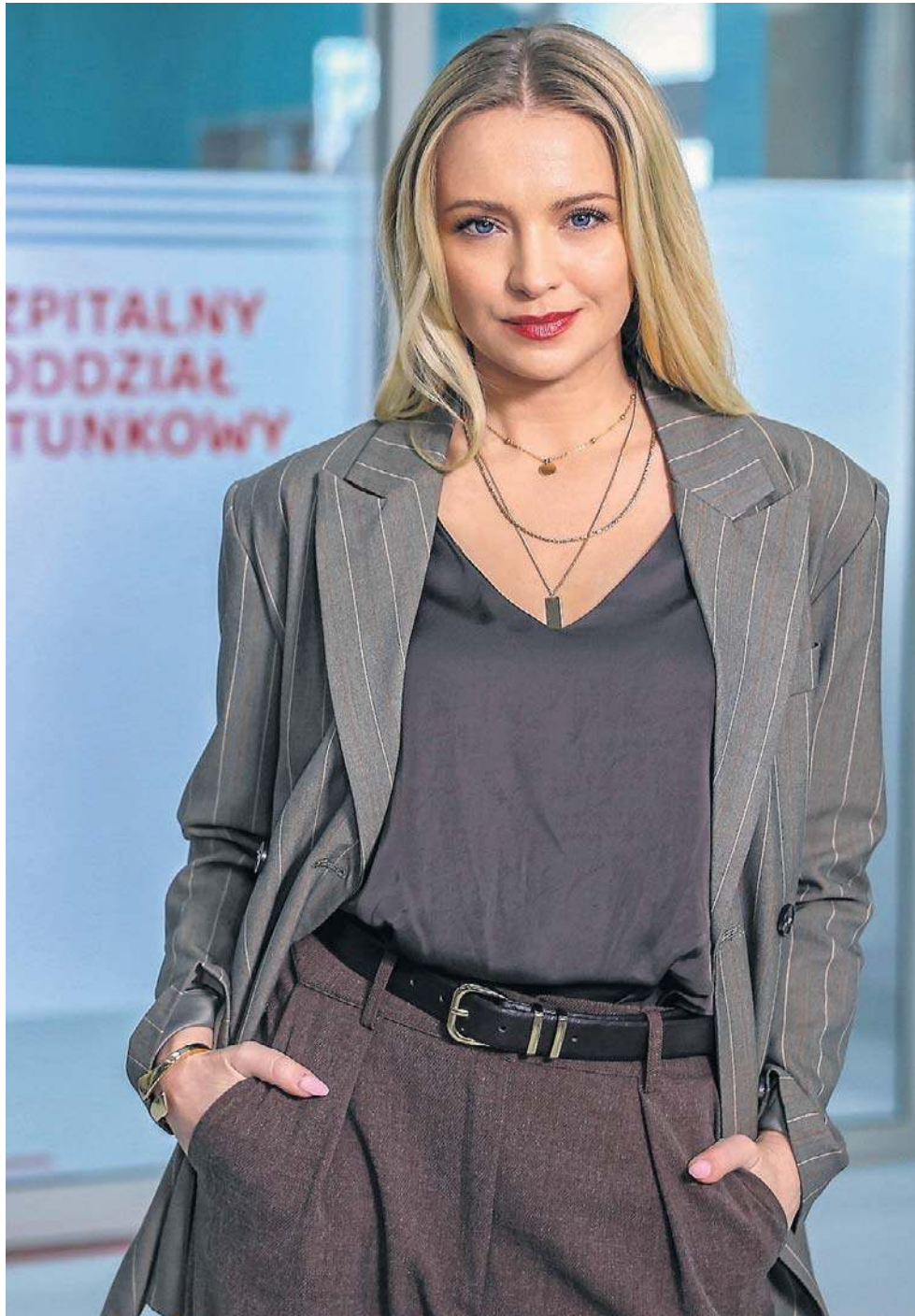
Świetnie. Za sprawą tego, że jesteśmy siostrami i nasza droga rozwoju była taka podobna, mamy takie samo tempo pracy, tak samo łąpiemy różne rzeczy, podobnie myślimy. Oczywiście podczas prób były silne emocje na scenie i poza nią. Tym bardziej, że nasza reżyserka, Kasia Grabińska, też jest mocną osobowością. Kiedy więc spotykałyśmy się, czasem było burzliwie. Ale generalnie pracowało nam się wspaniale. Zrealizowałyśmy wspólnie ten spektakl i jesteśmy z niego bardzo dumne. Na razie gramy go w Gdyni, ale niebawem będzie warszawska premiera w Garnizonie Sztuki u Grażyny Wolszczak w dniach 6 i 7 czerwca. Potem chętnie wyruszyłybyśmy z nim w Polskę.

Jak się odnalazłaś w roli producentki teatralnej?

To zupełnie nowe doświadczenie. Do tej pory pracowałam w teatrze i w filmie tylko jako aktorka i poza swoją rolą, niczym nie musiałam się martwić. Teraz jestem też producentką spektaklu i muszę zadbać o jego promocję i sprzedaż. To cholernie trudne, ale nie poddaję się i powoli uczę się tego.

Losy Iny Benity stały się w tym spektaklu dla ciebie z siostrą ciekawym pretekstem do zamiany ról. Spojrzaliście dzięki temu trochę inaczej na siebie?

Zależało nam przede wszystkim, aby to publiczność mo-



Barbara Kurdej-Szatan: Dla mnie każda rola jest bardzo ważna i w każdą postać wcielam się najmocniej jak mogę

gła spojrzeć na nas obie z dystansem. Ale też generalnie na kobiety i na aktorki. Ten zabieg z zamianą ról sprawia, że widzowie muszą się skupić, aby pamiętać, że ta jest tą, a ta jest tamtą. To wymyśliła nasza reżyserka i na początku miałyśmy co do tego pomysłu dosyć mieszane uczucia. Ale okazało się, że to bardzo ciekawe. Pokazujemy bowiem dwie aktorki, które są siostrami i funkcjonują w dwóch różnych światach. Ja gram tę, która jest aktorką tylko teatralną, pracuje wyłączone na etacie, jest uwiązana terminowo. A moja siostra gra tę, która robi karierę, pracuje w telewizji, dobrze zarabia, ma kasę na różne rzeczy i jest jej dużo łatwiej. Zróżnicowałyśmy to w ten sposób, żeby była odpowiednia dramaturgia, ale też po to, aby można było połączyć obie te postaci. Dzięki temu pokazujemy również jak wygląda siostrzana relacja między nimi: że wkrada się mi-

dzy nie brak zaufania do siebie, przez co nabiera ona toksycznego charakteru. Pojawia się wtedy pytanie: czy rywalizując o jedną rolę, będą potrafiły porozumieć się ze sobą? Mamy więc w tym spektaklu kilka warstw.

Nie obawiałaś, że za bardzo odsłaniasz się z siostrą w tym spektaklu?

Nie. Spektakl jest tak zrealizowany, że wszystko jest ze smakiem i w punkt.

W Teatrze Roma śpiewasz i tańczysz z kolei w „Aniołkach Mussoliniego”. O waszym trio Dziennik Teatralny napisał: „Są perfekcyjne wokalnie, choreograficznie i aktorsko”. Cieszą cię takie recenzje?

Tak. To bardzo miłe i budujące. Słyszymy same słowa uznania od krytyków i ludzi z branży, ale też od widzów. A praca nad tym spektaklem była bardzo intensywna i emocjonalna. Najpierw mia-

łam premierę „Iny” w Gdyni i od razu stamtąd przyjechałam do Warszawy, gdzie były już próby nad „Aniołkami”. Wskoczyłam więc w nie w trakcie, co nie jest łatwe. A potem jeszcze pojawiła się rola w farsie „Genialny pomysł” w Teatrze Capitol. Pomyslałam więc: „Dobra, po tych dwóch wymagających spektaklach, to będzie dla mnie mały pikus”. Tymczasem okazało się, że farsa, jeśli chodzi o podawanie tekstu, musi być tak precyzyjna, że wcale nie było to takie łatwe. Jak sobie potem sprawdziłam, w zeszłym roku od 1 sierpnia do Wigilii, nie miałam ani jednego dnia wolnego i co dzień byłam na jakiejś próbie. Ale zrobiłam trzy premiery w teatrze, z czego „Ina” i „Aniołki” są dla mnie bardzo ważne.

Dzięki tym spektaklom możesz sobie też pośpiewać. To prawda. Kocham śpiewać od dziecka i cieszę się, że mogę w teatrach muzycznych

realizować trzy swoje pasje: do aktorstwa, śpiewu i tańca.

Szkoda trochę, że w kinie nie ma dla ciebie takich ciekawych ról jak w teatrze. Brakuje ci tego?

Bardzo. No ale cóż: polski świat kinowy obsadza po warunkach. Od dawna marzę o roli w jakimś filmie kostiumowym czy muzycznym. Kiedyś powstawało w Polsce bardzo dużo tego rodzaju produkcji, gdzie można było zaśpiewać i zatańczyć. Teraz już tego nie ma. Mnie bardzo brakuje takiego kina. Marzę z moim mężem Rafałem o zrealizowaniu filmu muzycznego. Gadamy o tym i gadamy - i ostatnio uświadomiłam sobie, że za chwilę będę już za stara, aby zagrać w czymś takim. (Śmiech) Musimy się więc zmobilizować.

W tym roku mija dziesięć lat od premiery „Legalnej blondynki” w Teatrze Variete w Krakowie, gdzie wystąpiłaś po raz pierwszy i ostatni wspólnie z Rafałem. Chciałabyś znów zagrać razem z nim w czymś nowym?

Bardzo. Rafał ostatnio bardzo dużo gra i to same główne role w musicalach. Jest Jezusem w „Jesús Christ Superstar”, Bestią w „Pięknej i Bestii” oraz Edwardem w „Pretty Woman”. Teraz robi kolejny spektakl w Toruniu. Dlatego myślimy też o jakimś wspólnym spektaklu muzycznym. Przetarłam szlaki z moją siostrą, mam już swoją pierwszą produkcję teatralną, może więc teraz kolej zrobić coś z mężem.

Oboje z Rafałem robicie aktorskie kariery - ty bardziej w teatrze i telewizji, on w musicalu. Rywalizujecie trochę ze sobą?

Kompletnie nie. Raczej wspieramy się mocno, kibicujemy sobie, trzymamy kciuki za siebie wzajemnie, doradzamy sobie. I teraz te dziesięć lat po „Legalnej blondynie” znów zachciało się nam ze sobą popracować. Bo przecież poznaliśmy się też w pracy - w Gliwicach podczas prób do musicalu „Hair”. Bardzo bym więc tego chciała, trzeba teraz tylko znaleźć na to czas i dobry tekst.

Pomagacie sobie nawzajem w przygotowaniach do roli czy każde woli pracować samemu?

Tak mało mamy czasu dla siebie, że kiedy spotykamy się w domu po pracy, to skupiamy się na sobie i na dzieciach. Gdybyśmy jeszcze po godzinach mieli dyskutować o swych rolach, to chyba byśmy zwariowali. Ale jeśli ktoś z nas potrzebuje pomocy, to zawsze oboje chętnie pomagamy.

Jesteście ze sobą piętnaście lat i pewnie jak każde małżeństwo przeżyliście niejednego trudny moment. Jak sobie z nimi radzicie?

Chyba po prostu się kochamy. Mamy też wspaniałe dzieci. Jesteśmy z dobrych rodzin, które się kochały, wpojono więc nam dobre wartości i wiemy, jak są one ważne. Uwielbiamy spędzać razem czas. Kiedy po intensywnym okresie zawodowym wsiedamy do auta z dziećmi i jedziemy na jakąś wyprawę, to jesteśmy bardzo szczęśliwi. To najpiękniejsze momenty naszego życia. Choć czasem się sprzeczamy czy kłócimy, to wiemy, że musimy dbać o naszą rodzinę.

Ostatnio, kiedy rozmawialiśmy, wasza córka Hania interesowała się akrobatyką. Co się zmieniło?

Zmieniło się. (Śmiech) Od czwartego roku życia Hania chodziła do szkoły musicalowej. Rozwijała się aktorsko, wokalnie i tanecznie, ale grupowo. A teraz po tych dziewięciu latach zapragnęła wkręcić się w zbuntowany taniec - hip-hop. Ma obecnie czternaście lat, więc wszystko się zgadza. Idzie jej świetnie, nawet brała udział w duecie z koleżanką w kilku konkursach. Do tego zaczęła chodzić na lekcje śpiewu, żeby się skupić na indywidualnym rozwoju.

Czyli pójdzie w wasze ślady?

Ważne, żeby się rozwijała. Jak będzie miała warsztat, to będzie potem mogła sobie wybierać, co chce robić.

Henio też śpiewa i tańczy?

Henio ma świetny słuch i dobrze śpiewa. Ma jednak dopiero pięć i pół roku, więc nie chodzi jeszcze na dodatkowe zajęcia. Ale ma muzyczny talent. Widzimy to po nim. Dlatego pewnie niebawem zapiszemy go na coś.

Przeprowadziliście się niedawno z domu pod Warszawą do apartamentu w centrum. Wolisz pęd wielkiego miasta?

To już cztery lata! Ja się wychowałam w mieście na blokowisku w Opolu, lubię więc żyć w dużym mieście. Mam tu pod domem piekarnię, włoską restaurację, weterynarza, wszystkie sklepy. W Kaputach było cudownie, ale to nie był dom stojący osobno wśród drzew, tylko całe osiedle domków jednorodzinnych, więc wcale nie mieliśmy tam jakiejś intymności. Teraz mamy mieszkanie z tarasem i pięknym widokiem - i jest to moje wymarzone miejsce do życia. Na wieś możemy sobie zawsze pojechać do rodziców, którzy mieszkają obecnie na naszej ziemi z dziada pradziada. Tam jest las, czyste powietrze i pełna intymność.

KATARZYNA GROCHOLA: JUDYTA SIĘ ZESTARZAŁA. ALE TO NIE ZNACZY, ŻE ZDZIADZIAŁA

– Po sześćdziesiątce kocha się przyjemniej, bo człowiek nie jest już taki głupi. Dzisiaj wiem: albo racja, albo związek. To dotyczy wszystkich moich relacji. Z córką, z wnukami, z mężem. Ze wszystkimi – mówi Katarzyna Grochola

Anita Czapryn

Kiedy ostatnio pomyślała pani sobie: „A właśnie, że tak!”?

Robię to z pewną konsekwencją od lat.

W najnowszej pani książce „Właśnie, że tak! Nigdy w życiu! 20 lat później” wraca Judyta, bohaterka, którą pokochały miliony kobiet. Bała się pani tego powrotu?

Nie. Zupełnie nie. W ogóle już nie zmuszam się do robienia rzeczy, których nie chcę robić. Po prostu pomyślałam, że jeśli ona wróci, to wróci. I wtedy będę wiedziała, co zapisać.

Kogo pani spotkała, pisząc tę książkę: Judytę czy dawną siebie?

Myślę, że nie tylko dawną siebie, ale też siebie terażniejszą. Spotkałam też mnóstwo sytuacji, które dotyczą nas wszystkich. Wydaje mi się, że niektóre rzeczy, które przydarzają się Judycie, są tak zwyczajne, tak powszednie, że właśnie w nich warto szukać czegoś dobrego.

„Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”. O te powszednie rzeczy też powinniśmy się modlić?

Bardzo. Najbardziej o te powszednie.

Przeczytałam pani książkę i pomyślałam: Judyta się nie zestarzała. Jak ona to robi?

Judyta się zestarzała. Ale mam nadzieję, że nie zestarzała się w moich oczach. To, że ma więcej lat, a nawet dużo więcej niż „nieco”, nie znaczy przecież, że zdziadziała albo siedzi na werandzie i wyłącznie robi swetry z włóczki. Czego ja, nawiasem mówiąc, bardzo zazdroszczę tym, którzy to robią. Mam kuzynkę, która tak spędza emeryturę i to jest cudowne, bo robi naprawdę przepiękne rzeczy. Ale Judyta dalej idzie przez życie z pewną odwagą. Zupełnie jak jej autorka, Grochola.

Wyobraźmy sobie taką scenę: siedzi pani w kuchni, wchodzi



Katarzyna Grochola: Warto budzić się każdego dnia z wdzięcznością za to, co się stało. I z nadzieją, że dziś będzie wspaniały dzień

Judyta, siada przy stole, na przeciwko pani i pyta: „Kasiu, no to co myśmy przez te dwadzieścia lat zrozumieli?” Co by jej pani odpowiedziała? Że prawie wszystko już zrozumieliśmy. Ale jeszcze nieco zostało nam do zrozumienia. Poza tym zrozumienie nie wyklucza popełniania tych samych błędów. Judyta jest mądra, jeśli chodzi o innych, a trochę mniej – nie chcę powiedzieć, że mniej mądra, może bardziej zapominalska – jeśli chodzi o własne sprawy.

Co Judyta już umie, a czego nadal nie umie? Osobiście mam wrażenie, że nadal nie potrafi nie wkręcać się w sprawy córki.

Tak. Ona wie, że jej wyobrażenia pracuje na pełnych obrotach i że to nie zawsze dobrze jej robi. Wyciąga niewłaściwe wnioski już po paru zdaniach. Jest jak błyskawica: zanim coś się wyjaśni, ona ma już swoją teorię. I chyba tak działa, nie chcę powiedzieć, że jak pistolet automatyczny, ale ona najpierw działa, opanowuje sytuację, wydaje jej się, że wszystko jest ogarnięte, a potem wyciąga wnioski. Które często okazują się kompletnie niesłuszne.

Ponad dwadzieścia lat temu książką „Nigdy w życiu!” dała pani kobietom prawo do niedoskonałości. I Judyta nadal z tego prawa korzysta?

Tak. I myślę, że to jest jej wielka siła. Ona nie jest bez wad. Może się mylić i nic nie szkodzi, że się myli. Jesteśmy tylko ludźmi. A jednocześnie Judyta w dalszym ciągu szuka dobrych rzeczy we Wszechświecie i doświadczeniach w swoim życiu. Jest otoczona przyjaciółmi, rodziną i tym, co naprawdę ważne. Proszę zauważyć, że w mojej książce prawie nie ma mediów społecznościowych i telefonów komórkowych. Komputer pojawia się właściwie jako maszyna do pisania.

Nie ma też portali randkowych. Jest za to zwykłe, tradycyjne biuro matrymonialne. Mam wrażenie, że część ludzi nadal tęskni za takim sposobem po-

znawania się, bardziej ludzkim, mniej algorytmicznym. Wiem, że na Zachodzie, w czasie największego wzmożenia portalami randkowymi, zaczęły powstawać takie miejsca i cieszyły się powodzeniem. Nie wiem, jak jest dzisiaj w Polsce, bo tego nie sprawdzałam, ale myślę, że część ludzi tęskni za osobistym spotkaniem. Za tym, żeby kogoś zobaczyć, sprawdzić, z kim naprawdę ma się do czynienia. A nie tylko lecieć za błękitną poświatą, nie wiedząc w ogóle, co jest po drugiej stronie. Miałam kiedyś koleżankę, która bardzo dawno temu zabawiła się udawaniem mężczyzny w internecie. Była niezwykle zadowolona, że spędza czas z jakimiś kobietami,

odciągając je od mężów. To dużo łatwiej przychodzi kobietom, bo my znamy swoje potrzeby i wiemy, gdzie mamy braki. Pamiętam, że pomyślałam wtedy: to jest straszne świństwo. Takie robienie zła na świecie po nic. I ja się na to nie godzę.

Lubię pani książki także za to, że jest w nich konkret życia. Nie pisze pani z wydumania, tylko z doświadczenia. Pracowała pani przecież kiedyś w biurze matrymonialnym. Tyle że było to bardzo dawno temu.

Tak, ale postanowiłam przenieść tamtą dawną energię do dzisiejszego świata. Nie wiem, na ile mi się to udało, ale mam wrażenie, że świat wirtualny nie powinien być zastępstwem naszego świata. Bardzo podziwiam osoby, które znają się na sztucznej inteligencji, komputerach, grają po dwadzieścia cztery godziny w jakieś gry i zdobywają nagrody, bo są podobno takie zawody. Ale jednak myślę, że wszyscy coś tracimy, kiedy posługujemy się krótkim SMS-em, zamiast sprawdzić, czy ktoś ma co jeść.

Na ile biuro matrymonialne z pani najnowszej książki różni się od tego, które zna pani sprzed lat?

Jest bardzo podobne. To biuro w starym mieszkaniu, ze starymi meblami. Nie ma tam nowoczesności, plastiku, przezroczystości, tej współczesnej sterylności, która czasem zabija ducha, którego wszyscy w sobie mamy. Ja bardzo często mam tak, że wchodzę do jakiegoś mieszkania i od razu czuję się jak w domu. A wchodzę do innego i czuję się jak na wystawie Ikea albo innego, droższego sklepu. Jednak wolę być zapraszana do domu, a nie do mieszkania.

W najnowszej książce wnuczka Judyty nosi to samo imię co pani wnuczka.

Bo ona tego zażądała. Zapytałam ją, czy mogę użyć pewnej sceny, która jest autentyczna i dotyczy naszego życia. Zapytałam porządnie: czy mogę? Wanda powiedziała: „No mo-żesz, babciu, ale przecież ona ma zupełnie inaczej na imię niż ja. A ja tak nie chcę”. Więc po raz pierwszy w życiu zrobi-łam coś takiego, że wpuściłam do książki prawdziwą osobę. Tosia też była wzorowana na mojej córce i mogła przecież w „Nigdy w życiu!” nazywać się Dorota. A jednak to, że była wzorowana na zachowaniach mojej córki, nie upoważniało mnie do nadania jej prawdziwego imienia.

Dopowiedzmy, o jaką scenę chodzi. Wnuczka weszła do kuchni i zażądała, że potrzebuje dorosłej osoby. Pani się zgłosiła, ale niestety...

Tak. Ona wyraźnie powie-działa, że chce osoby dorosłej, a nie starej (śmiech).

Kiedy patrzy pani na swoje wnuki, widzi czasem siebie małą? Jaką dziewczynkę nosi pani w sobie do dziś?

Myślę, że siedzi we mnie to małe dziecko, które czasami kompletnie nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Trochę jak córka mojej przyja-ciółki, która w Niedziele Pal-mową podczas długiej mszy nudziła się i zaczęła zamiatać kościół palemką. Po prostu zaczęła sprzątać. Myślę, że tak bywa z dziećmi i nie należy się tego specjalnie wstydzić; byliśmy dziećmi. A to spojrzenie na siebie pozwala mi teraz pa-trzeć na dzieci i wnuki z zupeł-nie innej perspektywy niż kie-dyś patrzyłam na własne dziecko. Z dużo bliższej, dużo bardziej pogodnej, z większym dystansem, także wobec złości czy zachowań, których może bym nie chciała. Dziecko krzy-czy? Myślę sobie: bardzo do-brze krzyczy, niech pokrzyczy. To znaczy, że jest zdenerwo-wane.

Pani była dzieckiem, które przeszkadzało dorosłym?

Oj, myślę, że tak. Niekoniecznie musiałam być niegrzeczna, ale się wtrącałam. Siedziałam pod stołem, kiedy dorośli grali w brydża. W wieku dwóch i pół roku podnosiłam karty i mówi-łam: „Brydż ci upadł!”. Oczywiście czytałam książki pod koł-drą, przy latarce, bo mieliśmy bardzo sztywno wyznaczony czas wchodzenia do łóżka. Czas spania w ogóle nie był dla mnie czasem spania, tylko czasem rozrabiania. Podchodziło się pod drzwi, kiedy rodzice mieli gości, i na przykład się ich stra-szyło.

Czego wtedy dziecku nie wolno było mówić ani robić?

O matko, prawie wszystkiego, jak patrzę z perspektywy czasu. Dzieci głosu nie miały. „Nie do-tykaj”, „Nie przynoś”, „Nie

podnoś”, „Nie...”. Głównie pa-miętam te słowa na „nie”. Ale to nie znaczy, że byliśmy całko-wicie ubezwłasnowolnieni. Ła-ziliśmy z bratem po kanałach, po drzewach, robiliśmy mnó-stwo różnych rzeczy. „Nie liź ty-żwy!” – słyszałam. Oczywiście, że polizałam. I oczywiście, że przyczepił mi się kawałek ję-zyka, bo chciałam wiedzieć, dlaczego się nie liże tyżwy. Trzeba było sprawdzić, czy uczucie zimna i gorąca jest ta-kie samo. I owszem, jest takie samo. To wszystko trzeba było sprawdzać. Byliśmy niepokor-nymi dzieciakami. Wracaliśmy z rozwalonymi kolanami, które zresztą się ukrywało, bo prze-cież było: „Nie zrób sobie krzywdy”.

W pani domu częściej się chwa-liło czy poprawiało?

Chyba jednak poprawiało.

Pani mama, nauczycielka, lu-biła poprawiać. Miała czer-wony długopis i poprawiała pani teksty.

Ale to już wtedy, kiedy byłam dorosła. Jako dzieci byliśmy po-prawiani inaczej. Mieliśmy mó-wić poprawnie po polsku. Cza-sami rodzice się z nami wygłu-piali i używali jakichś słów z gwary poznańskiej, ale to było w ramach żartów. My mieliśmy mówić poprawnie. A gwara po-znańska pojawiała się dlatego, że pierwsze dziesięć lat mieszkaliśmy w Poznaniu. Kiedy przyjechałam do Warszawy, nie miałam jednak nawet poznań-skiego zaśpiewu, bo w domu mówiło się inaczej.

Jakie zdanie pani mamy zo-stało w pani najdłużej?

Chyba to, że słowo „nie” jest jednym z ważniejszych słów i że trzeba go używać z wielką mądrością. Nie na wszystko, nie zawsze, nie jako opór, tylko jako decyzję, że czegoś nie zro-bię.

A zdanie taty?

Że wszyscy mężczyźni są bez-nadziejni. I żebym uważała. By-łam na tyle młoda, że nie zapy-tałam: „A ty?” (Śmiech).

To zdanie nadal w pani siedzi?

Mężczyźni są beznadziejni i trzeba uważać? Przyjęła je pani jako swoje przekonanie?

Nie, oczywiście, że nie jest moim przekonaniem. Ale jakoś je zapamiętałam. Byłam wy-chowywana w czasach, kiedy troska i martwienie się były ob-jawem miłości. Dużo więk-szym niż przytulenie czy po-wiedzenie: „Kocham cię”, czy „Dasz sobie radę”. Teraz wiem, że to był objaw miłości. Zna-czy: wiem to od jakichś dziesię-ciu lat. Wtedy bardzo się bun-towałam przeciwko tym wszystkim ograniczeniom, które miały mnie chronić. „Nie wracaj późno”, „nie wracaj sama”. Dzisiaj wiem, że to nie były zdania po to, żebym w ogóle nie ruszała się po świe-

cie. Tylko po to, żebym uwa-żała. Bardzo.

W wywiadach często mówi pani o odwadze. Mnie ciekawi ta pierwsza, dziecięca odwaga. Pamięta pani moment, kiedy po raz pierwszy pomyślała: „Nie zrobię tak, jak każą”?

Wie pani co? To była głupia sy-tuacja, ale bardzo dobrze ją pa-miętam. Byliśmy w szkole podstawowej. Ktoś w naszej klasie rzucił w nauczycielkę matematyki papierową kulką. Myśmy się tymi kulkami prze-rzucali między sobą, ale nigdy w nauczyciela. To nie były czasy, kiedy nauczyciela się za-czepiało, a już na pewno nie czasy, kiedy można było być wobec niego chamskim. Tego w ogóle nie było. Ta kulka ja-koś uderzyła ją w policzek. Na-uczycielka odwróciła się do nas i powiedziała, żeby winny się przyznał. Że nie bę-dzie kary. Ale dopóki ktoś się nie przyzna, nie będzie lekcji. I myśmy siedzieli w milczeniu. Z takim poczuciem, że stało się coś bardzo złego. Nie wiedzie-liśmy, kto rzucił, bo kiedy na-uczycielka była odwrócona do tablicy, te kulki po prostu latały. W którymś momencie pomyślałam: przyznam się. Już dosyć tego. Wtedy wyda-wało mi się, że to był akt od-wagi. Że wzięłam to na siebie. Dzisiaj myślę, że tak naprawdę to nie była odwaga, tylko pe-wien niepokój. Napiecie, które pojawiło się w klasie, było dla mnie nie do wytrzymania. Bardzo dokładnie to pamię-tam. Oczywiście żadnych kon-sekwencji nie było. Nauczy-cielka spojrzała na mnie z ta-kim trochę politowaniem, bo chyba wiedziała, kto to zrobił i że to nie byłam ja. Ale pamię-tam, że nogi się pode mną ugięły, kiedy wstałam i powie-działam, że to ja. Wtedy trak-towałam to jako akt odwagi. Dzisiaj wiem, że to było raczej niewytrzymanie pewnych emocji.

Dzieciństwo dało pani skrzydła czy ubrało panią w pancerz?

Zdecydowanie dało mi skrzy-dła. Pancerz zrzucałam bardzo szybko. To był właściwie taki półpancerzyk. Mogłam się za nim schować albo próbować różnych wyjść z drugiej strony. I ja tych wyjść szukałam. Byłam dzieckiem sprawiającym kło-poty. Musiałam wszystko sprawdzić, zjeść, zrobić, wyli-zać. Wyssać krew z własnych ran. Nie mówić o tym, że się po-kaleczyłam, bo być może wtedy coś zostałoby mi zabro-nione. Stąd jestem pełna drob-nych blizn.

Teraz rozumiem, dlaczego mój syn, kiedy miał siedem lat, nie powiedział mi, że rozbił sobie głowę, jadąc na rowerze. Dopiero wieczorem, przy kąpeli, zobaczyłam krew. Pewnie my-słał, że jeśli się przyzna, zabro-nię mu jeździć.

Oczywiście. A poza tym jeste-smy dzielni. Jesteśmy dziel-nymi dziećmi, które dadzą so-bie radę, nawet jeśli się potłuką.

Czekała pani na pochwały od rodziców? To było dla pani ważne, żeby w końcu usłyszeć, że są z pani dumni?

Nie pamiętam, niestety, czy jako dziecko czekałam, więc prawdopodobnie czekałam i się nie doczekałam. Wtedy. Bo my-się, że gdyby tak było, to jakoś by mi to w pamięci zagrało. Na-tomiast pamiętam moment, kiedy po raz pierwszy zroz-u-miałam, że rodzice otaczają mnie opieką i że są ze mnie dumni. Ojciec zobaczył raz w metrze kobietę, która czytała moją książkę. Podszedł do niej i powiedział: „To moja córka napisała”. I ta pani się uśmiech-nęła. Moja matka po pierwszej książce powiedziała mi, żebym się nie podniecała, bo właści-wie każdy jest autorem jednej dobrej książki, o swoim życiu. I że dopiero następne pokażą, czy naprawdę jestem pisarką. Ale przy którejś kolejnej książce, kiedy zapytałam ją, czy redaktor miał rację, coś mi zmieniając, powiedziała: „Nie. Nie daj sobie nic zniszczyć. Do-brze piszesz”. Pamiętam te rze-czy, które może z boku wydają się nieważne. Kiedy rozmawia-łam z rodzicami przed ich śmiercią i pytałam, czy nas chwalili, oni mówili, że tak. Że również chwalili. Że mówili, że coś jest ładne, że mój brat pięk-nie rysuje. Ale to nie zostawiło we mnie jakiegos szczególnego śladu. Z drugiej strony nie by-łam też specjalnie gnębiona. Nie słyszałam, że się do niczego nie nadaję. Myślę więc, że to było jakoś wyważone. Nato-miast wtedy naprawdę to po-czułam, kiedy ojciec podszedł do obcej osoby w metrze i chwalił się, że autorka jest jego córką, i kiedy matka powie-działa: „Nie pozwól sobie nic zniszczyć”. Zrozumiałam, że to jest ta właściwa, dobra pod-pora.

Pierwszą książkę napisała pani jako jedenastoletnia dziew-czynka. Pamięta pani, nie tyle temat, ile uczucie, które temu towarzyszyło?

Temat pamiętam doskonale, bo byłam siostrą Old Shatterhanda i kochałam się w Winnetou. By-łam przebrana za mężczyznę, żeby Winnetou mnie zaakcep-tował i żeby wiedział, że jestem jego białym przyjacielem. Moim zdaniem to była zdecy-dowanie książka o miłości. Nie była długa, bo mieściła się w szesnastokartkowym zeszy-cie. I kończyła się chyba w mo-mencie, kiedy już nie wiedzia-łam, czym może się skończyć.

To było odkrycie, że może pani stwarzać świat?

To było znakomite, że mogę tworzyć historię. Że to jest coś, na co moje koleżanki z klasy czekają, bo czytałam im te ka-

wałki. U mnie w Dolinie Śmierci rosły piękne drzewa. Potem by-łam w Dolinie Śmierci i tam nie ma ani jednego źdźbła trawy. Jest wyłącznie sól. Ale w mojej Dolinie Śmierci drzewa rosły. Z tego wynika, że w szkole zaj-mowałam się innymi rzeczami niż nauka.

Jak jest dzisiaj? Piszę pani bar-dziej z radości czy wtedy, kiedy pani cierpi?

Bardzo różnie. Kiedy jestem smutna, piszę wesołe rzeczy. Kiedy jestem w dobrej formie, piszę rzeczy poważne. Jakoś tak mi się to układa.

Jest w pani pisaniu potrzeba ra-towania ludzi przed rozpaczą?

Myślę, że jest w nim potrzeba ratowania siebie przed tym nieustannym karmieniem nas niepokojem. Aferami, które wydają się nieprawdopo-dobne, a okazują się praw-dziwe. Wzajemnym strasz-niem się. Manipulacją, która się odbywa. Myślę, że w ten sposób ratuję siebie. Pokazuję taki kawałek świata, w którym chcę żyć. I w tym świecie umieszczam swoich bohate-rów. Tam nie ma zagrożenia wojną, zagrożenia epidemią, zagrożenia tym, że elity żywią się krwią i tak dalej.

Kiedy dzisiaj słyszy pani o so-bie: „królowa polskiej litera-tury popularnej”, co pani my-sli?

Rzadko słyszę to w odniesie-niu do siebie. Natomiast bar-dzo mi się robi dobrze, kiedy spotykają mnie na ulicy ludzie i mówią: „Pani Kasiu, dzięki pani wyszłam z depresji”. Albo: „Po porodzie leżałam w szpitalu i przynosili mi pani książki, dzięki temu życie było łatwiejsze”. Albo: „W czasie zagrożonej ciąży czytałam pani książki”. Albo: „Psychia-tra kazał mi czytać „Nigdy w życiu!” na oddziale dzien-nym”. Albo: „Po pani książce zgłosiłam się na terapię”. To są rzeczy niezwykle dla mnie przyjemne, budujące i chyba potrzebne.

Przez lata mówiono: skoro ko-biety masowo czytają „Nigdy w życiu!”, to nie może to być dobre.

Tak, ale wie pani co? W ogóle każda populama książka nie może być dobra. Książka, sztuka teatralna i tak dalej mu-szą być trudne, niesamowicie wydumane i przeznaczone dla małejkiej cząstki ludzkości. Dopiero kiedy mają ograni-czony zasięg, uznaje się, że są dobre. No ale co wtedy zrobimy z Biblią, która ma największe nakłady na świecie? Broń Boże, nie porównuję się. Natomiast nie jest tak, że coś, co jest popu-larne, automatycznie staje się złe.

Pani książki dają czytelnicz-kom i czytelnikom też, pocie-szenie. Miłość w pani powie-

ściach ma zwykle ostatnie słowo. Czym dzisiaj jest dla pani miłość? Nadal przygoda czy już spokojem, spełnie-niem?

Raczej spokojem, spełnieniem, harmonią i możliwością poro-zumienia się w każdej sytuacji. Niekoniecznie kłótnią, nieko-niecznie zwarciem, czyli czymś, co kiedyś uważałam za rodzaj napędu. Poza tym na-prawdę już dzisiaj wiem: albo racja, albo związek. I to dotyczy wszystkich moich relacji. Z córką, z wnukami, z mężem. Ze wszystkimi.

To znaczy, że zrezygnowała pani ze swojej racji?

Bardzo często rezygnuję. W ogóle nie ma czegoś takiego jak moja racja.

Po sześćdziesiątce łatwiej jest kochać?

Myślę, że tak. I że przyjemniej. Bo człowiek nie jest już taki głupi.

A czy w miłości nadal jest pani hazardzistką?

Nie. Myślę, że przy moim mężu czuję się w miłości na tyle bez-pieczna, że hazard uprawiamy już w domu, przy grze w kości. Mój mąż strasznie się dener-wuje, kiedy przegrywa. A ja mu mówię, że dzisiaj nie wygra i pozwalam mu się denerwo-wać. Oczywiście to jest nie-prawda, bo kości to głupia gra losowa, od której nic nie zależy.

Co dzisiaj wie pani o życiu, czego nie wiedziała kobieta, która pisała „Nigdy w życiu!”?

Po pierwsze, że ono jest bardzo, bardzo krótkie. Po drugie, że jest niezwykle piękne. Ale ja jako Grochola mam trudność z pogodzeniem się z rozstawa-niem. Nie wiedziałam, że tak dużo rozstań jest przede mną. Umierają przyjaciele, umiera rodzina, umierają rodzice. Nie-wielu sześćdziesięciolatków ma jeszcze rodziców, ale jednak jakoś nie przyjmowałam do wiadomości, że odchodzą te istoty, które kochamy. I że to się bardzo zągęszcza. To jest smutne.

Po tych wszystkich latach wie-rzy pani w kobiecą zdolność za-czynania od nowa?

Absolutnie wierzę. Wiadomo, że życie jest ciągiem. Nie koń-czymy życia dzisiaj po to, żeby jutro zacząć zupełnie od nowa. Ale wierzę, że można zmienić wszystko. Patrzę na przykład na Ulę Dudziak z ogromną przyjemnością. Ja ją tak bardzo lubię. Ona po siedemdziesiątce zbudowała dom. Po siedem-dziesiątce, jak sama mówi, znalazła sobie chłopaka. To, co nas dotyka dzisiaj, naprawdę jutro nie będzie miało takiego znaczenia, jakie dziś temu na-dajemy. Dlatego warto budzić się każdego dnia z wdzięczno-ścią za to, co się stało. I z na-dzieją, że dziś będzie wspa-niały dzień.

INFLUENCER KUBA MIDEL: DZIELE LUDZI NA BIEDNYCH, BOGATYCH I SZCZĘŚLIWYCH

Kuba Midel zdradza, jak być w życiu bogatym i... szczęśliwym: – Mój kapitał początkowy wynosił 20 zł. Zainwestowałem je biurze ogłoszeń „Dziennika Łódzkiego”. Kupiłem tam ogłoszenie o treści: „Angielski. Skutecznie, z dojazdem, niedrogo”. Miałem wtedy 17-18 lat i malucha od dziadka. Byłem też dość dobry z angielskiego i dojeżdżałem na korepetycje do kilku rodzin. W trzeciej klasie liceum zarabiałem podobnie jak moja mama.

Matylda Witkowska

Od lat tłumaczy pan ludziom w internecie, jak być bogatym...

Nie bogatym! Szczęśliwym! Ja wręcz mówię ludziom, żeby nie byli bogaci! Bo po co być bogatym? Dzielę ludzi na biednych, bogatych i szczęśliwych. I główne moje motto brzmi: „Jeśli chcesz być bogatym, to inwestuj każdą zarobioną złotówkę. Jeśli chcesz być biednym, to każdą złotówkę wydawaj. A jak chcesz być szczęśliwy – wydawaj co drugą.

Jak to robić w praktyce?

Jedną złotówkę przeznacz na siebie, a drugą inwestuj. Niestety, w szkole się tego nie dowiemy. Mówi się nam, że byśmy dużo się uczyli, żebyśmy ciężko pracowali, znaleźli pracę na etacie... A potem nam się podprogowo przekazuje, że ile się zarabia, tyle się wydaje. I w efekcie czy ktoś zarabia 5 tys. zł miesięcznie czy 50 tys. zł – często ma więcej kredytów i zobowiązań niż dochodów. I w efekcie większość osób na świecie – nie tylko Polaków – ma problemy finansowe. Bo kapitalizm bywa podstępny.

Ludzie tkwią w długach niezależnie od poziomu swoich dochodów?

Tak. Dziś bogactwo bywa pozorne. Często bogatszy jest ktoś, kto zarabia kilka tysięcy złotych albo jest emerytem, który ma 2-3 tysiące emerytury, ale właściwie ma wszystko, czego do życia potrzebuje. Bo znam ludzi, którzy mają lat 40, zarabiają po sto tysięcy, ale toną w długach i są nieszczęśliwi. Ostatnio były trzy samobójstwa wśród znajomych – ludzi, których mieli firmy, mercedesy, przyjaciół i egzotyczne wy-

ciezki. Więc myślę, że istnieje duża potrzeba redefinicji bogactwa czy szczęścia.

Bo pieniądze szczęścia nie dają?

Pieniądze dają możliwości. Ale na pewno same w sobie nie dają szczęścia. Po 30 latach kapitalizmu w Polsce widzimy, że pieniądze to proste narzędzie. Kiedyś uważano, że jeśli ktoś – tak jak książkowy Wokulski – ma sklep, to jest bogaty. Podstawą bogactwa była ziemia, młyn, tytuł szlachecki. Dziś uważam, że jeśli ktoś ma telefon, długopis i sprawną głowę, to zarobi. Problemem jest, co się z nimi robi. Dziś uważam, że nie trzeba mieć dużej firmy. Bo też niestety wyrosłem na takim schemacie i to był mój wielki błąd. Założyłem firmę w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej. Kupiłem stumetrowy lokal w kamienicy, otworzyłem sto oddziałów szkoły językowej, zatrudniłem pięćdziesiąt osób, kolejne tysiąc osób pracowało w sieci... I finalnie po dziesięciu latach byłem nieszczęśliwy.

Proszę opowiedzieć, jak pan zaczął?

Mój kapitał początkowy wynosił 20 zł. Zainwestowałem je biurze ogłoszeń „Dziennika Łódzkiego” przy Carrefourze na Chojnach, kupiłem tam ogłoszenie w papierowej „Gratce” o treści: „Angielski. Skutecznie, z dojazdem, niedrogo”. Miałem wtedy 17-18 lat i malucha od dziadka. Byłem też dość dobry z angielskiego i dojeżdżałem na korepetycje do kilku rodzin. W trzeciej klasie liceum zarabiałem podobnie jak moja mama, która była lekarzem w Matce Polce.

Ale oprócz tych 20 zł miał pan też kapitał ludzki w postaci znajomości języka angielskiego. Skąd pan ją miał?

Nauczyłem się w szkole, ale też rodzice zainwestowali w moją naukę. Mam za to dla nich bardzo duży szacunek. Uważam, że w erze informacji wiedza jest kluczowa. To co, mamy w głowie jest ważniejsze od tego, co mamy w garażu, w szafie czy na sobie.

Jak z licealisty stał się pan biznesmenem?

Skończyłem I LO w Łodzi, ale potem – na szczęście – nie do stałem się na dzienne studia do Szkoły Głównej Handlowej. Przez rok na poważnie zacząłem więc udzielać korepetycji. Zrodził się pomysł na firmę Mobile English oferującą naukę angielskiego z dojazdem. Rok później do stałem się już na studia, ale z nich zrezygnowałem. Uznałem, że nie są mi niczego potrzebne, bo zacząłem rozwijać szkołę i dobrze zarabiać. Do tego znalazłem pracę jako handlowiec dżinsami Pabiancach. To były trudne dla gospodarki lata 2003-04, ale miałem żyłkę przedsiębiorczości i byłem nauczony ciężkiej pracy. Angielski wypalił, potem zainwestowałem w firmę odzieżową Venerdi Menswear. Zacząłem szyc kąpielówki, czapki, koszulki na zasadzie outsourcingu. W wieku dwudziestu kilku lat – z dziecka, które nic nie miało – dorobiłem prawie stu oddziałów szkoły w Polsce i około 150 sklepów partnerskich. Wiedziałem, że nic nie trwa wiecznie, więc inwestowałem w nieruchomości, lokale usługowe, biura, biorąc jednak przy tym potężne kredyty.

Jak się pan czuł z tym sukcesem?

Po dziecięciu latach ciężkiej pracy byłem bardzo zmęczony – zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Brakowało mi też filozofii życiowej. Miałem pieniądze, przychody, obroty, popularne marki i splendor. Ale w tym wszystkim nie było mnie. Nie miałem czasu, żeby żyć. I samo życie dało mi znać, że żyję za szybko i za intensywnie.

I co pan wtedy zrobił?

Miałem ponad 30 lat i... na kilka lat przeszedłem na emeryturę. Miałem ten komfort, że mogłem sobie na to pozwolić. Miałem nieruchomości, firmę odzieżową prowadziła moja żona, od angielskiego miałem ludzi. Podróżowałem więc po świecie, nagrywałem piosenki, pisałem dzienniki. Dużo myślałem. I przestała mi pasować recepta na życie, którą serwuje nam kapitalizm: żyj szybko, dużo kupuj, bierz kredyt, żyj na pokaz. Szukałem dla siebie pomysłu.

Zaczął się pan dzielić tymi przemyśleniami w internecie?

Mój kanał „Kuba Midel” na portalu Youtube otworzyłem z pytaniem „Jak żyć?”. Bo chciałem i mieć, i być. Dziś nie można przecież żyć, nie mając nic. Ale nie można też być niewolnikiem rzeczy. Jeżeli praca sprawia komuś frajdę, to długie siedzenie w pracy nie przeszkadza. Ale jeśli ktoś prowadzi klinikę dentystryczną tylko po to, żeby spłacać długi albo kupić sobie czwarte auto, którym nie ma czasu jeździć, to musi mieć okropne życie. Ostatnio pracowałem od godz. 6.30 do 21.30, ale dziś pracą jest dla mnie

trenowanie sportu, układanie klocków Lego, czytanie książek, prowadzenie webinarów, przygotowanie konferencji, inwestowanie w nieruchomości... Można powiedzieć, że nie wychodzę z pracy. Pracuję 15 godzin na dobę. Ale sprawia mi to przyjemność, więc nie traktuję tego, jak pracę...

Moment, sport też traktuje pan jak pracę?

Tak, bo moja marka osobista zależy od tego, jak inni mnie oceniają. Moja siła psychiczna, moje zdrowie są przykładem dla innych. I to działa. Dziś bez żadnej reklamy mój kanał ma blisko miliard wyświetleń. To potwierdzenie, że chociaż w Polsce nie lubi się przedsiębiorców, ludzie szukają autentyczności.

Co mogą znaleźć u pana?

Nazywam się Midel. Dla mnie Midel to coś pomiędzy Midasem, który potrafi zamienić wszystko w złoto, bo – choć oczywiście w dużym cudzysłowie – mam taką umiejętność, a byciem „in the middle”, czyli w języku angielskim „pośrodku”. Wychodzę do ludzi z przekazem, że bycie częścią zamożnej klasy średniej to najfajniejsza pozycja społeczna. Bo jeśli jest się krezusem, bogaczem, właścicielem ogromnego przedsiębiorstwa to trochę jest się niewolnikiem swojego projektu. A z drugiej strony – jeśli jest się człowiekiem ubogim, który z powodu swojego lenistwa lub okoliczności z trudem spina budżet domowy, to w dzisiejszym świecie jest mu bardzo ciężko żyć. Ale jeśli ktoś ma dobry zawód, dobrą małą firmę, zarabia kilkanaście – kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie, a do tego

potrafi tym dobrze zarządzać i przy tym nie zgłupieć – to może być naprawdę szczęśliwy. I co najważniejsze: uważam – z czym nie zgadza się ulica – że każdy człowiek może to osiągnąć. Naprawdę każdy.

Ale jak to zrobić?

Po pierwsze – praca nie wystarczy. Jeśli chce się żyć ponad średnią to średnia krajowa pensja nie wystarczy. Trzeba przejść na swoje. Po wiem tutaj o największym zawodowym ryzyku – jest nim etat. Jeśli masz jednego szefa, to masz jednego klienta. Jeśli szef cię zwolni, to albo jest po tobie, albo musisz szukać kolejnego klienta. Jeśli pracujesz na swoim i masz trzech klientów, to dasz sobie radę. Weźmy na przykład pani branżę – jeśli pracuje pani na etacie dla jednej gazety i szef panią zwolni – to pani nie ma. Ale jeśli pracuje pani dla trzech gazet lub kilku portali równocześnie i jednocześnie na przykład tłumaczy pani teksty, to nie jest pani zakładnikiem swojej sytuacji. Niestety, w szkole i w domu od dziecka wmawia się nam coś odwrotnego – że bezpieczeństwem jest właśnie etat. Ale nie chodzi tu tylko o bezpieczeństwo, ale też o dochody. Jeśli zatrudnię się jako ogrodnik w firmie ogrodniczej to pracując cały miesiąc od godz. 8 do 16, zarobię może 5 tys. zł. Jak szef będzie miał dobry humor, to może dorzuci mi tysiąc złotych premii. Ale jeśli po miesiącu nie wypłaci mi pensji, to mam zero. Za to jeśli pójdę na swoje i będę zajmował się ogrodami 25 firm i pięciu domów, to zarobię ze trzy razy więcej. A jeśli do tego będę naprawdę dobrym ogrodnikiem, to sam

będę wybierał klientów. Marudzących czy niepłacących w terminie nie będę musiał obsługiwać.

Ale czy biznes nie jest ryzykowny?

Biznes też jest ryzykiem. Ale proszę mi wierzyć – najgorszą sytuacją życiową jest etat, kredyt na mieszkanie oraz próba życia jak ludzie bogaci.

Żyjemy dziś ponad stan?

Tak. Kupujemy dzieciom iPhona, drogie buty, denerwujemy się, że bankowi płaci dużą ratę. Ale tak naprawdę nie przyznajemy się przed sobą, że trochę nas na taki styl życia nie stać. I że podjęliśmy ogromne ryzyko, bo jesteśmy zależni już nie tylko od jednego pracodawcy, ale także od banku.

Dlaczego tak robimy?

Bo bania się od małego uczy nas szkoła. Nauczyciel mówi dziecku: rób wszystko, żebyś zdał, żebyś nie zrobił błędu. A rodzic dodaje często: rób wszystko, żebyś się nie zmęczył, nie zagubił. To jedna wielka bzdura! Moim zadaniem jest to wszystko rozko-dować.

A skąd mamy wiedzieć, co robić w życiu?

To jest najważniejsze pytanie. Mnie też nikt nie pytał w szkole „Kuba, co ty chcesz w życiu robić?”, „w czym jesteś dobry?”, a chodziłem do wspaniałych szkół: SP 174 na Dąbrowie i I LO. Sam musiałem dojść do wielu rzeczy. Dziś, po 20 latach biznesu, wydaje mi się, że najmańdrzejszą drogę pokazuje tzw. „koniczynka szczęścia”. Złożona jest z czterech ząbkujących się okręgów. Pierwszy okrąg oznacza to, co lubisz robić, drugi – co potrafisz i na czym się znasz, trzeci to potrzeba rynkowa, bo nie ma sensu robić tego, co już jest nieaktualne. I czwarty okrąg – to za co rynek chce zapłacić.

Można prowadzenia biznesu nauczyć się w szkole?

Nie. Szkoła biznesu to nieporozumienie. To szkoła, w której produkuje się niewolników korporacji czy dużych firm. Nie ma natomiast szkół uczących przedsiębiorczości. Najlepszą szkołą przedsiębiorczości jest... podwórko. Oraz nasz własny biznes albo pracodawca. Mnie biznesu nauczyła pielęgniarka z Pabianic, która handlowała dżinsami. Dała mi telefon, najtańszego laptopa i stary samochód. I powiedziała „Kuba, świat jest twój. Sprowadzaj tkaniny, skąd chcesz i handluj gdzie chcesz”. Do dziś jestem jej wdzięczny, bo pokazała mi, że biznes to przede wszystkim ołówek, kartka i liczydło.



FOT. GRZEGORZ GAŁĄSIŃSKI

Mój kanał „Kuba Midel” na portalu Youtube otworzyłem z pytaniem „Jak żyć?”. Bo chciałem i mieć, i być

Nie trzeba do tego umieć czegoś konkretnego?

Rzeczywiście najpierw jest rzemiosło. Natomiast podejście biznesowe w tym pomaga. Dziś jeśli ktoś jest dobrym fryzjerem to może zarobić miliony złotych dzięki zasięgom internetowym. Może też mieć sieć franczyzową, sieć swoich salonów, może brać za jedno strzyżenie nawet 5 tys. złotych! Albo taki nauczyciel. Może nic nie robić i klepać biedę, ale może też być doskonałym korepetytorem i zarabiać po 200 zł za godzinę.

A jest jakiś zawód, w którym na pewno nie da się zarobić?

Nie. Powiem więcej – dziś im prostszy jest zawód, tym większe mogą być zarobki. Jeśli będziesz dobrym ciastkarzem czy psim fryzjerem to w dobie internetu możesz naprawdę zarobić. Bo internet naszą działalność skaluje. W tradycyjnym biznesie, który ja uprawiałem – trzeba było uszyć sweterek, zawieźć do magazynu i do sklepu, a klient musiał do tego sklepu przyjść i zapłacić. Dzisiaj klient klika i mój sweterek jest jutro w dowolnym miejscu na świecie, moja usługa edukacyjna dociera wszędzie tam, gdzie internet, bo sztuczna inteligencja każdy mój wykład może przetłuma-

czyć od ręki na każdy język. Dziś rynek zbytu dla naszych produktów to już nie są klienci sklepu na jakieś ulicy w Kaliszu, ale osiem miliardów ludzi na całym świecie.

W Łodzi też można zrobić biznes? Bo łodzianom często

wyduje się, że po duże pieniądze trzeba wybrać się do Warszawy...

Ależ oczywiście. Ja też mieszkam w Łodzi, a przecież nie jestem głupi. Gdyby nie dało się tu robić biznesu, to by mnie nie było. Mieszkam w Warszawie, ale z niej uciekłem. Człowiek zarabia tam

dużo, ale też bardzo dużo wydaje, bo życie jest droższe. Jest czystsza ulica, ładniejszy wieżowiec, ale ulice są tak samo zakorkowane. Oczywiście gdyby w Łodzi firmy miały swoje główne siedziby, to miasto było bogatsze. Ale pytanie, jak bogaci mieszkańcy Łodzi? Bo ja nie czuję się od warszawiaków biedniejszy...

Pan może nie, ale statystyczny łodzianin raczej tak...

Uważam, że średnia półka ma łatwiej w Łodzi. Ściągniemy tu wielu freelancerów, młodych ludzi. Bo tu jest taniej choćby wynająć mieszkanie. A kontakt jest w internecie, jeśli ktoś potrzebuje osobisty, to może wsiąść w pociąg i pojechać do Warszawy. Kompleks Łodzi jest zupełnie niepotrzebny. Proszę spojrzeć na historię Łodzi. Przecież sto lat temu ludzie w Łodzi żyli w skrajnie złych warunkach, jeszcze trzydzieści-czterdzieści lat temu chodzili do wychodka. Zobaczmy, ile się zmieniło. W ogóle gdyby w Polsce było źle, to byśmy wyjeżdżali. Jeszcze 15 lat temu była masowa emigracja, dziś ludzie do Polski wracają. Mamy dziś fantastyczne drogi, świetne jedzenie, jesteśmy narodem zaradnym. Może kawa jest u nas droga, po 3-4 euro, to bym akurat zmienił.

Jest pan ogromnym optymistą...

Jestem z wielu rzeczy niezadowolony, ale szukam pozytywów. Zamiast narzekać na korki kupiłem skuterek i przez pół roku korki omijam.

Czyli narzekamy w życiu trochę niepotrzebnie?

Super jest narzekać, ale tracimy na to czas. Jeśli będzie pani teraz przez trzy lata narzekać, to ma pani ponarzekane, ale nikt za to pani nie zapłaci. Nie ma pani z tego żadnego zysku.

CV

Kuba Midel

Łódzki przedsiębiorca z doświadczeniem w branży edukacyjnej, odzieżowej i nieruchomościowej. Dziś jest rentierem i trenerem biznesowo-motywacyjnym. Na platformie YouTube prowadzi kanał „Kuba Midel”, na którym uczy Polaków biznesowego podejścia do życia i podstaw inwestowania. Organizuje też spotkania motywacyjno-integracyjne dla przedsiębiorców z cyklu Wielka Integracja, obozy dla biznesmenów pod marką Midel Camp oraz warsztaty rentierskie.

Snooker to gra, która pozwala miło spędzić czas. Ale też побыć samemu ze sobą – mówi Marcin Nitschke, założyciel Nitschke Akademii Snookera w Zielonej Górze. – Mnie dał on wszystko. Nauczył mnie koncentracji, ale jednocześnie stworzył możliwość spotkania wspaniałych ludzi – sportowców, olimpijczyków, artystów, biznesmenów. Kiedy miałem problemy – byłem przy snookerze. Kiedy w domu było źle, kiedy w moim życiu działy się tragedie, kiedy miałem problemy w firmie – byłem przy snookerze. Kiedy pokłóciłem się z przyjacielem, też szedłem do snookera. Bo wtedy pozostawałem ja, bile i stół. Oto czym dla mnie jest snooker.

Spotykamy się w nowo otwartym centrum sportowym w odrestaurowanej (budynek z pocz. XIX w.) wytwórni win musujących Gremplera. Na trzech tysiącach mkw. można tu zagrać w kręgle, darta, bilarda i snookera. Na terenie klubu Hot Shots Billiards & Bowling działa także akademia. Rozmawiamy przy ogromnym akwarium.

– Ponad 32 lata gram w snookera, ale w tym czasie rozwijałem też swoją drugą pasję – hodowlę rybek. To akwarium na siedem tysięcy litrów jest spełnieniem mojego marzenia – mówi gospodarz i jednym tchem wylicza egzotyczne nazwy przepływających za szybą okazów. – Wymyśliłem sobie takie miejsce, gdzie rodzic odprowadzający swoje dziecko na zajęcia, albo ktoś czekający na trening, może usiąść, zrelaksować się, wyluzować.

Snooker powstał w XIX wieku, w kolonialnych Indiach Brytyjskich, w środowisku angielskich oficerów. W 1875 r. w klubie oficerskim w Dżabalpur sir Neville Chamberlain miał zaproponować połączenie kilku znanych z ojczyzny odmian bilarda w grę na nowych zasadach. Nazwa pochodzi z ówczesnego slangu wojskowego – słowem tym określano kadetów pierwszego roku w Królewskiej Akademii Wojskowej w Woolwich. Chamberlain zwykł określać w ten sposób graczy popełniających błędy – a z czasem nazwa przylgnęła do gry, która przez lata zdobywała popularność, aż w 1927 r. odbyły się pierwsze mistrzostwa świata. Wygrał je (podobnie jak 14 kolejnych edycji) Joe Davis, który później został odznaczony, za swoje wybitne osiągnięcia sportowe, Orderem Imperium Brytyjskiego. W kolejnych dekadach snooker stawał się coraz bardziej popularny, choć przeżywał także upadki (po 1957 r. przez kilka lat nie organizowano mistrzostw świata). Prawdziwy boom nastąpił wraz z rozwojem transmisji telewizyjnych. Era nowo-

Trwające Mistrzostwa Świata w Snookerze są dla nas historyczne. Po raz pierwszy w „Teatrze Marzeń”, jak nazywana jest sala Crucible Theatre w Sheffield, wystąpił Polak. Antoni Kowalski przedarł się przez klasyfikacje do turnieju głównego. Znalazł się wśród 32 najlepszych zawodowców na świecie. Zajrzeliśmy do jego macierzystego klubu.

Michał Olszański

SNOOKEROWA STOLICA POLSKI



Akademia snookera...



...i jej założyciel Marcin Nitschke

żytna snookera liczona jest od 1969 r., kiedy wprowadzono pucharowy system w Mistrzostwach Świata, które od 1977 r. odbywają się w Crucible Theatre w Sheffield (umowa obowiązuje do 2045 r.). Rekordzistami w ilości zdobytych tytułów są Szkot Stephen Hendry i Anglik Ronnie O'Sullivan (po 7).

Początki tego sportu w Zielonej Górze związane są z domem kultury na Chynowie i osobą jego dyrektora Waldemara Matuszkiewicza. Były to wcześnie lata 90. XX w.

– Pamiętam, że na początku graliśmy w bilarda, ale rozmawialiśmy o prawdziwym stole do snookera (znaliśmy ten sport z telewizji). Aż w końcu się pojawił. Co prawda na metrze kwadratowym było ze sto dziur – nierówności, a przy niektórych kieszeniach, gdy wbijałem bilę, to mogłem się pomylić 2-3 cm, a ona i tak wpadała, bo sukno było tak bardzo wyżłobione. Człowiek stał jak pokraka przy tym stole, łokieć na Giewont wystawał... nie było mowy o jakiegokolwiek technice, ale była frajda z gry. To były piękne czasy – wspomina Nitschke. – Wydrukowaliśmy sobie z internetu ćwiczenia, przybiliśmy je do ścian i bywało tak, że spędzałem 8-10 godzin przy snookerze. W późniejszych latach nieraz koledzy przychodzili i próbowali mnie stamtąd wyciągać, np. na imprezę. Ja jednak zostałem przy tym sporcie i dobrze zrobiłem, bo dziś jesteśmy w jednej z największych akademii w Polsce i w Europie.

Na swoje pierwsze zawody Nitschke pojechał w wieku 11 lat. Zdobył brązowy medal Mistrzostw Polski Juniorów. To był początek ponadtrzydziestoletniej kariery, znaczonej całym naręczem medali.

Wchodzimy do sali przeznaczonej do gry w snookera. Jeden za drugim, jak zakotwiczone w rzędzie lotniskowce, stoją ogromne stoły. Niby wszyscy wiedzą, że są dużo większe niż te bilardowe, ale „na żywo” robią kolosalne wrażenie. Każdy ma ponad 3,5 metra długości i waży około tony (to efekt m.in. kamiennej płyty).

Nitschke staje przy stole, bierze kij i tłumaczy podstawy – jak powinno składać się do uderzenia: „są trzy podpory: mostek, broda i łokieć”, opowiada o tym, że najważniejsza jest kontrola białej bili, mówi o kątach, rotacjach i o tym, że lekcji snookera nie da się tak po prostu przelać na papier. Dodaje, że ten sport uczy strategicznego myślenia i rozwija wyobraźnię przestrzenną. Rozmawiamy też o rzeczy nieoczywistej, czyli o tym, że aby spędzać godziny przy stole, trzeba



FOT. WOJCIECH SZUBARTOWSKI/POLSKAPRESS

Mateusz Baranowski z trofeum mistrzostw Polski w formule Shoot Out

FOT. CEZARY KONARSKI

Antoni Kowalski

po prostu mieć kondycję. No i o historii.

- Po początkach w domu kultury powstało Lubuskie Stowarzyszenie Snookera Sportowego i Bilarda, które założył Władysław Bartoszewicz. Potem otworzyliśmy, z moim śp. bratem Damianem, pierwszy Hot Shots i Nitschke Akademię Snookera przy ul. Wrocławskiej, a w końcu klub na Sulechowskiej z czterema stołami do snookera - wspomina. - Damian był ważny, odgrywał znaczącą rolę w rozwoju tego sportu. Ja grałem, pojawiałem się w mediach, on organizował turnieje, zabezpieczał firmę. Bardzo go brakuję, choć minęło już 16 lat (zginął w 2009 r. w wypadku na nartach - przyp. red.). Co roku organizujemy memoriał jego imienia w pool bilardzie. W ostatnim brało udział kilkadziesiąt osób z całej Polski, w tym medaliści mistrzostw krajowych i Europy. Na najbliższym memoriale w czerwcu spodziewam się ok. stu zawodników.

W tym roku Polski Związek Snookera i Bilarda Angielskiego obchodzi 35-lecie. Na stronie internetowej związku wyświetla się jedynie 18 certyfikowanych klubów i sal.

Tymczasem według World Snooker Tour, na świecie sport ten uprawia około 120 mln ludzi w 110 krajach, a widownia przekracza pół miliarda. Ubiegłoroczne Mistrzostwa Świata pobiły kolejne rekordy oglądalności. W BBC wyniosła ona 12,6 mln, do czego trzeba dodać 29 mln relacji uruchomionych przez internet. Jak poinformował The Guardian, finałowy mecz pomiędzy Zhao Xintongiem

(zwycięzca) a Markiem Wiliamsem oglądało w Chinach 150 mln widzów. Eurosport regularnie pokazuje snookera w Europie od 2003 r. (wcześniej robił to sporadycznie), a w ubiegłym sezonie ilość transmisji przekroczyła 1500 godzin, co przyciągnęło do odbiorców 88 mln widzów. W tym roku te liczby mogą być wyższe, bo trend jest rosnący.

- Były takie momenty, że dziennikarze nie mogli się ode mnie opędzić. Wyskakiwałem nawet z łodówki, a ludzie byli już zmęczeni mną i tym moim nawijaniem o snookerze. Śmiali się ze mnie, gdy mówiłem, że sprowadzę do nas O'Sullivan, Selbiego, Robertsona - wspomina Nitschke, który jednak dopiął swego i po 2010 roku zorganizował serię pokazowych turniejów Hot Shot Masters, w których występowali przedstawiciele showbiznesu, ale przede wszystkim właśnie ci najlepsi na świecie zawodnicy. A w listopadzie 2012 r. pojawił się nie kto inny, jak sam O'Sullivan.

- Blisko 3 tys. ludzi na hali CRS krzychało to, co słysząc w transmisjach z zawodów: „Common Ronnie!” - wspomina. - Byli u nas Mark Selby, Shaun Murphy, Ken Doherty, Jack Lisowski, Ali Carter, Neil Robertson czy Judd Trump - grube ryby snookera. Ściągałem te gwiazdy po to, żeby przebić się przez najpopularniejsze w mieście sporty - żużel i koszykówkę, żeby i miasto, i cała Polska usłyszała, że Zielona Góra dobija się już do miana stolicy polskiego snookera. To wszystko przyniosło

zakładany efekt - do klubu zaczęli zaglądać rodzice z dziećmi. Tak pojawił się Antek Kowalski z tatą, podobnie Mateusz Baranowski. Tak z Kozuchowa dotarł późniejszy wicemistrz świata Adam Stefanów. Pamiętam te rozmowy.

Przy jednym ze stołów pojawia się taka właśnie para - ojciec z synem.

- Od lat gram w bilarda, ale niedawno wystartowałem w snookerowych Mistrzostwach Polski Biznesu Artystów i Sportu i... wygrałem - mówi Tomasz Osman. - Mikołaj ma dziewięć lat i od grudnia trenuje w akademii snookera, ma także prywatne lekcje z Mateuszem Baranowskim. Rozwijają się w niesamowitym tempie i widać że bardzo chce. Zresztą to on mnie dziś tu zaciągnął. Wróciłem z delegacji, a on poprosił, żebym zabrał go wcześniej ze szkoły i żebyśmy sobie potrenowali.



FOT. MARIUSZ KAPALA

Stephen Hendry, siedmiokrotny mistrz świata, w Zielonej Górze

Przy stole obok trenuje właśnie Baranowski. To pięciokrotny mistrz Polski, uczestnik zawodowego Main Touru (World Snooker Tour), czyli najbardziej elitarnych rozgrywek na świecie, w których udział bierze ok. 128 zawodników. W tej chwili jest w nim trzech Polaków (oprócz Antka Kowalskiego i Mateusza także 15-letni Michał Szubarczyk - najmłodszy uczestnik w historii), a wcześniej występowali w nim jeszcze dwaj - Kacper Filipiak i Adam Stefanów (ten ostatni także z zielonogórskiej akademii).

Baranowski ma swój prywatny stół, który różni się od pozostałych - zawodowcy mają mniejsze łuzi (otwory do których są wbijane bile) o ok. 4 mm, co jest kolosalną różnicą. Mateusz pokazuje mi to w prosty sposób. Ustawia bilę w taki sposób, że jest nie do wbicia. Ponawia ustawienie na stole obok i swobodnie pakuje ją do łuzi. Wskazuje

na jeszcze jedną zasadniczą różnicę.

- W zawodach amatorskich, jeśli podczas frame'a (pojedynca rozgrywka) pomyłę się nawet dziesięć razy, to mam szansę wrócić do stołu i nawet wygrać. W zawodowym meczu trzy błędy zwykle oznaczają przegraną - mówi. W kwalifikacjach do mistrzostw świata odpadł w drugiej rundzie, przegrywając z Anglikiem Ricky Waldenem, a wcześniej pokonując Florianą Nussle z Austrii. Nie jest zadowolony z ostatniego sezonu, ale tłumaczy, że wiąże się to z decyzją o zmianie pozycji przy stole. Korekty są minimalne (bardziej wyprostowana głowa i nieco przesunięty łokieć), ale na tym poziomie, zanim zadziałają nowe automatyzmy i będzie lepiej, trzeba wkalibrować okres ze słabszymi wynikami.

Zrobiło się popołudnie. Teraz wszystkie stoły snookerowe są zajęte. Druga grupka dzieciaków okupuje te do bilarda. Zajęcia prowadzi Mateusz Baranowski. Przechadza się między stołami, doradzając, korygując błędy. „Bliżej mostek”, „Zatrzymanie i uderzenie. Dwa osobne ruchy”, „Uderz trochę mocniej i poniżej środka”, „Pewnie, mocno, masz zagrać stopbilla”. Co jakiś czas zbiera wszystkich przy jednym stole, demonstrując kolejne ćwiczenie. I znowu słysząc: „więcej rotacji”, „im mocniej zagramy, tym bardziej zmniejszy się kąt odbicia od bandy” itd. Niektórzy z ćwiczących nie potrafią nawet dobiegnąć do środka stołu i aby ustawić bilę, muszą pomóc sobie kijem.

- Ja też tak zaczynałem, zresztą Antek Kowalski również - zauważa trener.

Oprócz tego, że przechadza się wśród ćwiczących, spogląda on na nich również ze ściany, ze zdjęcia. Obok wiszą podobizny innych mistrzów - Michała Kotiuka, Michała Szubarczyka, Antka Kowalskiego, są też Adam Stefanów i Marcin Nitschke. To kadry z zawodów, w pełnej gali.

- Snooker wyróżnia się swoją etyką, dostojnością, elegancją, arystokratycznością. Mamy wizytowe spodnie, koszulę, muchę, kamizelkę, cały dress code. Czy to jest sport elitarny? Nie! Ale jest to sport dośstojny - zauważa Marcin Nitschke. - Przychodzi dziecko. Stawiamy je przy stole, patrzymy, jak się składa do uderzenia, jaki jest ruch kija. Zadajemy proste ćwiczenia. Sprawdzamy predyspozycje. A potem dużo zależy od charakteru. Mamy w swojej historii trzech zawodowych graczy (na pięciu Polaków). Pierwszy był Adaś, później dołączył Antek i w końcu Mateusz. Kiedyś ktoś mi powiedział, że mistrzem się jest wtedy, kiedy wyszkoli się następnych. Ja oczywiście cały czas czynnie gram, niespełna dwa tygodnie temu z Pawłem Rogożą obroniłem tytuł drużynowego mistrza Polski. Latam na mistrzostwa świata, w 2023 zdobyłem, bardzo dla mnie ważne, dwa medale mistrzostw Europy. Kija ni e składam, ale jestem dumny z tego, że Zielona Góra doczekała się takich mistrzów. Jesteśmy snookerową stolicą Polski.

CZY PIASTOWIE BYLI SŁOWIANAMI? NAUKOWCY ZBADALI ICH DNA

Czy podręczniki do historii będą musiały zostać zmienione? – Na pewno trzeba będzie głęboko przemyśleć, czy to, co jest w nich zapisane, ma jakieś racjonalne uzasadnienie – mówi prof. Marek Figlerowicz, kierownik Zakładu Biologii Molekularnej i Systemowej Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN w Poznaniu

Sylwia Rycharska



Stolarek, Michał Golubiński, dr hab. Anna Juras, Dawid Trzciniński, dr Maciej Chyleński, Artur Dębski, dr Aleksandra Losik, prof. Tomasz Jasiński, Anna Wrzesińska, prof. Marzena Matla, prof. Hanna Kóčka-Krenz, prof. Andrzej B. Legocki, prof. Józef Dobosz.

Poszukując materiału do analiz, naukowcy zidentyfikowali około 350 potencjalnych nekropolii piastowskich rozsiadanych po całej Polsce. Jednak jedynie w ośmiu z nich odnaleziono szczątki ludzkie. W sumie badaniami objęto 33 osoby. W przypadku dziesięciu udało się z dużym prawdopodobieństwem potwierdzić ich tożsamość jako Piastów.

– W badaniach znanych postaci historycznych mamy do czynienia z podwójnym wyzwaniem. Najpierw musieliśmy udowodnić, że odnalezione szczątki należą do konkretnych osób, a dopiero potem możemy zastanawiać się nad ich pochodzeniem czy relacjami z innymi rodami. W odniesieniu do średniowiecznej dynastii królewskiej nikt wcześniej nie mierzył się z tym problemem w tak wielkim zakresie – wyjaśnia prof. Figlerowicz.

Projekt objął aż 13 pokoleń dynastii – w obrębie jednej z jej gałęzi, linii mazowieckiej – co czyni go wyjątkowym w skali Europy.

– To wyznaczenie nowych standardów. Po raz pierwszy udało się połączyć tak dużą liczbę danych historycznych, archeologicznych, antropologicznych i genetycznych, by opisać kilkanaście następujących po sobie pokoleń należących do jednej dynastii – podkreśla naukowiec.

Dzięki analizie DNA mitochondrialnego (mtDNA) udało się także powiązać badanych

W sumie badaniami objęto 33 osoby. W przypadku dziesięciu udało się z dużym prawdopodobieństwem potwierdzić ich tożsamość jako Piastów

W kwietniu w prestiżowym czasopiśmie „Nature Communications” opublikowano wyniki badań genetycznych dynastii Piastów. To pierwsze tak szeroko zakrojone przedsięwzięcie, które zamiast rekonstrukcji opartych na domysłach dostarcza twarde dane dotyczące pochodzenia elit tworzących zręby państwa polskiego. Jednocześnie nie przynosi ono prostych odpowiedzi – raczej zmusza do zadania nowych pytań o to, co do tej pory uznawaliśmy za pewnik. Jedno z nich powraca najczę-

ściej: kim byli Piastowie i skąd się wywodzili.

Czy podręczniki do historii do poprawki?

Na pytanie o to, czy wyniki badań wymuszają zmiany w szkolnych podręcznikach, naukowiec odpowiada jasno – choć bez jednoznacznych deklaracji.

– Na pewno trzeba będzie głęboko przemyśleć, czy to, co obecnie jest zapisane, ma jakieś racjonalne uzasadnienie. Wiele przekonań funkcjonujących w świadomości społecznej oraz też stawianych w podręcznikach na temat początków pań-

stwa polskiego, jest raczej swego rodzaju wyobrażeniem i zbiorem życzeń niż opisem opartym na faktach – mówi prof. Figlerowicz.

– Nie mamy żadnych zapisów, które mówiłyby o pierwszych Piastach – skąd pochodzili, czy byli lokalni, czy przybyli z zewnątrz. Dotychczasowe narracje w dużej mierze opierały się na domysłach i scenariuszach dopasowanych do naszych potrzeb i oczekiwań – dodaje.

DNA zamiast domysłów

To jedno z najważniejszych badań dotyczących początków

państwa polskiego w ostatnich latach. Interdyscyplinarny zespół naukowców – genetyków, historyków, archeologów i antropologów z Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN oraz Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu – przez blisko dekadę analizował szczątki

przypisywane pierwszej polskiej dynastii.

Na czele zespołu stał prof. Marek Figlerowicz – inicjator badań i ich kierownik. Pozostali członkowie zespołu to: Michał Zenczak, prof. Luiza Handschuh, dr Małgorzata Marcinkowska-Swojak, dr Ireneusz

PROF. FIGLEROWICZ: SŁOWIAŃSKOŚĆ TO POJĘCIE KULTUROWE – ZWIĄZANE Z JĘZYKIEM, TRADYCYJĄ I TOŻSAMOŚCIĄ. TEGO NIE DA SIĘ ODCZYTAĆ Z GENÓW

Piastów z ponad 200 postaciami z 10 europejskich dynastii królewskich. W grupie tej jest 108 Piastów, 32 Rurikowiczów, 12 Giedyminidów, 23 Arpadów, 15 Przemyślidów, 13 Hohenzollernów, 10 Habsburgów, 8 Wettynów, 5 Andegawenów i 4 Wittelsbachów. Dla wszystkich tych osób przewidziano do jakiej linii mtDNA należeli.

Wyniki te doskonale obrazują skalę powiązań rodzinnych średniowiecznych elit - znacznie szerszą, niż często przedstawia się ją w uproszczonych narracjach.

Co ciekawe, wyniki badań ujawniają też, że w obrębie dynastii piastowskiej mogło dochodzić do tzw. „złamania” linii męskiej, czyli do urodzenia dzieci pozamałżeńskich.

- Wydaje się, że mamy do czynienia z dość typową sytuacją spotykaną w wielu dużych wielopokoleniowych rodzinach - zaznacza naukowiec. - Nie możemy jednak powiedzieć, czy takie zdarzenia miały miejsce wcześniej. Najstarszym z badanych przez nas Piastów był Władysław Herman - wyjaśnia.

Czy Piastowie byli Słowianami?

Największe zainteresowanie budzą wyniki dotyczące linii ojcowskiej. U badanych Piastów zidentyfikowano rzadką haplogrupę chromosomu Y - R1b-BY3549. W ogólnosiłowej bazie danych zawierającej informacje o wszystkich zbadanych dotąd osobach żyjących wcześniej lub w czasach tworzenia się państwa Piastów taką samą haplogrupę stwierdzono u zaledwie trzech osób żyjących w północno-zachodniej Europie (na terenach dzisiejszej Francji, Holandii i Anglii), w tym u jednego angielskiego wikinga z epoki wczesnych Piastów. - Dużo wskazuje na to, że Piastowie mogli pochodzić spoza Polski, gdyż ich haplogrupa chromosomu Y najczęściej występuje w Europie Zachodniej. Nie możemy jednak powiedzieć tego ze stuprocentową pewnością - zaznacza prof. Figlerowicz.

Jednocześnie naukowiec podkreśla ograniczenia takich analiz.

- Trzeba pamiętać, że chromosom Y stanowi mniej niż jeden procent genomu. Tymczasem właśnie na nim skupia się największa uwaga, gdyż tak jak władza w okresie średniowiecza, jest dziedziczony z ojca na syna - mówi.

W praktyce oznacza to, że badania pokazują tylko linię męskich przodków. Nie przesądzają natomiast, kiedy dokładnie pojawili się oni na ziemiach polskich.

Możliwe scenariusze są różne. Przodek z taką haplogrupą mógł przybyć w czasie kształtowania się państwa, ale równie dobrze mógł znaleźć się



Na czele zespołu, który opublikował najnowsze badania dotyczące DNA Piastów, stał prof. Marek Figlerowicz z Instytutu Chemii Bioorganicznej PAN w Poznaniu



Poszukując materiału do analiz, naukowcy zidentyfikowali około 350 potencjalnych nekropolii piastowskich rozsianych po całej Polsce. Jedynie w ośmiu z nich odnaleziono szczątki ludzkie

NAJWIĘKSZYM WYZWANIEM POZOSTAJE DOTARCIE DO NAJSTARSZYCH PRZEDSTAWICIELI DYNASTII - MIESZKA I BOLESŁAWA CHROBREGO

tu znacznie wcześniej. W takim przypadku jego potomkowie - mimo „zachodniego” śladu genetycznego - mogli już w pełni funkcjonować jako lokalna ludność.

Wyniki badań dotyczą też jednego z najbardziej wrażliwych tematów - pytania o „słowiańskość” Piastów.

- Nasze badania pokazują, że nie należeli oni do najbardziej typowej dla Słowian linii R1a - mówi prof. Figlerowicz. Jak jednak podkreśla, nie oznacza to automatycznie, że nie byli Słowianami.

- Słowiańskość to pojęcie kulturowe - związane z językiem, tradycją i tożsamością. Tego nie da się odczytać z genów - tłumaczy.

Nauka kontra mity

Jak zaznacza nasz rozmówca, badania nie są przypadkowe - wynikają z dwóch ważnych pobudek. Po pierwsze z chęci pokazania, że nauka może koncentrować się na zagadnieniach bliskich zwykłym ludziom. Po drugie, z potrzeby skonfrontowania powszechnej świadomości społecznej na temat historii Polski z danymi naukowymi. - To jest próba uporządkowania historii, oczyszczenia jej z mitów, które często powstawały jedynie po to, żeby ich twórcy - i całe społeczeństwo - poczuły się lepiej - mówi.

Zwraca uwagę, że takie opowieści, choć atrakcyjne, mogą prowadzić do nieuzasadnionych uproszczeń.

- Historia jest narracją, którą tworzymy, żeby uporządkować świat, lepiej się w nim poczuć i odnaleźć. Problemy pojawiają się wtedy, gdy nasze wyidealizowane wyobrażenia zaczynamy traktować jak fakty, na podstawie których budujemy swoje przekonania - także te dotyczące współczesności - dodaje.

Co dalej z badaniami Piastów?

To dopiero początek. Zespół zdobył już grant na kolejne badania. Największym wyzwaniem pozostaje dotarcie do najstarszych przedstawicieli dynastii - Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Pozyskanie ich szczątków jest jednak mało prawdopodobne, dlatego badacze szukają innych sposobów, by zbliżyć się do odpowiedzi na pytania związane z pochodzeniem Piastów.

Jednym z kierunków jest analiza cmentarzysk w rejonie Ostrowa Lednickiego - miejsca

ściśle związanego z wczesnym państwem Piastów. Naukowcy chcą sprawdzić, czy charakterystyczna haplogrupa chromosomu Y pojawia się także wśród ówczesnej ludności.

Możliwe, że w wyniku nieformalnych związków geny dynastii przenikały do lokalnej populacji.

- Jeżeli znajdziemy tę rzadką linię genetyczną wśród ludzi żyjących w otoczeniu Piastów, będzie to silna wskazówka, że rzeczywiście była ona dla nich charakterystyczna oraz że w okresie pomiędzy Mieszkem I a Hermanem nie doszło do złamania linii męskiej - tłumaczy prof. Figlerowicz.

Równolegle prowadzone będą badania śląskiej gałęzi dynastii.

- Nie ulega wątpliwości, że dynamiczny rozwój technik pozyskiwania i sekwencjonowania kopalnego DNA może w przyszłości dostarczyć nowych informacji także na temat zbadanych już Piastów - dodaje profesor.

Czym jest archeogenomika?

Opisane badania nad Piastami to przykład interdyscyplinarnego projektu z obszaru archeogenomiki - dziedziny łączącej genetykę z archeologią i historią. Podstawowym obiektem analiz archeogenomicznych jest DNA pozyskiwane ze szczątków ludzkich sprzed setek lub tysięcy lat. To właśnie połączenie wspomnianych dyscyplin sprawia, że współczesna nauka coraz częściej potrafi powiedzieć o przeszłości więcej niż same źródła pisane.

W praktyce oznacza to pracę na materiale genetycznym wydobytym z kości. Naukowcy badają m.in. chromosom Y (linia ojcowska) oraz DNA mitochondrialny (linia żeńska). Każdy z nich pokazuje jednak tylko fragment historii przodków, a nie pełny obraz całego drzewa genealogicznego.

Kluczowym elementem takich badań jest także datowanie szczątków metodą C14, tak zwane datowanie radiowęglowe.

Polega ono na analizie zawartości izotopu węgla w kościach i pozwala określić, kiedy żył dany człowiek. Dzięki temu można zweryfikować, czy wiek szczątków jest zgodny z danymi historycznymi dotyczącymi danej osoby.

FOT. ROBERT WOZNIAK

FOT. INSTYTUT CHEMII BIOORGANICZNEJ PAN W POZNANIU

M/S „BATORY” MAJESTATYCZNIE PŁYNIE DO WENECJI

21 kwietnia 1936 r., równo 90 lat temu,
legendarny transatlantyk wyruszył w swój pierwszy rejs.
Był symbolem aspiracji i dumy II RP

Mariusz Grabowski

Na tle ówczesnej polskiej siemki „Batory” miał być wizytówką polskiej floty i wizualnym narzędziem propagandy. pokazywać Polskę jako kraj nowoczesny. Luksusowy wystrój wnętrza sfinansowały instytucje i banki, meble i dekoracje wykonano z najlepszych materiałów, a wśród pasażerów królowali celebryci.

Fogg tańczy z Ordonką

„Batorego” nie można traktować jedynie jako przedsięwzięcia biznesowego, był bowiem czymś znacznie ważniejszym. Nie tylko cieszył oko, ale realizował mocarstwowe marzenia Polski stania się potęgą morską i pełnił funkcję ambasadora polskiej kultury i sztuki. Nie bez powodu na pierwszy rejs Triest-Gdynia przez Dubrownik, Barcelonę i Lizbonę zaproszono najbardziej znane postacie z ówczesnego świecznika.

Jak pisze Bożena Aksamit w książce „Gwiazdy, skandale i miłość na transatlantyku”: „Był tam m.in. Melchior Wańkiewicz, Arkady Fiedler, Irena Eichlerówna, Monika Żeromska. Poza tym arystokraci, inteligencja, przemysłowcy. Przez dwa tygodnie dobrze bawili się, spędzali czas na dansingach, balach (...) Przedstawiciele elit np. Mieczysław Fogg, czy Hanka Ordonówna pływali także w kolejnych rejsach do Nowego Jorku”. Na pokładzie byli także malarz Wojciech Kossak, aktorka Irena Eichlerówna, a nawet Andrzej Strug, literat, socjalista i wolnomularz.

Później „Batory” miał też mniej spektakularne zadania - podróżowali nim emigranci zarobkowi do Ameryki. Rejsy wycieczkowe były organizowane niejako przy okazji masowego przewozu emigrantów do Ameryki.

Rodzaj się legendy

Statek był olbrzymi: miał 160 m długości, 22 m szerokości, siedem pokładów, salę ba-

lową, sale dancingowe, czytelnię, trzy bary, kaplicę, basen i salę gimnastyczną z elektrycznym koniem i wielbłądem. Dekoracje statku wykonali najwybitniejsi polscy artyści, zrzeszeni m.in. w grupie artystycznej „Bractwo św. Łukasza”, którzy zadbali o projekt nie tylko pomieszczeń ale również najmniejszych detali takich jak zastawa stołowa czy karty dań. Linie pokładu podkreślała biała wystęga burtowa wybijająca się z czarnego kadłuba. Liniowiec miał niezbyt mocno wychyloną, ozdobioną stylizowanym herbem Stefana Batorego dziobnicę.

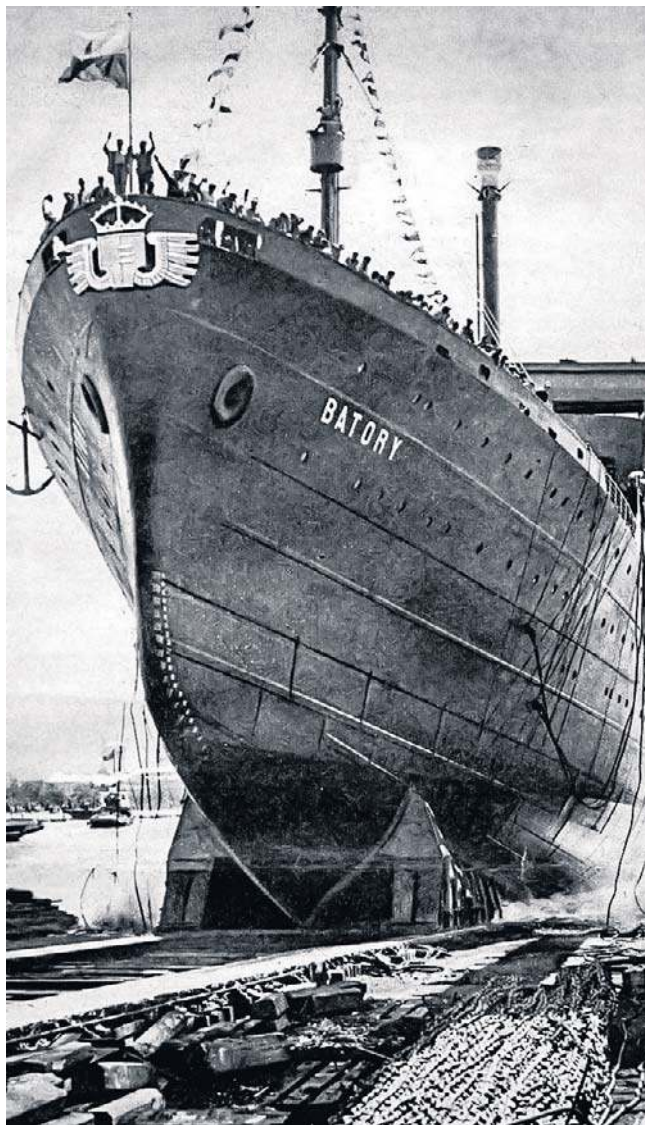
„Swoją najlepszą czas miał podczas międzywojnia, gdy za sterami stał legendarny »Szaman Morski« kapitan Eustazy Borkowski. Postać uwielbiana przez pasażerów, poligłota mówiący kilkunastoma językami i to przeważnie jednocześnie. Przysłowiowa była jego słabość do pań i wysokoprocentowych napojów. Na »Batorym« żartowano, że statek zatonię, gdy kapitan Eustazy Borkowski wytrzeźwieje” - pisze Aksamit.

Żałoga „Batorego”, zgodnie z ogólnym poleceniem szefostwa, była otwarta na pasażerów, spędzała z nimi czas i wspólnie imprezowała. Na statku była też wysmienita kuchnia, która przyciągała gości z zagranicy. Posiłki jedzono na porcelanie z Ćmielowa, sztuczkami Frageta, pod obrazami Zofii Stryjeńskiej.

Państwo wspomaga

Wystrój polskich transatlantyków był wynikiem świadomych założeń. Do jego realizacji powołano nawet specjalną podkomisję artystyczną, której przewodniczącym został artysta i projektant Wojciech Jastrzębowski, projektant wnętrza gmachu Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego - obecnie Ministerstwo Edukacji Narodowej.

„Statki miały stać się pływającymi salonami, świadczącymi o polskiej kulturze artystycznej.



Wodowanie kadłuba odbyło się 3 lipca 1935 roku, a matką chrzestną była Jadwiga Barthel de Weydenthal. 21 kwietnia 1936 wyruszył w swój pierwszy rejs

Komisja zaprosiła do współpracy artystów z rozmaitych środowisk. Zarówno z akademii, jak i politechnik, w tym wielu młodych, wręcz jeszcze studentów” - czytamy na stronie designlive.pl, poświęconej architekturze wnętrz.

Można powiedzieć, że wystrój transatlantyków stał się zatem dziełem zbiorowym. Zaprojektowano nie tylko pomieszczenia, ale także liczne detale, w tym zastawę stołową i karty dań.

Biznes z rozmachem

„Batory” był ikoną stylu, ale miał też zarabiać. Pomysł jego budowy zrodził się na początku lat 30. w zarządzie nowo utworzonej polsko-duńskiej spółki akcyjnej z siedzibą w Gdyni, czyli Polskiego Transatlantycznego Towarzystwa Okrętowego (PTTO).

Jak czytamy w trzecim tomie „Księgi statków polskich 1918-1945”: „11 marca 1930 r. zawarto umowę między Żegluga Polska a Det Østasiatisk

Kompagni o powołaniu spółki akcyjnej Polskie Transatlantyczne Towarzystwo Okrętowe Linia Gdynia-Ameryka z siedzibą w Gdyni. Udział strony polskiej wynosił 75 proc. akcji. Za kwotę 18 mln ówczesnych złotych, rozłożoną na raty i zabezpieczoną na hipotekach statków, strona polska zakupiła całą Bałtycko-Amerykańską Linie ze statkami, biurami i przystanią w Nowym Jorku”.

Jednocześnie podjęto decyzję o zmianie profilu linii północnoamerykańskiej, z emigracyjnej na turystyczną. W takiej sytuacji koniecznością stała się budowa nowych jednostek, które spełniałyby najnowsze standardy. Do budowy przyszłego „Batorego” wybrano włoską stocznnię Cantieri Riuniti dell'Adriatico. Co ciekawe, część zapłaty - 1,25 mln dolarów - miała być zrealizowana polskim węglem.

Kierunek: Nowy Jork

W 1932 r. w miejsce Żegluga Polskiej akcjonariuszem PTTO został Skarb Państwa, a siedzibę przeniesiono z Gdyni do Warszawy. Luksusowe biura mieściła się najpierw w kamienicy na rogu Marszałkowskiej i Żłotej, a potem w Pałacu Kronenberga. W październiku 1934 r. udziałowcy PTTO zdecydowali o zmianie nazwy firmy na Gdynia-Ameryka Linie Żeglugowe S.A., w skrócie GAL, zmieniając też flagę i odznakę armatorską.

Biznes okazał się opłacalny: GAL prowadziły przewozy pasażerskie głównie do obu Ameryki oraz z rumuńskiej Constancy, przez Istambuł, do Hafify i w końcu sierpnia 1939 r. dysponowały ośmioma statkami. Największymi w okrętowej stajni były M/S „Piłsudski” i M/S „Batory” (po ok. 14 tys. BRT), najmniejszym zaś M/S „Stalowa Wola” (3,5 tys. BRT). GAL utrzymywały sieć przedstawicielstw w kraju i za granicą, m.in. w Londynie, Nowym Jorku, Pradze, Rydze, Bukareszcie, Buenos Aires, Tel Awiwie, Kopenhadze i Gdańsku. W Nowym Jorku spółka dzierżawiła początkowo przystań Bush Pier w Brooklynie, a od 1935 r. znacznie większą przystań Hoboken.

Transatlantyki prezentowały się majestatycznie na tle wzburzonych fal, ale ich pasażerami byli najczęściej nie celebryci, lecz biedota: polska emigrująca do Stanów i żydowska do Palestyny.

Polska bieda

Dużo mniej liczny był transport reemigrantów powracających do Polski lub Polaków mieszkających w USA, którzy przyjeżdżali do kraju odwiedzić rodziny. Z dokumentów Muzeum Emigracji w Gdyni wynika, że w Dwudziestolecu w ramach emigracji zarobkowej wyjechało z Polski ok. 2,2 mln osób. Zanim uruchomiono

port w Gdyni, emigranci do Stanów Zjednoczonych i krajów Ameryki Południowej odpływali przeważnie z portów niemieckich i na niemieckich statkach.

„Słońce, wino i dancingi”

Przenieśmy się na „Batorego”, wyruszającego w swój dziewiczy rejs. Rejs był szeroko reklamowany w prasie, stał się towarzyską sensacją i GAL nie miały problemów ze sprzedażą biletów. Jak opisywał później Melchior Wańkiewicz, który codziennie nadawał audycje radiowe do kraju, znalazło się na nim „620 burżujów”. Na późniejsze zarzuty, że artyści i przedstawiciele wolnych zawodów - a to właśnie śmietanka miała testować „Batorego” - sami kupili bilety, odparł, że „biednych na pokładzie na pewno nie było”. „Ci ludzie zarabiali po pięćdziesiąt tysięcy złotych miesięcznie” - odpowiadał pisarz. Dla porównania: nauczyciel zarabiał wówczas około 200 zł miesięcznie, a starszy sierżant policji ponad 250 zł. Z kolei pierwszy rejs z Gdyni do Nowego Jorku, nie licząc postoju w Kopenhadze, zajął „Batoremu” siedem dni i 17 godzin. Na pokładzie byli nie tylko pasażerowie. Do Stanów zabral ze sobą wędliny, nabiał, cement, gięte meble czy blachę. W kolejnych rejsach z i do USA, „Batory” przewoził auta, listy, a nawet samolot, należący do Tomasza Baty, założyciela firmy Bata. Wbrew legendzie, „Batory” nie transportował... żubrów. W listopadzie 1934 r. cztery bizony - dar Polonii kapadyjskiej dla prezydenta RP Ignacego Mościckiego - przewiózł do Gdyni MS „Kościuszko”.

Na wojnie i później

24 sierpnia 1939 r. „Batory” wypłynął z Gdyni, a 30 sierpnia kapitan Borkowski dostał polecenie, by skierować się do najbliższego angielskiego portu. Zdecydował się jednak płynąć do Nowego Jorku, choć do Anglii było dużo bliżej. „Batory” dotarł tam 4 września. Polski transatlantyk Amerykanie wycharterowali Brytyjczykom. Po przejeździe nazywał się H (is) M (ajesty's) T (ransport) „Batory”. „Na wojenny kamuflaż poszło kilka ton farby, statek stał się ciemnoszary, a burty zostały zamalowane w podłużne, faliste pasy o kolorze zielono-czarno-szarym” - pisze Bożena Aksamit. „Batory” służył w czasie wojny Brytyjczykom jako transportowiec z polską załogą, a w 1945 r. wrócił do Polski. Zezłomowano go w 1971 r. Oblicza się, że 35 lat służby odbył 222 rejsy liniowe, przewożąc ok. pół mln pasażerów. W 1952 r. zastąpił go transatlantyk „Stefan Batory”, też przedmiot polskiej dumy, ale tym razem tej socjalistycznej.

S kąd ów numer 5? Od tzw. ślepej próby. Twórca zapachu Ernest Beaux przedstawił Gabrielle Chanel pięć kompozycji zapachowych, z których ta wybrała ostatnią - właśnie 5 próbkę. Zapach od stu lat znaczący terytorium, do którego pariasom wstęp jest niewskazany.

Coco i Ernest

Zacznijmy od odpowiedzi na najważniejsze pytanie: tak, to prawda, to nie Coco Chanel stworzyła ten zapach, ona go tylko zaaprobowała. W 1921 r. 38-letnia Chanel, czyli Gabrielle Bonheur Chanel, była od dwóch lat właścicielką domu mody przy Rue Cambon pod marką Chanel. Proponowała klientom styl à la „skromna panienka”, propagujący wygodne ubrania na bazie dzianin, np. dżerseju.

Dwa lata starszy od Chanel Ernest Beaux był w 1921 r. prawdziwą legendą perfumiarstwa. Pracował w Rosji dla firmy A. Rallet & Co., która była głównym dostawcą perfum dla dworu Romanowych. Po wybuchu rewolucji Beaux uciekł do Francji i został zatrudniony w firmie Chiris, która przejęła Rallet. To tam znalazła go Chanel i złożyła zamówienie na perfumy odpowiednie dla jej domu mody i jej stylu.

W tle Romanowowie

Historia znajomości obojga bohaterów i sekretów ich związków uczuciowo-biznesowych, doczekały się ogromnej bibliografii i opracowań. Większość pomija jednak informację, że Beaux, człowiek równie zdolny co obrotny, niespecjalnie się przy perfumach dla Chanel napracował.

Hal Vaughan, amerykański dziennikarz (i były oficer wywiadu, co wiele tłumaczy), autor tomu „Sleeping with the Enemy. Coco Chanel's Secret War” pisze wprost, że perfumiarz po prostu delikatnie zmodyfikował swoje perfumy Bouquet de Catherine, skomponowane w 1913 r. dla Aleksandry Fiodorownej, żony cara Mikołaja II.

Warto dodać, że ową Katarzyną od bukietu była caryca Katarzyna II Aleksiejewna Wielka i że w 1913 r. przypadało 300-lecie dynastii Romanowów. Beaux wyszedł zapewne z założenia, że Bouquet de Catherine nie będzie już miał zastosowania, z powodów czysto praktycznych: końca dawnej Rosji i eliminacji rodziny carskiej przez bolszewików.

Wielki książę doradca

Vaughan odtworzył dość dokładnie realia pierwszego spotkania Chanel-Beaux. Ponoć pomysłodawcą był już w 1920 r. wielki książę Dymitr Pawłowicz Romanow, znany z udziału w zabójstwie Grigorija Rasputina, w latach 20. pretendent do tronu Rosji, a przy tym ówczesny przyjaciel projektantki. Znał Beauxa jako twórcę stworzonego przezeń w 1912 r. zapachu Bouquet de Napoleon, którym z lubością

CHANEL NR 5: KLUCZ DO LEPSZEGO TOWARZYSTWA

5 maja 1921 r., nieco ponad wiek temu, narodziły się legendarne perfumy Chanel nr 5. Nie tylko upajały zapachem, ale dawały bilet wstępu do świata elit

Mariusz Grabowski



Ponoć pomysłodawcą flakonu Chanel 5 był już w 1920 r. wielki książę Dymitr Pawłowicz Romanow, a inspiracją były butelki wódki noszone przez rosyjskie wojska

skraplali się w Moskwie i Petersburgu arystokraci ancien régime'u. Nie bez powodu - sto lat wcześniej miała miejsce krwawa bitwa pod Borodino.

Na spotkanie w siedzibie Chiris Canal udał się właśnie z Dymitrem. Wąchanie trwało kilka godzin. Rozmawiano po francusku, ale także po rosyjsku. Gdy wreszcie Chanel zdecydowała się na piątą z kolei próbkę, Beaux zapytał ją, jak chce nazwać wybrany zapach, odpowiedziała: „Zawsze wprowadzam moją kolekcję piątego dnia piątego miesiąca, więc liczba 5 wydaje się przynosić mi szczęście - dlatego nazwę go No. 5”.

Co było dalej?

Odpowiedź może wydawać się banalna, ale do biografii projektantki pasuje jak ulał. Zgodnie z zasadą, że banały sprzedają się najlepiej. Z licznych biografii Chanel wiemy, że autentycznie lubiła ten zapach. W przeciwieństwie do wielu innych, które już w latach 30. komponowano w jej laboratorium perfumeryjnym przy Rue Cambon.

Beaux sprytnie zataił pochodzenie zapachu, ale kontynuował pracę dla Coco Chanel i innych domów modyowo-projektowych do końca życia (zmarł

w 1961 r.), pozostawiając po sobie dziedzictwo jednego z najbardziej wpływowych perfumiarzy XX w.

Porzucony przez Coco wielki książę Dymitr poznał Amerykankę Audrey Emery, spadkobierczynię wielkiej fortuny, i ożenił się z nią w 1926 r. przy wielkim zainteresowaniu opinii publicznej. Małżeństwo po dziesięciu latach zakończyło się rozwodem, ku wielkiej rozpaczy wielkiego księcia. Wiemy, że ocalone z rewolucji październikowej rodzinne perły księcia zatrzymała dla siebie Coco, tajemnica pozostaje, czy tytułarna wielka księżna używała Chanel nr 5. Byłoby to chyba zbyt perwersyjne nawet dla zabójcy Rasputina.

Trochę filozofii

Zapomniany dziś niemiecki socjolog Georg Simmel (1858-1918), który wiele uwagi poświęcał zagadnieniu postrzegania zjawisk zmysłowych, zwrócił uwagę, że człowiek poznaje świat w zależności od „natężenia” różnych narządów zmysłowych. Owo zwrócenie uwagi na rolę sensoryki w konstruowaniu rzeczywistości społecznej przyczyniło się do stworzenia przezeń podstaw dla rozwoju

specjalizacji zwanej socjologią zmysłów.

Co Simmel ma wspólnego z Chanel nr 5? Wbrew pozorom sporo. Jeśli konstruujemy rzeczywistość sensorycznie, to dla zmysłu węchu kluczowe są wonie i zapachy, które można by nazwać „tożsamościowymi”. To one wyznaczają społeczno-towarzyski krąg, w którym obraca się podmiot poznawczy. Innymi słowy, elity mają swoje zapachy-klucze. Jednym z nich jest Chanel nr 5.

Ile to kosztuje?

To nigdy nie były bowiem perfumy egalitarne. Przeciwnie, reklamowano je jako zapach dla klasy wyższej. Choć od 1921 r. były kilkakrotnie modyfikowane zapachowo (mniej więcej co dwie dekady), wciąż mają opinię tych „z najwyższej półki”. Zachowane egzemplarze perfum z lat 20. i 30. przechowywane są obecnie w specjalnie zaprojektowanych diamentowych flakonach z tzw. nasadką baudruchage. To klasyczna technika uszczelniania flakonów perfum, polegająca na nałożeniu cienkiej membrany (skóry lub materiału) na korek i zawiązaniu jej jedwabną nicią.

Wiekowy flakon Chanel Grand Extrait kosztuje dziś ok. 5 tys. dolarów. Mniej niż Clive Christian No.1 Imperial Majesty (ok. 12 tys.), Clive Christian No.1 (ok. 10 tys.), czy nawet Baccarat Les Larmes Sacree de Thebes (ok. 7 tys.). Ale tamte nie mogą pochwalić się nawet ułamkiem legendy, która przylgnęła do Chanel.

Gratis? Ależ to miłe

Kompozycję Chanel nr 5 tworzyło i tworzy ok. 80 składników, z których główne to jaśmin, róża stulistna, irys, ylang ylang, wetiveria, wanilia, ambra oraz olejek sandałowy. Najcenniejszym składnikiem jest jaśmin, pochodzący tradycyjnie z Grasse na Łazurowym Wybrzeżu. Grasse słynie ze swego przemysłu perfumeryjnego już od XVIII w. Jest ponadto światowym centrum naturalnych aromatów, co tamtejszym producentom przynosi ponad 600 mln euro rocznie.

Pierwsze flakony nr 5 trafiły do klientów na Boże Narodzenie 1921 r. Za rzeczywisty początek sprzedaży uznaje się jednak połowę roku 1922, ze względu na to, że pierwsze 100 flakonów Chanel zdecydowała się podarować swoim najlepszym klientom w ramach prezentu świątecz-

nego. Ta nietypowa promocja, idealnie pasująca w megalomańskie gusta elit, okazała się bezcenną inwestycją - jakby to określił Simmel - w „sensoryczne poczucie wyższości”.

Bracia zza oceanu

Coco Chanel perfumy promowała, ale ich nie produkowała. Tym od 1924 r. zajmuje się konsorcjum, w którym projektantka miała 10 proc. udziałów, natomiast reszta należała do rodziny Wertheimer. Dziś marka Chanel jest w całości prywatną własnością tej rodziny.

Powiedzieć, że reprezentujący ją bracia Alain Ernest i Gérard Paul Philippe są ekscentryczni, to jakby nic nie powiedzieć. Wertheimerowie nie mają w zwyczaju się pokazywać nawet podczas wizyt w siedzibie swej firmy w Paryżu. Podobno są entuzjastami muzyki klasycznej i bywają w Théâtre du Châtelet, rokrocznie oglądają też wyścigi konne l'Arc de Triomphe. Nie czują się jednak w obowiązku uczestniczyć w wydarzeniach organizowanych przez Chanel. Prywatnie wydają się prowadzić dyskretne życie w otoczeniu najbliższych rodzin.

Czy ich żony i córki lubią zapach nr 5? Nie wiadomo. Brigitte Laloum, żona starszego z braci - Alaina Ernesta - zapytana w 2001 r. przez dziennikarkę „Cosmopolitan” o legendarne perfumy, sprytnie wykreśliła się od odpowiedzi.

Zapach i polityka

Można powiedzieć, że milczenie Brigitte Laloum w tej kwestii nie ma znaczenia. Bo skoro numer 5 upodobała sobie Marilyn Monroe, a reklamowały je Catherine Deneuve, Carole Bouquet, Nicole Kidman i Estella Warren (nie tylko aktorka, ale też pływaczka synchroniczna), legenda marki ma się wciąż doskonale.

Wspomniany Hal Vaughan sugeruje, że nie zaszkodziły jej wypadki, które inne marki zmiołyby w niebyt. Choćby ewidentną kolaborację Coco Chanel z hitlerowcami, czy jej jawnie antysemickie poglądy. Chanel nr 5 łączyła i łączy elity ponad polityką - sugeruje Vaughan, niczym jakiś sekret, niewidzialny dla społeczeństwa zwykłego.

Przykład? Po wyzwoleniu Francji przez aliantów, we wrześniu 1944 r., Coco została na krótko aresztowana, ale szybko wypuszczono ją na wolność, m.in. dzięki protekcji Winston Churchilla. Do Francji powróciła dopiero w 1954 r., jak gdyby nigdy nic, proponując kostium składający się z prostego żakietu bez kołnierzyka, wykonanego z plecionką, w zestawieniu ze spódniczką do kolan.

Churchill nie używał nr 5 z powodów oczywistych. Ale jego żona Clementine jak najbardziej. Arystokraci wszystkich krajów łączyli się. Najlepiej pod symbolem flakonika perfum.

„POSZUKIWANY, POSZUKIWANA”. MARYSIA KONTRA PRL

Schemat pod hasłem „Chłop przebrał się za babę” z różnymi efektami funkcjonuje w historii komedii od czasu narodzin kina. Nic zatem dziwnego, że po pomysł sięgnął także specjalista od absurdów PRL-u – Stanisław Bareja. Minęły 53 lata od premiery jednego z jego najbardziej rozpoznawalnych i lubianych filmów, czyli „Poszukiwany, poszukiwana”

Wojciech Obremski

Któż nie zna historii Stanisława Marii Rochowicza, pracownika muzeum, który, niesłusznie oskarżony o kradzież obrazu, musi ukrywać się w kobiecym przebraniu jako pomoc domowa, póki nie namaluje kopii zaginionego płótna?

Początkowo film miał nosić tytuł „Kariera Stanisława Marii R.”, zaś jego twórcy mieli wątpliwości, czy scenariusz nadaje się na ekran – myśleli bardziej o scenie teatralnej. A skoro przy scenariuszu jesteśmy, został on napisany przez Bareję (który, jak stwierdził, miał dość blahych i słodkich filmów w stylu „Żony dla Australijczyka”) wraz z Jackiem Fedorowiczem, zaś pomysły na niego podsunęła reżyserowi jego żona Hanna Kotkowska-Bareja. Otóż pracując jako historyk sztuki w Muzeum Narodowym, usłyszała historię rzekomego zaginięcia rzeźby dłuta Alfonsa Karnego. Artysta zabrał dzieło ze sobą, ale fakt ten nie został pokwitowany przez dyrektora, toteż rzeźbę uznawano za zaginioną, a podejrzanie padło na młodą pracownicę muzeum. Mało tego: w owym czasie państwo Barejowie zatrudniali niańki do opieki nad dziećmi, co również miało wpływ na filmową postać Marysi. Inspiracją miały być też zapiski pewnej kobiety, która – nie mogąc znaleźć po studiach pracy w swoim zawodzie – zatrudniła się jako pomoc domowa.

Za brzydka lub zbyt przysadzista

Pozostało pytanie, kto zagra głównego bohatera. Zdecydowano, że będzie to Janusz Gajos lub współscenarzysta filmu Jacek Fedorowicz, których ubrano w damskie stroje i umalowano. Efekt?

– Panie charakteryzatorki robiły co mogły, ale... To, co zobaczyłem w lustrze, było przerażające. Patrzyła na mnie stara, brzydka, mało brzydka: odrażająca kobieta lekkich obyczajów. Z czarnym zarostem, który podczas wszyst-

kich zabiegów zdążył wyrosnąć i przebić warstwę podkładu. Decyzja była oczywista – Marysię może grać każdy, tylko nie ja. (...) – wspominał Jacek Fedorowicz. Podziękowano także Januszowi Gajosowi, który miał odznaczać się zbyt przysadzistą sylwetką. – Rzec można, że porażkę musieliśmy wraz z Gajosem przyjąć z odpowiednią pokorą – dodał Jacek Fedorowicz. Postawiono więc na Wojciecha Pokorę.

– Nie chciałem grać tej roli. Miałem świeżo w pamięci Lemmona i Curtisa z „Pół żartem, pół serio”. Byłem pewien, że lepiej już nie można zagrać i nie trzeba. Ale Staszek Bareja nie dawał za wygraną. Wydzwaniał i przychodził do nas dniami i nocami. Nie mówiąc o reżyserze, scenografie, operatorze, którzy mnie nachodzili i mówili: „Wojtek, tylko ty, tylko ty”. W końcu moja żona powiedziała: „Weź tę rolę, bo inaczej nie dadzą nam spokoju!” – opowiadał po latach Wojciech Pokora. Mimo zgody, aktor za nic w świecie nie chciał zakładać damskich ubrań. Któryś z filmowców wpadł jednak na pomysł, by Pokora grał odziany w rzeczy swojej żony, na co ten przystał. Mimo to miał żałować swojej decyzji jeszcze przez długie lata. – Posiadając obecną wiedzę, na pewno nie przyjąłbym tej roli. Zapisła się ona w pamięci Polaków, ale i sprawiła, że nie mogłem się uwolnić od łatkii Marysi. Wielokrotnie ludzie krzyczeli za mną na ulicy: „Te, Maryśka!” albo wołali na plaży: „Marysiu, zupa ci kipie!”. To była etykieta, której nie mogłem się pozbyć. I zresztą nigdy na dobre jej się nie pozbędę. Niechaj będzie i tak – mówił aktor w rozmowie z Krzysztofem Pyzią w książce „Z Pokorą przez życie”. Pokora wspominał również, że przez kilka następnych lat dzwonili do niego różni ludzie z propozycją zatrudnienia go w charakterze pomocy domowej, przez co musiał trzykrotnie zmieniać numer telefonu. – Nieustannie też dzwonił do-



Prócz głównego komicznego wątku, jakim były losy Stanisława vel Marysi, film dał okazję Barei ukazania przedstawicieli różnych warstw społecznych dekady Gierka

mofon; jak ktoś wracał z nocnej zabawy i przechodził obok naszego domu, to czuł się w obowiązku zadzwonić i zapytać o Marysię. Już nawet nie chcę mówić, co było na ulicy – opowiadał Wojciech Pokora.

Ręka Tyma, spalone kotlety i donos

Rolę żony Rochowicza początkowo zaproponowano Stanisławie Celińskiej, która jednak odmówiła, gdyż obawiała się, iż przez nie najlepszą renowę Barei, jaka wówczas go otaczała, mogłaby nie dostać w przyszłości ról u takich reżyserów, jak Kazimierz Kutz (to on ukuł niesławny termin „barezizm”, oznaczający twórczość o nikłej wartości) czy Krzysztof

Zanussi. Panią Rochowiczową zagrała więc Jolanta Bohdal, a prócz niej na ekranach widzimy całą plejadę ówczesnych gwiazd rodzimego ekranu. Są to między innymi: Jerzy Dobrowolski, Bohdan Łazuka, Mieczysław Czechowicz, Wiesław Gołas, Jan Kobuszewski i wielu innych. Mało kto wie, że w filmie wystąpił też Stanisław Tym, a raczej... jego ręka. Jak do tego doszło? Otóż Tym odpowiedział pewnego razu na planie Jerzego Dobrowolskiego, wcielającego się w „wiecznego” dyrektora. Jako że aktor chciał zrekomensować sobie koszty dojazdu, zapytał Bareję, czy nie znalazłaby się dla niego jakaś mała rolka, za którą dostałby dniówkę. Re-

żyser zgodził się i obsadził go w roli osoby, która w czołówce filmu stempluje obraz. Widać jednak tylko dłoń Tyma.

W scenie, w której Marysia smaży kotlety bez tłuszczu, Pokora rzeczywiście przypalił mięso. Zdenerwowało to Bareję, który oznajmił, że pokaże, jak to się robi, po czym... spalił kotlety na węgiel. Zaś podczas kręcenia sceny, w której Marysia nokautuje inżyniera Rawicza, przez co ten spada ze schodów, kierownik produkcji Jan Szymański stwierdził, że ze względów oszczędnościowych zrezygnuje z kaskadera, osobiście go zastępując. W efekcie został poważnie kontuzjowany. A pamiętny moment, w którym bohater(ka) próbuje wyciągnąć z wody wielkiego psa swoich pracodawców, Pokora przypłacił pogryzieniem przez zwierzę oraz... zniszczeniem białizny i sukienki.

Niektóre sceny powstawały w mieszkaniu państwa Barejów. Pewnego razu do drzwi zapukali kontrolerzy skarbowi, twierdząc, iż dostali anonimowy donos, jakoby reżyser remontował sobie mieszkanie na koszt filmu. Owszem, prace remontowe były, jednak w innej części budynku, a Bareja miał na wszystko faktury. Kontrolerzy więc przeprosili, a anonimowa donosicielka przestała być anonimowa – okazała się nią sąsiadka, a zdradził ją specyficzny krój czcionki maszyny do pisania, na którym napisała donos.

Prócz głównego komicznego wątku, jakim były losy Stanisława vel Marysi, film dał okazję Barei ukazania przedstawicieli różnych warstw społecznych dekady Gierka. Był to pierwszy film reżysera, w którym obśmiewał peerelowską codzienność, co wkrótce stało się jego znakiem rozpoznawczym. Mamy tu nierozgarniętego dyrektora („Mój mąż? Mąż jest z zawodu dyrektorem!”), produkującego pokątnie alkohol profesora, badającego „zawartość cukru w cukrze” czy nowobogackich prywaciarzy i ich rozpieszczonego do granic synalka.

Zero tolerancji dla „wyszydzenia władzy”

Film powstawał głównie w Warszawie, jednak początkowa scena dziejąca się w Muzeum Narodowym została nakręcona w pałacu w Kozłowie, w województwie lubelskim. Zaś kamienica, w której mieszkali państwo Rochowiczowie, mieściła się w stolicy przy ulicy Grzybowskiej 46. „Mieściła się”, gdyż w 2025 roku ją wyburzono, ku niezadowoleniu wielu fanów filmu. A co do reżysera, jego także widzimy na ekranie; Bareja wcieliła się bowiem w mężczyznę, któremu pod koniec filmu główny bohater przejeżdża autem po stopie.

Premiera filmu „Poszukiwany, poszukiwana” odbyła się 22 kwietnia 1973 roku. No i się zaczęło. – Po kolaudacji ówczesny szef kinematografii radził mi, żebym poszukał sobie zajęcia w telewizji, może w krótkim metrażu – wspominał w 1981 roku w wywiadzie dla tygodnika „Film” Stanisław Bareja.

Z kolei pisarz Jerzy Jesionowski oskarżył Bareję o „humor niskich lotów i nadmierne wykorzystywanie stereotypów”, podkreślając, że nie będzie tolerancji dla wyszydzenia władzy w twórczości filmowej. Inne recenzje były w podobnym tonie – w zasadzie tylko Ewa Nurczyńska z łódzkiego tygodnika „Odgłosy” dopatrywała się pozytywów. „W ostatnim epizodzie spotykają się Jerzy Dobrowolski z Wojciechem Pokorą. No i stało się: za ten, tym razem i scenariuszowy i aktorski popis, można darować i resztę” – pisała dziennikarka.

Dla odmiany obraz doceniono za oceanem: w 1974 roku został wyróżniony podczas festiwalu Queens Council of the Arts w Nowym Jorku. Zresztą i nad Wisłą radził sobie znakomicie, a kina pękały w szwach. „Poszukiwany, poszukiwana” pozostaje jedną z najbardziej kultowych polskich komedii tamtych lat i mimo pięciu dekad na karku nie starzeje się. Wręcz przeciwnie: kolejne emisje zapewnijają mu nowe pokolenia fanów.



Karczma sądowa w Marczycach popada od lat w ruinę

FOT. DOLNOŚLĄSKI WOJ. KONSERWATOR ZABYTKÓW (2)

TE KARZMZMY SĄDOWE URATOWANO

Najstawniejsza karczma sądowa w Karpaczu znajdowała się na miejscu obecnej gospody „Bachus”, przy ulicy Konstytucji 3 Maja. Jej istnienie, potwierdzają zapiski z 1602 roku. Przez XVIII wiek, właścicielami karczmy była rodzina Exnerów. Po drugiej stronie ulicy, znajduje się lipa sądowa, pod którą dawniej obradowano. Drzewo uznano za pomnik przyrody.

Kolejna karpacka karczma sądowa, znajdowała się w obecnym Karpaczu Górnym. Dzisiaj znajduje tu hotel „Morskie Oko”.

Trzeci z miejscowych relikwów dawnego sądownictwa, znajduje się w Karpaczu, w budynku, zlokalizowanym przy dzisiejszej ulicy Kolejowej 14, gdzie obecnie urządzono pensjonat.

W byłej karczmie sądowej we wsi Wolimierz mieści się Dom Gościnny „Przydębnie” i wielu gości spędza tu swój wolny czas, bawiąc się w sali gdzie odbywały się rozprawy.

W Wojanowie, w byłej karczmie sądowej mieści się świetlica wiejska

W Chromcu w dawnej karczmie sądowej także jest świetlica wiejska

W Bukowcu budynek ładnie odnowiony i jest w rękach prywatnych

W Uniemyśle okazała drewniano-murowana budowla z konstrukcją wieńcowo-przysłupową została wzniesiona w II połowie XVIII wieku i była siedzibą dziedzicznych sołtysów wsi. Obecnie karczma stanowi siedzibę Suddeckiej Stacji Terenowej Klubu Przyrodników.

KARZMZMY SĄDOWE CZEKAJĄ NA RATUNEK

To były miejscem spotkań mieszkańców, a także siedziby lokalnej władzy. Tu odbywały się sądy, ale można było też zjeść, przenocować i zabawić się. Na Dolnym Śląsku są karczmy zagospodarowane i są takie, które ledwo się trzymają. Jest szansa, by je uratować.

Alina Gierak

Karczmy sądowe to dawny typ zajazdu, pełniący funkcję lokalnego centrum administracyjno-sądowego. Szczególnie popularne były na Śląsku w XVII-XVIII wieku. Oprócz funkcji gastronomicznej i noclegowej, było to miejsce, gdzie sołtys lub starszyzna wiejska rozsądzały spory sąsiedzkie, zbierali podatki i ogłaszali wyroki.

Karczmy te stanowiły również miejsce rozrywki, wesel oraz pełniły funkcję lokalnego forum wymiany informacji. Znajdowały się zazwyczaj w środku wsi. Podróżni chętnie je odwiedzali bowiem prócz jedzenia i napojów oferowały zwykle niedrogie noclegi.

Na ratunek karczmie sądowej w Marczycach

Dawna karczma w Marczycach, wsi nad zalewem Sośnówka, jest jednym z najstarszych zabytków architektury przysłupowo-szachulcowej w regionie. Budynek datowany jest na rok 1716 (na portalu), jednak z dużym prawdopodobieństwem jest on znacznie starszy. Od lat pozostaje niereмонтowany, bo właściciele nie stać na kosztowny remont zabytku.

Z pomocą przyszedł dolnośląski wojewódzki konserwator zabytków. - Ze względu na ograniczone możliwości właścicieli, a przede wszystkim unikatowy charakter budynku w skali Dolnego Śląska,

podjęto nietypową, ponadstandardową próbę wsparcia przez służby konserwatorskie. Obejmuje ona realną pomoc w przygotowaniu inwentaryzacji, badań konserwatorskich, dokumentacji projektowej oraz późniejsze wsparcie na etapie pozyskiwania funduszy na zabezpieczenie konstrukcji i realizację prac - wyjaśnia Dolnośląski Wojewódzki Konserwator Zabytków.

Spotkanie w tej sprawie już się odbyło. Wykonano skan 3D budynku, punktowe badania rezystografem oporowym, umożliwiające analizę gęstości drewna oraz diagnostykę stanu zachowania konstrukcji, a także dokonano analizy architektonicznej budynku,

wskazując jednocześnie na wcześniejsze - o ponad wiek - rzeczywiste datowanie obiektu.

Pierwszym etapem ratowania zabytku będzie przygotowanie dokumentacji inwentaryzacyjno-projektowej, obejmującej również wyniki przeprowadzonych badań.

Szansa dla karczmy w Miskowicach

Więcej szczęścia miała Karczma Książęca w Miskowicach koło Lubawki z pocz. XVI wieku. Właśnie trafiła w ręce nowych właścicieli.

- Planujemy przywrócić jej historyczny kształt, dawną funkcję i dostosować do współczesnych potrzeb.



Karczma w Miskowicach będzie uratowana

FOT. AGATA ROME FB

Trzymajcie kciuki za powodzenie tego projektu - dziel się radością na profilu społecznościowym.

Karczma Książęca jest jednym z najciekawszych przykładów budownictwa ludowego w Sudetach. Znajduje się u podnóża niewielkiego wzniesienia zwanego Książęcą Kostką (605 m n.p.m.). Zasadniczą część budynku powstała w XVII wieku.

Według lokalnych podań na miejscu obecnej karczmy, już w 1012 roku miał znajdować się dwór myśliwski czeskiego księcia Michała, właściciela ziem trutnovskich i żaclęskich. W drugiej połowie XVIII wieku (1772 lub 1774 roku) budowla została grun-

townie przebudowana przez architekta J.C.Bönscha.

Ciekawostką jest fakt, że w 1810 roku w tym właśnie miejscu spotkali się potajemnie czołowi pruscy politycy: minister, baron Karl von Stein i przebywający na emigracji minister spraw zagranicznych, książę Karl August von Hardenberg.

Prawdopodobnie w karczmie powstały szkice reformy Prus w obliczu klęski z wojсками Napoleona. Dla upamiętnienia tego wydarzenia wystawiono pomnik na wzgórzu Książęcej Kostki. Niestety uległ on zniszczeniu, zachowały się jedynie porożrzucane granitowe płyty i przewrócony krzyż.

Wywiad tygodnia Przełamanie bariery 1:55:00 byłoby ogromnym szokiem dla świata nauki i sportu, ale...

Fenomenalny rekord świata w maratonie to tylko etap przejściowy, a nie kres możliwości

Adam Godlewski
redakcja@polskapress.pl

Rozmowa z profesorem Janem Chmurą - fizjologiem i maratończykiem, który prowadząc badania także na sobie między 63. a 76. rokiem życia, zdobył m.in. koronę World Marathon Majors oraz koronę Siedmiu Kontynentów. Ilegitymuje się działającym na wyobraźnię rekordem życiowym 3:22:57.

Człowiek złamał kolejną niewyobrażalną do niedawna granicę - Sebastian Sawe przebiegł maraton poniżej dwóch godzin. Jak podchodzi do takiego wyczynu nauka, fizjologia?

To wydarzenie epokowe, datę 26 kwietnia 2026 roku zapiszemy szczególnym kolorem w historii. Świat sportu czekał od dłuższego czasu na przełamanie bariery dwóch godzin, można ją porównać do przekroczenia granicy dziesięciu sekund w sprincie. Prywatnie - jako maratończyk, który przebiegł dwadzieścia pięć klasycznych maratonów - mogę powiedzieć, że dla mnie to szok. Jako naukowiec wiem jednak, że możliwości człowieka są oczywiście większe. O czym zresztą przekonamy się szybciej niż później.

Jak ten czas, 1:59:30 uzyskany przez Kenijczyka, przekłada się na poszczególne odcinki?

Na wstępie powiem, że rekord padł w Londynie, gdzie - swoją drogą - startowałem w tym samym czasie, kiedy biegł tam Eliud Kipchoge - ówczesny rekordzista świata. I nie ma w tym grama przypadku, bo trasa jest niebywale ciekawa, płaska; wymagająca, ale też sprzyjająca nabraniu właściwej prędkości. Konkretnie - średnia Sawe wyniosła 21,19 km/h. Czyli 5,89 m/s! To naprawdę coś trudnego nawet do wyobrażenia - każdy kilometr przebiegnięty w 2,49 s., każde sto metrów w granicach 16,9 s. Proszę wejść na bieżnię lekkoatletyczną i przebiec po prostu klasycznym sprinterskim odcinkiem w podobnym czasie. Uczeń szkoły średniej powinien - raz - dać radę. Dla 20-latka, może to już być jednak problem.

A trzeba jeszcze wziąć pod uwagę, że Sebastian druga część dystansu pokonał o minutę i osiem sekund szybciej,

niż biegł do półmetka! Druga połowa była wręcz znacząco szybsza pomimo narastającego zmęczenia, co pokazuje, jak Kenijczyk jest fenomenalnie wytrenowany. I potwierdza... moją teorię progu psychomotorycznego zmęczenia. W przypadku Sawe przesunięto za nieosiągalne dotąd granice.

Czym możemy tłumaczyć gigantyczne wręcz przyspieszenie maratończyków w ostatnich latach?

Jeśli popatrzymy przez pryzmat 57 ostatnich lat na rekord świata, to rzeczywiście był poprawiany sukcesywnie, ale raczej kosmetycznie. 30 maja 1969 w Antwerpii Dirk Clayton przebiegł dystans w 2:08:34. Czyli wynik przez niemal sześć dekad został przesunięty o nieco ponad 9 minut. Tyle że aż dwie minuty i dziewięć sekund udało się „urwać” w ostatnim czteroleciu. To pokazuje, w jak niewiarygodnym tempie następuje teraz rozwój maratonu na świecie. Rekordy bite są obecnie o minuty, nie sekundy. Świętej pamięci Kevin Kiptum poprawił wynik Kipchoge o ponad minutę i teraz Sawe też „dołożył” ponad minutę. To naprawdę dowód, że nauczyliśmy się wykorzystywać możliwości organizmu człowieka lepiej niż przez całe wcześniejsze półwiecze.

Jak długo, pańskim zdaniem, będziemy czekali na następne - niewyobrażalne dziś - rekordy świata? I czy kolejny znów będzie lepszy o minutę z okładem?

Przełamanie wyniku 1:55:00 byłoby ogromnym szokiem dla świata nauki i sportu, bo nikt nie jest jeszcze na to gotowy, ale myślę, że już powinniśmy się nim...oswajać. Oczywiście wiem, że najnowsze modele prognostyczne jako limit biologiczny naszego organizmu pokazują czas 1:58.00 na dystansie 42 kilometrów i 195 metrów, ale moim zdaniem to etap przejściowy, a nie prawdziwy kres ludzkich możliwości. Naturalnie, mam świadomość, że aby złamać wskazaną przeze mnie granicę biegacz musi każde 100 metrów pokonać średnio w 16,3 sekundy, a każde 5 kilometrów w 13,37 minuty, czyli każdy kilometr przebiegać o 7 sekund szybciej niż świeżo



Rekordzista świata Sebastian Sawe został powitany w Kenii niczym narodowy bohater

kreowany rekordzista świata Sawe i generalnie utrzymać tempo 22 km/h, ale to jest możliwe! Tylko wymaga wyjścia poza schematy i całkowitego przededefiniowania granic ludzkich możliwości. Nasze myślenie musi być ukierunkowane na coraz wyższe obciążenia treningowe. Nauka musi wreszcie wejść w sferę neurofizjologicznego przełamania bariery zmęczenia w mózgu. Współczesny trening właśnie w biegach długodystansowych musi być nakierowany na strefę rezerwy psychomotorycznej, która mieści się między progiem beztlenowym a progiem psychomotorycznym zmęczenia, i jest związana z funkcjonowaniem ośrodkowego układu nerwowego. Musimy wejść w tak zwaną sferę pełnej integracji neurometabolicznej. Czyli nie możemy koncentrować się na pracy nóg, czy na układzie sercowo-naczyniowym, w mięśniach, ale musimy się opierać coraz mocniej - we współczesnej technologii treningowej - o filar neurologiczny, nerwowy.

A przekładając z języka naukowego na praktykę treningową, co zmieni się w pierwszej kolejności?

Trzeba wziąć pod uwagę przede wszystkim wytwarzanie energii. Suplementacja ketonowa czwartej generacji to podstawa. Niezwykle istotna

jest także redefinicja biomechaniki, a dokładnie podejście do obuwia. Buty czwartej generacji o zmiennej sztywności kompozytowej powodują, że im zawodnik przekazuje większą energię podłożu, tym większy zwrot otrzymuje od układu mechanicznego buta. A to zwiększa dynamikę ruchu i prędkość biegu. Dodać trzeba zagadnienia związane aerodynamiką i redukcją oporu, trwają już także badania nad modyfikacją nawierzchni w biegach długodystansowych, ale to temat na osobne opowiadanie. Historia sportu pokazuje, że każda wielka granica była na początku więzieniem umysłu dla zawodników. I na tym trzeba się skupić. Bo chodzi o to, że - oczywiście starannie wyselekcjonowany - zawodnik musi przestać traktować wynik godzina 1:55:00 jako nieosiągalny. Czyli musi przenieść go ze sfery marzeń, uznać za realny i w pełni osiągalny. Nieodczowna jest także personalizacja nutrigenetyczna żywienia - chodzi przede wszystkim o dostosowanie pokarmów do profilu genetycznego biegacza. Do tego dochodzą jeszcze inteligentne protokoły chłodzenia podczas biegu, a także wykorzystanie sensorów do pomiaru stężenia mleczanu glukozy. Te wszystkie czynniki muszą się zgrać, ale wszystkie są już naprawdę w zasięgu naszej ręki.

Wszystko brzmi trochę kosmicznie, ale w sumie przekonująco, tylko mam obawę, że świat sportu pójdzie w kierunku tworzenia super brojlów. I to od bardzo młodego wieku, być może dziecięcego...

Owszem, to prawda, ale nie ma innej drogi we współczesnym świecie, którą można pójść po nowe rekordy i przełamywanie kolejnych barier. Dzisiaj rekord świata Usaina Bolta na 100 metrów to 9,58. Zrobiłem jednak analizę najszybszych sprinterów świata na odcinkach dziesięciometrowych i wyszło mi, że w zasięgu był wynik 9,37.

Na czym opierała się ta analiza?

Kim Collins, Bruny Surin i Maurice Green - oni byli do czterdziestego metra najszybsi na poszczególnych odcinkach 10-metrowych, a od czterdziestego metra już do końca dominował Bolt. Czyli krótko mówiąc, gdyby Bolt poprawił początek biegu do poziomu najlepszych współczesnych mu sprinterów...

...to może odbyłoby się to kosztem takiej fenomenalnej wytrzymałości szybkościowej. Ciekawe podejście, ale w nauce chodzi o to, żeby pokazywać rezerwy i dążyć do ich pełnego wydobycia. Praktyka pokazała, że nie ze wszystkimi Bolt wy-

grywał do 40. metra, więc należy zakładać, że tam miał największe niewykorzystane zasoby.

Podobały się panu baraż o mundial w wykonaniu piłkarskiej reprezentacji Polski?

Jako wieloletniego kibica futbolu, który nadal prowadzi w klubach badania - w Polsce i za granicą - bardzo dotknęło mnie, że Białe-Czerwone zabraknie na piłkarskich mistrzostwach świata. Bo to najważniejsze zawody, najbardziej prestiżowe. Tyle że z faktami nie sposób dyskutować, a nam brakuje wiele do szerokiej nawet czołówki, począwszy od zdrowego... spojrzenia na rzeczywistość polskiego futbolu. Trzeba już krzyczeć o niedostatkach w szkoleniu, mówienie nie wystarcza. Jedyne pocieszenie jest takie, że zmiana selekcjonera wprowadziła lepszą atmosferę, dzięki której można wydobywać głębszy potencjał, dotrzeć do psychiki zawodnika i sięgnąć po ukryte rezerwy, o których tyle wcześniej mówiliśmy. Jan Urban w znakomity sposób buduje relacje i klimat w kadrze, ale indywidualne błędy spowodowały, że eliminacje przegraliśmy.

Mecz z Albanią był do... zapomnienia. Natomiast ten ze Szwecją wywołał różnorodne komentarze.

A w sumie nie powinien, bo zagraliśmy zdecydowanie najlepsze - moim zdaniem - spotkanie w całych eliminacjach; choć prawdą jest również, że przeciwnik za wysoko nie zawiesił poprzeczki. Niemniej jednak, przegraliśmy niezasłużenie. W tym meczu byliśmy zespołem zdecydowanie lepszym, bardziej kreatywnym i dynamicznym, ale decydująca okazała się większa liczba błędów indywidualnych popełnionych w kluczowych momentach. Mówiąc wprost, zabrakło nam jakości i głębi składu, a złe decyzje podjęte przez czołowych zawodników w defensywie - podjęte oczywiście przy olbrzymim i narastającym zmęczeniu - były brzemienne w skutki. Konkluzja, smutna, jest taka, że nie mieliśmy dostatecznej liczby klasowych zawodników, aby znaleźć się w gronie finalistów mundialu.

PIŁKA NOŻNA PORA NA STARCIE Z LIDEREM ROZGRYWEK - WISŁĄ KRAKÓW - NA JEGO STADIONIE

Chrobry pokonał GKS i jedzie do Krakowa

RED
Głogów

Nie było to zwycięstwo łatwe, ale na finiszu sezonu liczą się przede wszystkim punkty.

Pomimo ostatniego miejsca i jedynie matematycznych szans na utrzymanie, przyjechał do Głogowa jako zespół zdeterminowany i waleczny. Udowodnił to już w 19. minucie - Bartosz Jankowski otrzymał piłkę na lewej stronie i efekownym strzałem pokonał Pawła Lenarcika.

Chrobry próbował odpowiedzieć, lecz bramkarz gości skutecznie bronił uderzenia Jakuba Gricia, Piotra Janczukowicza i Kacpra Laskowskiego. Pomarańczowo-Czarni na szczęście nie odpuszczali i nawet w doliczonym czasie gry starali się wykorzystać każdą, nawet najmniejszą okazję.

Taką był rzut wolny z dal-
szej odległości. Po nim, już po 45. minucie, doszło do za-

mieszania w polu karnym, które wykorzystał Piotr Janczukowicz, z bliska doprowadzając do wyrównania.

Drużyna Chrobrego to było szalenie trudne. W 55. minucie Chrobry, napędzony golem do szatni, wykorzystał kolejny stały fragment gry - po dośrodkowaniu Kacpra Laskowskiego z rzutu różnego w zamieszaniu najlepiej odnalazł się Szymon Lewkot i doprowadził do stanu 2:1.

Tyszenie nie zamierzali się jednak poddawać, tym bardziej, że i tak nie mieli nic do stracenia. W 72. minucie, po dograniu wzdłuż bramki Bartosza Jankowskiego, nabiegający i dostawiający nogę Paweł Łysiak zmienił rezultat na 2:2.

Odpowiedź Chrobrego była błyskawiczna. Cztery minuty później Kacper Nowakowski zdecydował się na strzał sprzed pola karnego po podaniu Kelechukwu Ibe-Tortiego - i była to znakomita decyzja, aby nie kombinować i po prostu szybko strzelić. Pewnym



Fragment pojedynku z zespołem GKS Tychy

uderzeniem pokonał bramkarza GKS-u, przywracając Chrobremu prowadzenie.

Tego Chrobry już nie oddał. W końcówce goście jeszcze próbowali zagrozić

bramce rywali (bardzo dobrą szansę miał Daniel Rumin), ale więcej sytuacji stworzyli Pomarańczowo-Czarni. Nowakowski trafił w słupek, a strzał Sebastiana Stróziaka

i dobitkę Nowakowskiego świetnie obronił Jakub Mądrzyk.

Chrobry wygrał kolejną bitwę, ale przed nim jeszcze trzy spotkania, z których każde

może mieć kluczowe znaczenie.

Najbliższy pojedynek już w piątek, 8 maja. Będzie to wyjazdowe starcie z liderem, Wisłą Kraków, rozpocznie się o godz. 21.

CHROBRY GŁOGÓW - GKS TYCHY 3:2 (1:1)

BRAMKI: 0:1 Bartosz Jankowski 18, 1:1 Piotr Janczukowicz 45, 2:1 Szymon Lewkot 55, 2:2 Paweł Łysiak 72, 3:2 Kacper Nowakowski 76. CHROBRY: 95. Paweł Lenarcik - 29. Paweł Tupaj (69, 28. Jakub Lis), 8. Jakub Grič, 18. Myrosław Mazur, 80. Kacper Tabiś - 27. Kacper Laskowski (89, 44. Albert Zarówny), 23. Szymon Lewkot, 16. Robert Mandrysz, 5. Radosław Bąk (46, 17. Kelechukwu Ibe-Torti), 15. Kacper Nowakowski - 10. Piotr Janczukowicz (61, 11. Sebastian Strózik).

GKS TYCHY: 39. Jakub Mądrzyk - 22. Tobiasz Kubik (68, 90. Kacper Welniak), 2. Luís Silva (54, 29. Paweł Łysiak), 26. Igor Łasicki (77, 9. Daniel Rumin), 11. Marcel Blachewicz, 47. Bartosz Jankowski - 92. Damian Kądzior, 8. Marcin Szpakowski, 37. Julian Keiblinger, 24. Bartłomiej Barański - 99. Tymoteusz Rygula (77, 20. Piotr Krawczyk). ŻÓŁTE KARTKI: Tupaj, Strózik, Lewkot - Blachewicz, Rumin. SĘDZIOWAŁ: Rafał Szydelko (Rzeszów).

FOT. CHROBRY GŁOGÓW SA

Ponad ćwierć miliona złotych na rozwój dzieci i młodzieży

RED
Głogów

Do lokalnych klubów trafiło 265 tys. zł, które pozwolą na rozwój treningów, udział w zawodach i jeszcze lepsze warunki do uprawiania sportu.

Aż 20 organizacji sportowych z powiatów głogowskiego i polkowickiego otrzymało dofinansowanie na działania związane z rozwojem sportu wśród dzieci i młodzieży. Łączna kwota przyznanego wsparcia wynosi 265 tys. zł, a pieniądze pochodzą z rządowego programu „Klub” Ministerstwa Sportu i Turystyki.

Środki trafią do klubów, stowarzyszeń i uczniowskich klubów sportowych, które na co dzień prowadzą zajęcia, szkolenia oraz aktywności sportowe dla młodych mieszkańców regionu. To ważne wsparcie dla lokalnych środowisk sportowych, które odgrywają ogromną rolę w budowaniu aktywności fizycznej, rozwijaniu pasji i promowaniu zdrowego stylu życia wśród dzieci oraz młodzieży.

Wsparcie w wysokości 12 lub 17 tys. zł otrzymały: Uczniowski



Wsparcie dostało 20 klubów

Klub Sportowy „Boks” Głogów, UKS Sport Land, Uczniowski Klub Sportowy Football Academy Głogów, LZS Zawisza Serby, UKS Kopalniak - Akademia Piłki Nożnej, Uczniowski Klub Sportowy „Legion”, Klub Sportowy „LIONS” Głogów, Klub Piłkarski Viktoria Borek, Stowarzyszenie Sportowe Wiejski Klub Sportowy Dragon Jarczów, Klub Sportowy „Łagoszovia”, Międzyszkolny Klub Spor-

towy „Basket Chrobry”, Głogowskie Towarzystwo Tenisowe, KS Gwardia Białoleka, Międzyszkolny Klub Sportowy Piast w Głogowie, UMKS Volley Głogów, Karate Kyokushin Przemków, Stowarzyszenie Rozwoju Edukacji i Sportu Pro Scholis, Uczniowski Klub Sportowy „Sokół” w Gaworzycach, Lekkoatletyczny Klub Sportowy Polkowice, Klub Sportowy „Stal” Chocianów.

FOT. ARCHIWUM TG

Grażyna Szyszka
Głogów

Młodzi szczypiorniści z Jerzmanowej sięgnęli po wicemistrzostwo Dolnego Śląska. W finałowym turnieju w Głogowie zajęli drugie miejsce.

W hali widowiskowo-sportowej w Głogowie rozegrano 30 kwietnia finał wojewódzkich Igrzysk Dzieci i Młodzieży w piłce ręcznej. Do sportowej walki o tytuł mistrza Dolnego Śląska stanęły cztery szkolne zespoły: SP 46 z Wrocławia, SP 6 ze Świdnicy, SP 5 ze Zgorzelca, SP z Jerzmanowej.

Na otwarciu wydarzenia obecna była dyrektor SP w Jerzmanowej, Mariola Tuz, która przyznała, że jest dumna ze swojej drużyny, ale życzyła wszystkim zespołom zdrowej rywalizacji w duchu fair play.

- Żeby każdy z was po tym finale wyszedł z przekonaniem, że zrobił wszystko, co w jego mocy, aby jego drużyna zdobyła jak najlepszy wynik - powiedziała tuż przed turniejem.

Turniej otworzył starosta głogowski Michał Wnuk zauwa-

żając, że sport wśród młodzieży jest niezwykle ważny w dzisiejszych czasach.

- W Głogowie spotkały się cztery najlepsze drużyny z Dolnego Śląska, co jest bardzo dużym osiągnięciem. Za wszystkich trzymam mocno kciuki - powiedział.

Drużynę z Jerzmanowej do turnieju przygotował Wiktor Sawka, nauczyciel wychowania fizycznego w tamtejszej szkole. Przyznał, że chłopcy bardzo dobrze się spisują, a swoją przygodę z piłką ręczną zaczęli w młodszych rocznikach.

- Polubili wtedy piłkę ręczną, część z nich trenuje w Chrobrym, co przekłada się na wysoki poziom rywalizacji w szkole - zaznaczył opiekun jerzmanowskiej drużyny.

Dodajmy, że drużyny zagrały systemem „każdy z każdym”, a poziom rywalizacji był wysoki.

Ostatecznie pierwsze miejsce zajęła SP 46 Wrocław, a wicemistrzostwo Dolnego Śląska wywalczyła drużyna z SP w Jerzmanowej. Trzecie miejsce zajęła SP 6 ze Świdnicy, a czwarte SP 5 ze Zgorzelca.



Zespół młodych szczypiornistów z Jerzmanowej

FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

Krzyżówka panoramiczna

drzewiaste pnące

atrzybut aktora

filmowy ordynat

część kaszketu przelozona

odmiana marchwi

chroni od deszczu demon

rejestr, wykaz

niechciane e-maile

główna część mszy

gończy lub żelazny

zaraz po alfie

lokalny rywal Interu

naczynie goryczy

3

2

14

15

4

17

9

16

6

mityczny półbóg

2

18

17

16

6

placi czynsz gra na koniach

były kabaret Abelarda Gizy

największy stan USA

Naomi, tenistka

sztuczka iluzjonisty

mieszkaniec Baku

świętynia bud-dyjska

zasłona twarzy Arabki

13

7

10

19

dawna gra w karty

zmniejsza tarcie

12

5

11

8

nogi szaraka

„żywiol” biurokraty

cecha dużych gaba-rytów

10

19

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą rozwiązanie: dokończenie dowcipu z okienka.

Uśmiechnij się!

Dzwonek do drzwi. Pani domu otwiera, a w progu sąsiedzi: – Przyszło nam do głowy, żeby was odwiedzić... – Moglibyście chociaż nas uprzedzić! – Coś ty, ...



Krzyżówka A-Z

Każdy odgadywany wyraz (w nawiasie liczba liter) zaczyna się literą poprzedzającą określenie. Miejsce wpisywania – do odgadnięcia. Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

- A) reklamowany lek na nieżyt nosa (6).

B) .. jumping to skakanie na linie z dużej wysokości (6).

C) relikwia, atrybut świętej Weroniki (6).

D) Salvador, twórca obrazu „Płonąca żyrafa” (4).

E) poetycki utwór o tematyce miłosnej (6).

F) zagranie piłkarza niezgodne z przepisami gry (4).

G) „Ojciec ...”, powieść Balzaka (6).

H) Heinrich, niemiecki poeta epoki romantyzmu (5).

I) duchowny w meczecie (4).

J) turecka broń sieczna (7).

K) miododajna roślina na uprawę (8).

L) miasto w pobliżu Londynu

z lotniskiem (5).

Ł) kwadratowe kluski z kapustą (7).

M) powód postępowania, pobudka (5).

N) wiertło centrujące (9).

O) żelazne pęta na nogach więźnia (5).

P) poeta entuzjastycznie sławiący jakąś ideę (6).

R) szczelina po przejściu piły (4).

S) sąsiad Fina i Norwega (5).

T) okres godowy łososi (5).

U) miejsce oddalone od skupisk ludzkich (8).

W) zbiorcza nazwa systemów obronnych w Chinach (6,3).

Z) utrwalenie dźwięku na taśmie (5).

Ż) klasyczny styl pływacki (5).

Krzyżówka z hasłem

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu od 1 do 20 utworzą rozwiązanie: przysłowie.

Poziomo:

- 1) susz na podpałkę,

7) „... i diament”,

8) pokój pani domu,

9) bodziec, zachęta,

12) Bolesław, polski poeta,

13) szczegóły, drobiazgi,

15) narząd z trąbką,

17) Borys, polski aktor,

18) kraina szczęścia,

22) Razem lub PSL,

23) dawny zakład hutniczy.
- 2) uciecha, zadowolenie,

3) ziemne umocnienie polowe,

4) ożywienie gospodarcze,

5) azjatycki jeleń,

6) tenor lub bas,

9) ptak z koralami,

10) ostatni przystanek tramwaju,

11) palone w karczmie „Rzym”,

14) dziedzina nauki,

15) wystawne przyjęcie,

16) letnie łóżko,

19) naczynie browarniane,

20) Salvador, hiszpański malarz,

21) ... Tuhajbejowicz.

benzynowa lub kolejowa

odgłos łamania chrustu

imię Dancewicz, aktorki

cyranka lub krzyżówka

partyjny „kodeks”

WIRÓWKA PANORAMICZNA

rolniczy stan w USA

zwrotka wiersza

Czarny Łąd

dipol na dachu

dawny statek rzeczny

Początek wpisywania odgadniętych wyrazów w polach z kreską, kierunek zegarowy. Litery w oznaczonych polach, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie: treść fraszki Mieczysława M. Szargana.

Duet jolek

B

I

A

Ł

Y

K

R

U

K

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 7 utworzą rozwiązanie.

W przypadkowej kolejności:

- domieszka kawy zbożowej

– zbyt duża ilość

– włókno naturalne

– aparat do przeżrocy

– przyprawa do szarlotki

– szwajcar, odźwierny
- małpy wąskonose

– niewinna miłostka

– wokół tarczy herbowej

– posiadacz nieruchomości

– pamiątkowe zdjęcie grupy osób

– brazylijski producent samolotów

Logogryf

1

2

3

4

5

Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie: tytuł filmu dokumentalnego.

- 1) grzyb z lepką skórą,

2) francuska pani,

3) włoski port nad Adriatykiem,

4) Alan, reżyser filmu „Klute”,

5) wiekowa, zużyta miotła.

Szyfr

14

12

17

18

3

7

5

2

6

8

9

13

4

15

16

1

11

Litery z pól od 1 do 18 utworzą rozwiązanie: tytuł filmu.

Poziomo:

- 14) mleczny cukierek,

8) tam stanął pierwszy słup graniczny w 1945 roku.

Pionowo:

- 10) największa antylopa, eland,

14) dzieło pacykarza,

18) wielki ssak morski.

Krzyżówka

1

2

3

4

5

6

Litery w polach z kropką, czytane rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4) ... siwa, ptak wodny,

5) dwuczuby, ptak wodny,

6) karolinka lub mandarynka.

Pionowo:

- 1) w parze ze zmiotką,

2) toster do grzanek,

3) wiruje w lunaparku.

Rozwiązania

Krzyżówka panoramiczna: ... chciałeś mi was zastąpić; krzyżówka z hasłem: Miłość; logogryf: „Śladami Eskapada”; wirówka: „Klute”; szyfr: „Klute”; krzyżówka A-Z: burleska; duet jolek: rarytas.